

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

OBSZARY

Nr 4(41) Zielona Góra 2012 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

„EPITAFIUM DLA J.”

Opata Buchalik-Drzyzga

Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Zrealizowano w ramach Programu *Promocja literatury i czytelnictwa* ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 4(41) – 2012

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Agata Buchalik-Drzyzga

© Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2012

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji, korekta
Ewa Mielczarek

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Fotografie:
archiwum ZUTW, Stanisław Buczkowski, Adam Harry Charuk, Danuta Chlebicz, Bartosz Czerniawski,
Danuta Domina, Jarosław Dulat, Justyna Hak, Piotr Jeske, Krzysztof Kubasiewicz, Zbigniew Kulik,
Marta Puchalska, Waław Serdeczny, Artur Wójtowicz, Janusz Życzkowski

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65–077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
LIGATURA

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642–5995
Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65–077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
tel. 603 610 906; e-mail: Prolibris@wimbp.zgora.pl
www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Wieszczenie końca świata po raz kolejny okazało się bezpodstawne, możemy więc już bez obaw (przynajmniej do następnej złowróżbnej przepowiedni) realizować cykl kwartalnika i dostarczyć Państwu ostatni w 2012 roku numer „Pro Libris”.

Zawładnęła nim w znakomitej większości poezja, nie tylko w prezentacji wierszy 14. młodych uczestników III Konkursu „Debiut poetycki Pro Libris” wraz z jego laureatem Konradem Krakowiakiem, ale także w filozoficznym dziele Mieczysława J. Warszawskiego poświęconym pamięci Andrzeja K. Waśkiewicza, w klimatycznych, „śnieżnych” formach Czesława Sobkowiaka czy zaskakująco osobistych wyznaniach młodzieńczej, a bardzo już dojrzałej poetycko Kingi Mazur, a także w pokażnej dawce twórczości Karola Graczyka.

Prezentujemy ponadto drugą część eseju Andrzeja Bucka, tym razem poświęconego ważnemu udziałowi Andrzeja K. Waśkiewicza w kulturze literackiej lat 60. Publikujemy także dwujęzyczny esej Renaty A. Thiele, autorki wywodzącej się z Zielonej Góry, a od wielu lat zamieszkałej w Aachen, która – znając równie dobrze realia polskie i niemieckie – podejmuje interesujące rozważania na temat dośłownej i mentalnej przestrzeni życiowej Polaków i Niemców.

Na długie zimowe wieczory przygotowaliśmy dla Państwa sporo prozatorskich tekstów, a wśród nich opowiadanie Przemysława Grześnińskiego kontynuujące cykl *Brama*, publikowany na naszych łamach od 2010 roku, mistyczny tekst Jacka Żeromskiego (znanego dotąd naszym czytelnikom w roli poety), opowiadania debiutujących w „Pro Libris” Wandy Szczypiorskiej i Pauliny Krzyżaniak (fragment większej całości) oraz teksty dwójki laureatów Polsko-Niemieckiego Konkursu im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej: Hanny Piechowiak i Adama Bolesława Wierzbickiego. Kabaretowej parodii dzieła Szekspira podjęła się natomiast Halina Bohuta-Stąpel w tekście *Romea i Julki tragedia prawdziwa*.

Proponujemy także przyrzeć się części ilustracyjnej pisma. Tym razem „zaanektowaliśmy” materiał graficzny oparty na twórczości Agaty Buchalik-Drzyzgi, wykorzystując wszechstronne techniki uprawiane przez artystkę: malarstwo, grafikę, tkaninę artystyczną, ekslibris. Artystka nie wymaga rekomendacji, ma przecież uznaną markę, a jej obecność na stronicach „Pro Libris” jest wyrazem uznania w 45. rocznicę jej pracy twórczej.

Życząc Państwu szczególnie udanego Nowego 2013 Roku, zapraszamy do lektury

Redakcja

Spis treści

| | |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Renata A. Thiele , Naród i przestrzeń / Volk und Raum | 6 |
| Kinga Mazur , Wiersze [Odnalezienie, Zwątpienie, Szukanie, Rozstanie, Pożegnanie, Zaakceptowanie]. | 12 |
| Andrzej Buck , Andrzej K. Waškiewicz. Szkic do Portretu (cz. II) | 18 |
| Mieczysław J. Warszawski , Wiersz [Życiodajność albo ze zdania na zdanie]. | 29 |
| Marcin Radwański , Hazardzista | 31 |
| Czesław Sobkowiak , Prozy | 36 |
| Wanda Szczypiorska , Odjazd | 40 |
| Karol Graczyk , Wiersze [Bagnisko huczy, Pełnia, Andy, Dwie wieże, Dom pełen drzwi, Drzwi] | 42 |
| Jacek Żeromski , Ostatnie dni moje. | 48 |
| Czesław Sobkowiak , Wiersze [Śnieg, Kartofle, Pola w zimę, Dzisiaj w barze, Cmentarz w śniegu, Zimowa opowieść] | 50 |
| Hanna Piechowiak , Moje uporczywe, ale nieuniknione dorastanie. | 56 |
| Adam Bolesław Wierzbicki , Drugie życie niemieckich śmieci. | 62 |
| Paulina Krzyżaniak , Skutki niepożądane | 64 |
| Przemysław Grzesiński , Czarny lotos (opowiadanie z cyklu Brama) | 73 |
| Zbigniew Masternak , Jezus i ja | 82 |
| Halina Bohuta-Stapel , Romea i Julki tragedia prawdziwa | 85 |

ZBLIŻENIA

| | |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Katarzyna Krysińska , Świat Sybiru w lubuskiej pamięci (na podstawie wspomnień Sybirackie losy) | 90 |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|

SYLWETKI

| | |
|-----------------------------------------------------------------|----|
| Agata Buchalik-Drzyzga , 45 lat pracy twórczej | 95 |
| Leszek Kania , Dramaturgia papieru | 96 |
| Jerzy Gąsiorek , Artystka spełniona | 97 |

VARIA

| | |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Joanna Kapica-Curzytek , Milczenie | 98 |
| Andrzej Buck , Co się zdarzyło w Kargowej... Kozzi Gangsta Film Festiwal 2012 | 101 |
| Dorota Kaczmarek , II Festiwal Literacki Proza Poetów w Norwidzie | 107 |
| Ewa Mielczarek , Finał III Konkursu „Debiut poetycki Pro Libris”. Prezentacja wierszy uczestników (Konrad Krakowiak, Mirosława Szott, Anna Ledwoch, Monika Elżbieta Murańska, Maciej Maciejewicz, Aleksandra Biela, Ewa Roszak, Andrzej Jaczewski, Sebastian Obszański, Wojciech Wojnar, Bartosz Kopnicki, Julia Snarska, Marika Sobczak, Beata Matyasik) | 112 |
| Barbara Krzeszewska-Zmyślony , Głęboko w sercu – Ekehardt Gärtner / Tief im Herzen – Ekehardt Gärtner | 135 |

| | |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Barbara Krzeszewska-Zmyślony , X Dni Niemieckie na Uniwersytecie Zielonogórskim. Wspólnie w Europie / X. Deutschtage an der Universität Zielona Góra. – Gemeinsam in Europa | 138 |
| Zbigniew Kulik , Tadeusz Różewicz w Górach Olbrzymich | 143 |

RECENZJE I OMÓWIENIA

| | |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| * Powrót do pramaterii Jacek Żeromski, <i>Szary kamyk</i> (Mirosława Szott) | 145 |
| * Wolnym krokiem słów Czesław Sobkowiak, <i>Powieść ze snu</i> (Kinga Mazur) | 146 |
| * Na szczęście Krzysztof Koziołek, <i>Instrukcja 0066</i> (Marek Grewling) | 147 |
| * Zwyczajność odchodzenia Jerzy Hajduga, <i>Powieki wieków</i> (Czesław Sobkowiak) | 148 |
| * Na krawędzi niepoznawalnego Krzysztof Andrzej Jeżewski, <i>Światłość u progu</i> (Czesław Sobkowiak) | 149 |
| * Kunszt i dynamika Beata Patrycja Klary, <i>Zabawa w chowanego</i> (Dorota Grzesiak) | 151 |
| * Wokół literackiej nagrody Nobla 2012 Mo Yan, <i>41 bomb; Klan czerwonego sorga; Kraina wódki; Obfite piersi, pełne biodra</i> (Jakub Rawski) | 152 |
| * Do Zielonej Góry nogami Magdalena Wosik, wystawa <i>Do Zielonej Góry nogami</i> (Joanna Kapica-Curzytek) | 155 |
| KSIĄŻKI NADESŁANE | 157 |
| AUTORZY NUMERU | 158 |

Renata A. Thiele

Naród i przestrzeń

Znamy z historii najnowszej pojęcie „Volk ohne Raum” („Naród bez przestrzeni”). To tytuł powieści Hansa Grimma, ale nie jednego ze słynnych braci Grimmów, którzy spisali niemieckie baśnie. To powieść, która zgodnie z ideologią o wyjątkowości niemieckiego narodu miała tłumaczyć, dlaczego Niemcom należy się więcej przestrzeni niż innym. Brak przestrzeni do życia był motorem wielu wojen w historii ludzkości. To ciekawe tym bardziej, gdy uświadomimy sobie, że istnieje wiele definicji przestrzeni. Również każda kultura rozumie to pojęcie inaczej.

– Dlaczego? – To pytanie niemal tkwiło w moich pełnych zdziwienia, szeroko otwartych oczach i czekało na odpowiedź. Lecz nie nadeszła. A on siedział przy swoim biurku, zatopiony myślami w czymś, do czego nie miałam dostępu. Wyszłam z pokoju, a o to w końcu chodziło. Bardzo cierpiałam i byłam przekonana, że między nami wszystko się skończyło – a reszta jest tylko kwestią czasu. Dlaczego nie wolno mi przebywać w jego pokoju? Tak po prostu, gdy coś tam robi?

W Polsce za czasów komunizmu rzadko ktoś miał własny duży dom lub duże mieszkanie. Dzieci miały wprawdzie swój osobny pokój, lecz czasem musiały dzielić go we dwoje lub troje. Ponadto drzwi do tych pokoi nie miały zamków. Po co? Tajemnice przed rodzicami? – Co za bzdura?! Tajemnic się NIE MIAŁO. Mama lub tata w każdej chwili mieli

Renata A. Thiele

Volk und Raum

Aus der neueren Geschichte kennen wir „Ein Volk ohne Raum” den Titel des Romans von einem Hans Grimm. Es ist ein Roman der so genannten völkischen Literatur, die die Notwendigkeit der Eroberung neuer Territorien, um das Überleben der Deutschen zu sichern, begründen sollte. Der Mangel an Raum war ein mächtiger Motor für viele große Bewegungen in der Geschichte gewesen. Es gibt dabei viele Definitionen des Raums, und auch jede Kultur versteht unter diesem Begriff etwas anders.

Warum? Diese Frage stand in meinen weit aufgerissenen Augen und wartete auf eine Antwort. Doch die kam nicht, er saß bereits an seinem Schreibtisch, vertieft in irgendwas, wozu ich keinen Zugang hatte. Ich verließ das Zimmer – und darum ging es letztendlich. Ich litt sehr und war mir sicher, jetzt ist Schluss mit uns – und es ist nur die Frage der Zeit. Warum darf ich nicht in seinem Zimmer sein, einfach so, während er etwas macht?

Im kommunistischen Polen hatte selten jemand ein großes Haus oder eine große Wohnung. Kinder hatten zwar meistens ihre Zimmer, aber sie mussten manchmal zu zweit darin wohnen. Die Zimmer waren auch nicht verschließbar. Wozu? Geheimnisse vor den Eltern?! Was ist das für ein Unsinn?! Die hatte man einfach nicht zu haben. Die Mutter oder der Vater durfte jederzeit das Kinderzimmer betreten, und wehe, wenn das Kind sich dagegen aufzu-

prawo wejść do pokoju dzieci, i nie wolno było nawet zaprotestować. Kiedy więc chciało się mieć spokój, wyruszało się na emigrację wewnętrzną, w siebie samego. I tam można sobie było pobyć trochę, albo nawet parę dni – w zależności od potrzeby. Nieustanna obecność członków rodziny w naszym życiu była jego naturalną częścią. Więc nawet kiedy wokół nas trwała „wojna domowa”, w środku nas panował święty spokój.

Bywało, że trzy generacje dzieliły za sobą trzy pokoje, niezależnie od wielkości tychże pokoiów. A te zazwyczaj były małe. Człowiek nie potrzebował wielkich pomieszczeń, przestrzeni, miał przecież żyć poza mieszkaniem, aktywnie uczestnicząc w życiu społecznym. Ale *człowiek* wcale tego nie chciał i – jakby na złość komunistycznym teoriom – czas wolny spędzał z rodziną. I o dziwo, ludzie, którzy wyrosli w takich rodzinach, wcale nie zwariowali. Może nawet lepiej niż inni umieją zaaranżować się z pozostałymi członkami grup społecznych, szybciej znajdując kompromisy i może nawet spokojniej reagując na sytuacje, w których urodzeni na Zachodzie tracą cierpliwość i tolerancję, na przykład w momentach zakłócenia sfery osobistej.

Człowiek komunistyczny żył socjalnie, a to znaczyło nieistnienie sfery osobistej – przynajmniej teoretycznie. My przeciętni Polacy chroniąc sferę osobistą, udawaliśmy się więc na naszą małą emigrację wewnętrzną w ramach naszych rodzin. Ale również ci wielcy, zaanagażowani politycznie ludzie, pisarze, nieugięci i protestujący przeciw reżimowi, wybierali ten rodzaj emigracji. Emigracja realna nie zawsze zresztą była możliwa, gdyż paszporty leżały bezpiecznie na policji, a bez paszportu i bez wizy o wyjeździe można było tylko pomarzyć.

Można jednak się było bardzo postarać i stając się osobnikiem dla reżimu bardzo niebezpiecznym, a przy tym tak znanym, że reżimowi nie pozostało nic innego jak pozbyć się krytycznego delikwenta z kraju – pod warunkiem jego rezygnacji z powrotu. Na zawsze.

Niemiecy indywidualiści

W Niemczech od mniej więcej lat 80. dzieci dorastają w zupełnie innych warunkach: mają własny

lehen versuchte! Wenn man also seine Ruhe haben wollte, ging man in die innere Emigration, in sich hinein. Und da blieb man eine Weile. Oder ein paar Tage – je nach Bedarf. Die ständige Präsenz der Familienmitglieder im Alltag gehörte einfach zum Leben dazu. Um einen herum tobte das Familienleben, man blieb aber in sich gekehrt.

In drei Zimmern lebten schon mal drei Generationen, egal wie klein die Wohnungen waren. Und sie waren klein. Der Mensch brauchte keine großen Räume, er sollte ja draußen leben, aktiv am Leben der Gesellschaft teilnehmen. Doch der Mensch wollte das nicht und – zum Trotz aller kommunistischen Theorien – verbrachte seine Freizeit in der Familie. Menschen, die in solchen Familien groß geworden sind, sind keine Sozialfälle geworden. Sie verstehen vielleicht eher, mit allen und jedem auszukommen, finden schnell Kompromisslösungen und regen sich vielleicht seltener über Dinge auf, die für einen im Westen Geborenen von großer Bedeutung sind, wie zum Beispiel Verletzung der Intimsphäre. Der kommunistische Mensch lebte sozial, und darunter verstand man auch den Wegfall der Intimsphäre, zumindest theoretisch.

Wir Durchschnittspolen jener Zeit gingen also in die innere Emigration in einem kleinen Familienkreis. Die Großen, politisch Engagierten, die Schriftsteller, die nicht regimeopportunisten waren, taten es auch. Eine richtige Emigration war nicht immer umsetzbar. Denn die Pässe lagen bei der Polizei sicher aufbewahrt, und ohne Pass kein Visum, ohne beides keine Ausreise.

Oder man wurde für so gefährlich eingestuft, dass die durch einen bedrohte Regierung denselben in die Emigration schickte, die Voraussetzung war jedoch, dass der Delinquent nicht mehr in die Heimat zurückkehren durfte.

Deutsche Individualisten

Seit den 80er Jahren wachsen in Deutschland Kinder unter anderen Bedingungen auf: ein eigenes Zimmer, verschließbar (!), das Recht, nicht gestört zu werden, Zeit zur Erholung nach der Schule und ähnliche Zeichen der Individualisierung des Individuums schon im zarten Alter. Für einen aus dem kom-

pokój, który mogą nawet zamknąć na klucz i mają prawo do spokoju, do odrobiny czasu dla siebie po lekcjach i inne podobne oznaki indywidualizacji jednostki, nawet już w tak młodym wieku. Rzecz dla kogoś z komunistycznego Wschodu po prostu niewiarygodna, a nawet nierozsądna. Indywidualność tak, ale czy dziecko na pewno potrzebuje pokoju dla siebie? To nie jest odpowiednie przygotowanie do dorosłego życia, w którym otoczone ono będzie innymi ludźmi i będzie też musiało się z nimi komponować. Nasze wschodnie spojrzenie na świat było jednoznacznie ustawione na socjalizację jednostki. Samorealizacja nie była istotnym elementem życia. Nie było więc potrzeby posiadania przestrzeni dla siebie, aby móc wycofać się z grupy i być sam na sam z własnymi myślami. Nie było świadomości tego, że już samo istnienie tej przestrzeni czasem mogło wystarczyć.

W dzisiejszych czasach wiele mówi się o różnicach kulturowych, o wymiarach kultury, jak nazywają je naukowcy. Wyróżnia się kultury indywidualistyczne i kolektywistyczne. Kolektywistyczne kultury zorientowane są na wewnątrz grupy – i może to być rodzina, załoga firmy czy społeczeństwo rozumiane jako szersza grupa, ale nie jednostka. Jednostka wspierana jest przez grupę, lecz ceną, jaką za to płaci, jest utrata (części) samodzielności w podejmowaniu decyzji i działaniu, co może obejmować sferę osobistą czy też nawet intymną.

W kulturach indywidualistycznych jedną z najważniejszych wartości jest rozwój jednostki i zapewnienie jej możliwości tego rozwoju. Owa jednostka w sytuacji zagrożenia musi jednak być w stanie obronić się sama, sama podejmować decyzje i ponosić ich konsekwencje. Grupa jej nie chroni, ale taka jest cena jej wolności. Społeczeństwo o charakterze indywidualistycznym funkcjonuje zgodnie z innymi regułami niż kolektywistyczne aby przeżyć i w inny sposób reguluje zachowania jednostki. Jest to jednak proces zmieniający je ustawicznie.

Generalnie obowiązuje zasada: im bogatsze jest społeczeństwo, tym większa skłonność, ale też i możliwość do zachowań typowych dla kultur indywidualistycznych. Oznacza to również, że kultury podlegają ustawicznym zmianom i modyfikacjom.

munistischen Osten unglaublich, ja, unvernünftig. Individualität ja, aber braucht sie wirklich einen Raum für sich alleine? Das ist ja keine Vorbereitung auf das erwachsene Leben, wo man ständig von Menschen umgeben ist und mit ihnen auskommen muss. Unser östlicher Blickwinkel der Beobachtung war eindeutig auf die Sozialisierung des Individuums fixiert, die Selbstverwirklichung des Menschen stand dabei nicht zur Debatte. So sah ich die Notwendigkeit nicht, einen Raum zu haben, in welchen man sich zurückziehen kann, und dass bereits die Gewissheit, dass man ihn hat, gut tut.

Wir sprechen heute von Kulturunterschieden, von kulturellen Dimensionen, wie Kulturwissenschaftler sie bezeichnen. Es wird zwischen individualistischen und kollektivistischen Kulturen unterschieden. Die kollektivistischen sind nach innen – egal ob man damit den Familienkreis, die Firmenbelegschaft oder letztendlich die Gesellschaft – orientiert. In diesen Gesellschaften wird immer im Sinne der Gruppe entschieden, und nicht des Individuums. Das Individuum wird von der Gruppe geschützt und der Preis dafür ist der Verlust der Selbstständigkeit bei Entscheidungsfindung, die auch intime Bereiche des Lebens betreffen kann.

Die individualistischen Kulturen legen viel Wert auf die Entwicklung und die Sicherung der Entwicklungsmöglichkeiten eines Individuums. Dieses muss aber sich selbst schützen können, selbst alle Entscheidungen treffen und Konsequenzen ihres Handelns tragen. Die Gruppe schützt das Individuum nicht, das ist der Preis seiner Freiheit. Eine individualistisch geprägte Gesellschaft schafft andere Spielregeln als eine kollektivistische, um zu überleben und bestimmt auf ihre Weise alle Alltagsaktivitäten. Doch dies ist ein fließender sich ständig modifizierender Prozess.

Generell gilt auch: Je reicher die Gesellschaft desto ausgeprägter ist der individualistische Anteil. Das bedeutet aber auch, dass es im Laufe der Geschichte und der Entwicklung einer Kultur zu Verschiebungen kommen kann. So gilt heute die reiche deutsche Kultur als individualistisch, während die polnische – ja, die polnische, die immer an der Grenze zwischen Ost und West stand und nicht so ganz

Bogata kultura niemiecka określana jest jako indywidualistyczna, podczas gdy polska jest jakby na granicy między kulturami Wschodu i Zachodu, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Do nich należy fakt, że nie należymy w całości do żadnej z nich, lecz korzystamy z obu w dynamiczny sposób. Dzisiaj raczej z większym udziałem elementów zachodniej kultury indywidualistycznej. Proces ten przebiega w różnym tempie, ale można z pewnością stwierdzić, że przemiany dwóch ostatnich dziesięcioleci w Polsce poważnie przyspieszyły ten rozwój.

Emigrant z Polski

W czasach ostatniego przełomu znalazła się generacja dzisiejszych 40-, 50-latków: Chociaż obecnie bardziej skierowana na indywidualistyczny model, otrzymała jednak cały bagaż zachowań typowych dla społeczeństwa kolektywistycznego, które kojarzy się w Polsce przede wszystkim z komunizmem. Nie jest to słuszne, gdyż sam komunizm nie jest wyłącznym faktorem określającym społeczeństwo jako kolektywistyczne.

System kapitalistyczny, w połączeniu z wychowaniem w duchu indywidualizmu nowej ojczyzny zmusiły polskich emigrantów fali emigracyjnej lat 80. do przewartościowania pojęć i zmiany orientacji.

Ja tymczasem siedziałam nadąsana w drugim pokoju, odrzucona, zapomniana. Dąsałam się jeszcze trochę dłużej, chociaż on wyszedł już ze swojego pokoju i nie wiedział, dlaczego jestem obrażona.

– Dlaczego nie mogę być w twoim pokoju, jak coś tam sobie robisz?

– Bo potrzebuję spokoju dla siebie samego – odparł i wciąż nie rozumiał, o co mi chodzi.

Poszła do kuchni, aby przygotować kolację, i przysięgła sobie, że mu kiedyś odpłaci. Okazja trafiła się wkrótce. Czytała któregoś popołudnia książkę, która niesłychanie mnie zafascynowała, nie chciałam, żeby mi przeszkadzał. Kiedy wszedł do pokoju i ujrzał mnie czytającą książkę, wyszedł.

A teraz dlaczego wyszedł? Obrzylił się? – znowu nie rozumiałam jego zachowania. Zdenerwowałam się, co popsulo mi lekturę. Wstałam i pobiegłam za nim.

zu einer dieser Welten gehörte –, die polnische Kultur entwickelt sich nun von einer kollektivistischen zu einer individualistischen Kultur hin. Dieser Prozess verläuft nicht im gleichmäßigen Tempo, so wurde er durch die Umwälzungen der letzten zwei Jahrzehnte in Polen stark beschleunigt.

Polnischer Emigrant

In diese Umbruchzeiten wurde die Generation der heute 40-50-er hineingeboren: Heute mehr dem Individualistischen zugewandt, bekam sie einen großen Teil der kollektivistischen Weltordnung mit auf den Weg, die im Fall Polens stark mit dem Kommunismus assoziiert wird. Dies ist jedoch nur bedingt richtig, denn der Kommunismus an sich ist nicht der alleinige Entscheidungsfaktor für die kollektivistische Ausprägung.

Die neue, kapitalistische Gesellschaftsordnung, gepaart mit der individualistischen Erziehung in der neuen Heimat zwingt Polen, die in Deutschland ihr Leben aufgebaut haben, zur Umwertung und Umoorientierung.

Also schmolte ich im anderen Zimmer wegen dieser furchtbaren Ablehnung, der Ablehnung meiner Anwesenheit in seinem Zimmer. Ich schmolte auch dann noch eine Weile, als er schon aus seinem Zimmer kam und nicht wusste, warum ich so beleidigt bin.

– Warum darf ich nicht in deinem Zimmer sein, während du etwas machst?

– Ich brauche meine Ruhe – sagte er und ich verstand es nicht.

Ich ging in die Küche, um das Abendessen vorzubereiten, und schwor mir, es ihm heimzuzahlen. Die Gelegenheit kam bald. Ich las ein interessantes Buch und wollte nicht gestört werden. Er kam herein, scannte kurz die Situation und verließ mein Zimmer.

Warum geht er jetzt weg? Ist er beleidigt? – wieder verstand ich sein Verhalten nicht. Ich regte mich auf und hatte keine Ruhe mehr für die Lektüre. Genervt lief ich ihm nach – Was soll das? Wieso läufst du weg?

– Ich laufe doch nicht weg. Du hast gelesen. Wir können ja später miteinander reden – antwortete er und kramte seelenruhig an seinem Computer.

– A to co? Dlaczego uciekłeś?
– Wcale nie uciekłem. Czytałeś, więc nie chciałem ci przeszkadzać. Porozmawiać możemy później – odpowiedział, nie przerywając majsterkowania przy komputerze.

– Ale ja chcę, żebyś został w moim pokoju, nawet kiedy czytam.

Podniósł wzrok znad komputera i uśmiechnął się, a potem wstał i podszedł do mnie:

– Tak kochanie. Nic się nie martw, wszystko jest w porządku – starał się mnie uspokoić, ale tak naprawdę nic nie rozumiał.

Nie odplaciłam mu, to nie mogło zafunkcjonować. Przystałam wprawdzie próbować go w tej materii zmienić, ale pozostałam czujna. Czas mijał i nic się nie wydarzyło. To znaczy wydarzyło się – sama rozumiałam wreszcie jego potrzebę wyciszenia, za którą nie kryło się nic innego, jak odrobina czasu na zebranie myśli i przebywanie tylko ze sobą samym – bez konieczności owej emigracji wewnętrznej.

Poza tym sama nauczyłam się doceniać tę możliwość, a nawet z niej korzystać. Skąd więc to początkowe nieporozumienie? Czyżbym tak bardzo się zmieniła?

Ma być przestrzennie

Człowiek jest stworzeniem niezmiernie zdolnym w dopasowaniu się do różnych warunków i może przez długi okres znosić nie tylko niewygodę, ale również ekstremalne przeciwności losu. To nie znaczy jednak, że je akceptuje – i gdy tylko pojawi się możliwość poprawy warunków życia, natychmiast z niej skorzysta. I nie musi robić tego nawet w pełni świadomie. Do lepszych warunków życia, wygody i piękna człowiek przyzwyczaja się bardzo szybko. W dzisiejszych czasach nikt nie musi już umierać dla zwiększenia życiowej przestrzeni – przynajmniej w Europie. Nikt nie musi sprzedawać własnej duszy, ani dać się wprzęgnąć w zwariowane plany jakiegoś niedoszłego malarza. Historia Europy również wyraźnie pokazuje, że walka o przestrzeń nie zawsze kończyła się jej zdobyciem. A jeśli nawet, to nie było go przecież więcej dla wszystkich – a o to podobno chodziło i chodzi. Chodzi o prywatną przestrzeń

– Nichts ist o.k. Ich möchte doch, dass du bei mir bleibst, auch wenn ich lese –

Er schaute mich lächelnd an und kam auf mich zu:

– Ja, alles wird gut – er bemühte sich mich zu beruhigen und schien zumindest mein Verhalten wirklich verstehen zu wollen.

Mit dem Heimzahlen hat es nicht richtig funktioniert, das war mir schnell klar geworden. Ich beschloss nicht weiter zu bohren, blieb aber weiter auf der Hut. Doch nichts passierte. Es brauchte eben seine Zeit, bis ich nun sein Bedürfnis nach Rückzugsmöglichkeit verstand, hinter der nichts anderes stand als der Wunsch, in Ruhe über verschiedene Dinge nachzudenken oder einfach mal nicht für andere da zu sein.

Jetzt brauche auch ich mehr Raum für mich. Woher also das anfängliche Missverständnis? Habe ich mich inzwischen so sehr verändert?

Schön geräumig

Der Mensch ist extrem anpassungsfähig und kann über lange Zeit viele Unbequemlichkeiten und gar Widrigkeiten des Schicksals ertragen. Das heißt aber nicht, dass er mit den ungünstigen Bedingungen immer leben will und wird, sobald ihm eine Verbesserung seiner Lage in Aussicht gestellt wird. Dann ergreift er die Chance und verbessert seine Lebensqualität. Er muss dies nicht einmal bewusst machen. An Besseres, Bequemes, Schöneres gewöhnt sich der Mensch schnell. Jetzt muss – zumindest in Europa – niemand für mehr Raum sterben. Seine Seele verkaufen oder sich selbst von Verrückten in ihre Sachen einspannen lassen muss auch niemand. Die europäische Geschichte zeigte bereits deutlich, dass der Kampf um mehr Raum nicht immer mit der Eroberung desselben endete. Und wenn, dann bedeutete das keineswegs mehr Raum für jeden – und um diesen Raum für jeden geht es hier. Wie groß auch immer der persönliche Raum zum Schluss sein wird, kann der Mensch auch nicht immer selbst bestimmen, aber er sollte ihn haben. Schon der psychischen Hygiene wegen.

Wer weiß, was nicht alles dadurch hätte vermieden werden können, wenn jedem Menschen etwas

każdego z nas. Nie zawsze możemy określić, jak duża ma być nasza prywatna przestrzeń – ale powinniśmy ją mieć. Choćby z powodu higieny psychicznej.

Kto wie, czegoż można było uniknąć, gdyby każdy człowiek miał więcej przestrzeni dla siebie w XII wieku, gdy Europa wyruszyła na krucjaty przeciw innowiercom, czy choćby w XX wieku, gdy przestrzeń na Wschodzie była jedyną, na którą mogła się rozrastać Trzecia Rzesza.

Człowiek bowiem, który posiada przestrzeń dla siebie i swoich myśli, niechętnie daje namówić się do wyruszenia do walki z innymi. Taki człowiek myśli, analizuje, robi się ociężały, a może też ostrożniejszy w ocenie innych. Potrzeba bardziej przekonujących argumentów, aby wyrwać go z wygodnego miejsca, w którym się znajduje. I tak długo, jak długo będzie dysponował *swoją przestrzenią*, będzie trudno go przekonać, że potrzebuje jej więcej.

Raum für ihn alleine zur Verfügung gestanden hätte, im 12. Jahrhundert, als sich Europa auf den Weg gegen seine Glaubensfeinde gemacht hatte, und im 20. Jahrhundert, als der Raum im Osten als die einzige Erweiterungsrichtung für das Deutsche Reich in Frage kam.

Der Mensch, der mehr Raum für sich und seine Gedanken hat, ist nicht leicht dazu zu bewegen, gegen andere Menschen ins Feld zu ziehen. Er reflektiert, wird langsamer, vielleicht auch vorsichtiger in der Beurteilung anderer. Es bedarf mehr Kraft, um ihn aus dieser bequemen Position herauszureißen. So lange er seinen freien Raum hat, wird er nicht so leicht zu überzeugen sein, dass ihm *der Raum fehlt*.

Übersetzung von Renata A. Thiele



Arkadiuszowi

I. Odnalezienie

Dwudziesty drugi maja
to będzie moje prywatne
święto
bo nikt tak jak ty
nie był tak bardzo we mnie
chłonę cię
po opuszki palców
a na balkonie zaklinam dzień
między trzecią a siódmą
trzydzieści
poza nami nie było świata



II. Zwątpienie

Coś poszło nie tak
nie porusza się śpiącego

mechanizmu
choćby miał najczulsze struny
mogłam poczekać
jeszcze trochę
może wtedy
już nic nie mogłabym zrobić
tymczasem
życie wypadło mi z ręki
uważaj –
– spadło pod twoje stopy



Kinga Mazur

III. Szukanie

Jeszcze wczoraj
trzymaliśmy się za ręce, nawet
za słowo, a dziś
tulę się do twoich zapalniczek
bo to jedyne
co mi zostawiłeś
na pamiątkę

kupiłam w mieście pół kilograma
czereśni, ale
nie jem ich
tylko wiążę językiem
ogonki na supełek
bo nie wierzyłeś
że potrafię to robić
umarłam kolejny raz
ale tym razem śmierć była
lekka bo ciągle
jestem jakby pod narkozą
już i tak
nie dotykałam chodnika idąc
mimo to
do aniołów mi daleko



IV. Rozstanie

Zapach tej pościeli już zawsze
będzie mi się kojarzył z tobą
szklanka, którą zostawiłeś
tkwi ciągle w tym samym miejscu
mówiłeś, że trzeba zniszczyć
żeby zacząć budować od nowa
tylko ile razy można
burzyć czyjeś życie
– nawet wymyślone
jutro posprzątam pokój
jutro posprzątam życie



Kinga Mazur

V. Pożegnanie (23:34)

Dwudziesta trzecia trzydzieści cztery.
Uczę się bez ciebie oddychać
i przyglądam się swoim liniom papilarnym
żeby przekonać się, że jednak nie byłam tobą.
Wyrzucam stare rysunki i
porządkuję pamiętniki i wspomnienia.
Jutro to miał być ten dzień w którym
nauczę się żyć.
Północ. Czar przysł.



VI. Zaakceptowanie

Nie dałeś mi wyboru. Miałam możliwość
zostać albo nie wyjeżdżać. Od tamtej pory
spoglądam z obawą w okna każdego pociągu
i mimo, że nie szukam cię już przez sen
latarnie ciągle nade mną gasną
(a myślałam, że już zdjąłeś tę kłatwę).
Sklejam serce plastrem, choć tutaj potrzeba
raczej dobrego kardiochirurga. Pojawiam się
w oknie jak dzień, którego nie będzie. Pewnie
spytałbyś: „więc po co?”...
Ku przestrodze.





Andrzej Buck

Andrzej K. Waśkiewicz

Szkic do portretu

(część II)

Waśkiewicz a Orientacja Poetycka Hybrydy. Uwagi autora *Form obecności >nieobecnego pokolenia* o kulturze literackiej lat 60.

Książka *Kultura studencka. Zjawiska – twórcy – instytucje* zredagowana przez Edwarda Chudzińskiego, wydana w Krakowie w 2011 przynosi wiele prób opisu zjawiska: kultura studencka. Jerzy Leszin w post scriptum do wyboru wierszy Andrzeja K. Waśkiewicza *Widmowe światło wspólnoty* (Anagram 2001) pisze o współpracy z poetą i redaktorem. Pisze, opatrując tekst bardzo charakterystycznym tytułem *Nie wiem czy historia będzie sprawiedliwa*.

W poniższym szkicu pragnę przybliżyć ważny epizod Orientacji Poetyckiej Hybrydy w biografii artystycznej krytyka towarzyszącego tej formacji. Warto dodać, że w pewnym sensie kontynuacją „Orientacji” (jako pisma) stały się później „Integracje”.

Coraz trudniej docierać do przeszłości, która w naturalny sposób odchodzi w zapomnienie. Ta

uwaga odnosi się do szeroko pojętej historii, do dziejów literatury jak i związanych z nią faktów. „Rzecz w tym wszakże, iż te same fakty po latach przybierają inny wymiar” – pisał krytyk. Zatem obraz, który próbuje zrekonstruować współczesny odbiorca jest niekiedy tylko jego interpretacją faktów, mimo że kieruje on się obiektywnym dążeniem w poszukiwaniu. Stąd wiele zjawisk z naszej tradycji literackiej tkwi w naszej świadomości jako mity, legendy i półprawdy. Jeśli więc piszę o Orientacji to m. in. po to ażeby pokazać ethos jej życia. Moje spojrzenie będzie zatem spojrzeniem obserwatora kultury literackiej lat 60.

Termin ethos rozumiem zgodnie z sugestiami Marii Ossowskiej¹ jako „styl życia jakiejś społeczności, ogólną – jak proponują niektórzy – orientację jakiejś kultury, przyjętą przez nią hierarchię wartości,

1 M. Ossowska, *Ethos rycerski i jego odmiany*, Warszawa 1973, s. 7; K. Wyka, *Pokolenia literackie*, Kraków 1977.

bądź formułowany *explicite*, bądź dający się wyczytać z ludzkich zachowań”.

Zadanie to w przypadku Orientacji Poetyckiej Hybrydy nie jest łatwe. Wokół tego zjawiska nagromadziło się tyleż samo mitów, co nieporozumień. Podstawą do tych ostatnich jest niezmiennie, bez wyodrębnienia potrzebnych kryteriów, wartościowanie. Inne bowiem obowiązują kryteria w możliwych tu perspektywach oglądu, czyli inaczej spojrzy tu historyk literatury, inaczej zgoła socjolog literatury czy socjolog życia literackiego.

W przypadku ujęć socjologicznych podstawą do podejmowanych wycen są – jak twierdzi Janusz Stradecki² „fakty-dzieła”, czyli materiał literacki oraz „teksty zachowania”, a więc materiały przynoszące informacje o wspólnocie grupowej, rejestrujące działalność instytucjonalną, sytuujące pokolenie na terenie współczesnego życia literackiego. Są to badania wielokontekstowe, zmierzające do w miarę spójnego zrekonstruowania sposobu bycia młodych poetów lat 60.

Rekonstrukcji tej rzeczywistości, którą nazywamy życiem literackim nie nauczyła nas ani historia, ani historia literatury, ani nawet socjologia. Wyczuwamy jedynie, że obszar zjawisk tu nas interesujących rozciąga się między tymi trzema dyscyplinami naukowymi, że częściowo fakty, o których myślą badacze życia literackiego, różnymi zakresami wchodzi w skład każdej z tych trzech dyscyplin... – pisze Marian Stępień³, potwierdzając nasze uwagi o złożoności takich badań. Tym bardziej że łatwo w przypadku badań pokoleniowych doprowadzić do powstania wszelkiego rodzaju mitologii i legend.

Kiedy mówimy o Orientacji w opisie tych wydarzeń należy kierować się zasadą, o której mówił Adam Zagajewski, iż „socjologiczna sfera wydarzeń, sfera konkursów i publicznego życia tego pokolenia, ściśle przylega do jego poezji”⁴. Jest to tym bardziej uzasadnione, że Orientacja Poetycka Hybrydy jest ruchem, który u jego swego istnienia proponował

nie indywidualności pisarskie, lecz zorganizowane działanie, nastawione na towarzysko i niekiedy edukacyjne działanie, również do wewnątrz (świadczy o tym cykl imprez np. „Geniusze poezji – ich sztuka i idea” czy też inny: „Ludzie sztuki o sobie”).

Tu jeszcze winien jestem kilka słów usprawiedliwienia. Otóż Orientacji Poetyckiej Hybrydy nie znam z autopsji, nigdy nie uczestniczyłem w jej działaniach, inicjatywach. Prawdą jest, że krytyk lub badacz ma do dyspozycji cały materiał dokumentacyjny, szczególnie obfity w przypadku naszego przedmiotu rozważań.

Jednak odpowiedź na pytanie: czy klęska Orientacji wyniknęła z braku wartościowej propozycji artystycznej czy też owa klęska mieści się w kategoriach pozaoficjalności; odpowiedź na to pytanie nie wynika jednoznacznie z dostępnych źródeł. Jeśli bowiem czytamy oceny np. Stanisława Stabro, który twierdził, iż: „Miarą upadku warszawskiej Orientacji jest fakt, że jedyną płaszczyzną sporu, jaką proponuje jest socjologia trwania jej samej”⁵ możemy potraktować je jako wypowiedź reprezentanta opozycyjnego wobec Orientacji pokolenia „Nowej Fali”. Jeśli zaś sięgniemy do szeregu rzetelnych artykułów K. Gąsiorowskiego zwraca naszą uwagę taki mniej więcej ton wypowiedzi:

W końcu, jeżeli młody poeta zbyt boleśnie odczuwa pozostawienie go poza życiem publicznym, które to w jego oczach własne istnienie uzasadnia i usprawiedliwia, i zbyt długo nie może w sobie wytrawić potrzeby występowania we własnym imieniu, a wzdraga się, jeszcze się wzdraga przed zanurzeniem się w ochronne życiodajne wody cynizmu lub egocentryzmu, popada wówczas w podejrzaną nadczynność organizacyjną, w hipertrofię, umożliwiającą mu skupienie aktywności. Roztrwania się na drobiazgach i ponosi kolejną porażkę, klęskę bycia powierzchownym⁶.

2 J. Stradecki, *W kręgu Skamandra*, Warszawa 1977, s. 29.

3 M. Stępień, *Jak pisać o życiu literackim*. „Ruch Literacki” 1973, s. 1,33.

4 A. Zagajewski, *Stracone pokolenie*, [w:] J. Kornhauser, A. Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*. Kraków 1974, s. 94

5 S. Stabro, *Zabijanie trumny gumowym młotkiem*, „Student” 1972, nr 1.

6 K. Gąsiorowski, *Skok przez pokolenia*, „Orientacja” 1966 (maj), s. 31. Por. też Krzysztof Gąsiorowski, *Trzeci człowiek – Szkice o realności poezji współczesnej*, Warszawa 1980.

A więc wypowiedź, która jest intencjonalnie oskarżeniem czy też zrzuceniem odpowiedzialności na brak możliwości uczestniczenia w pełnym społecznym obiegu literatury i wskazaniem na konsekwencje psychologiczne tej sytuacji. Ale i ona budzi podejrzenia. Bo przecież tak często zestawiane fakty czy opinie literackie mogą stanowić argumentację o względnej wartości. W numerze 1 „Studenta” Stanisław Stabro opublikował sprawozdanie z „VI Dnia Poezji” zatytułowane *Zabijanie trumny gumowym młotkiem*⁷. W takim tonie ocenił imprezę:

Podczas tych warszawskich dwóch dni na opustoszałym polu rozlegała się już tylko samotna trąbka, samotny werbel spóźnionych doboszy usiłujących wmówić przybyłym, iż odprawiają właśnie śmierć żołnierską – gdy tymczasem była to tylko komedia pragnienia. Tym, co po nas zostanie, będzie jedynie rzeczywistość doznań zamkniętych w dziele sztuki. Kreowanie gwałtem faktów historyczno-literackich jest najwyższą parodią tego procesu z lubością przez niektórych uprawianą. Liczą się dzieła nie usiłowania.

Ocena ta napisana przez przedstawiciela polemicznej wobec Orientacji „Nowej Fali” – została podważona – też pod względem zgodności faktycznej – przez Jerzego Leszina⁸.

Opublikowany w „Studentie” artykuł zajmuje się jednak oceną nie twórczości, ale konkretnej imprezy. A są to, a raczej powinny być odrębne sprawy. Nie wiem np. skąd S. Stabro wie, że honorową godność Księcia Poetów otrzymał Janusz Żernicki, skoro godność tę przyznano pośmiertnie Julianowi Przybosiowi. [...] S. Stabro może nie cenić działalności Orientacji, może uważać jej twórczość za bezwartościową, trudno mu będzie jednak udowodnić, że była to grupa, która troszczyła się tylko o siebie, w suplemencie do antologii *Wnętrze świata* znajdzie wiersze poetów, którzy z Orientacją nigdy

związani nie byli, także tych, którzy ją – w różny sposób – zwalczali.

Te ambiwalentne oceny mieszczące się w normalnym dla życia pokoleniowego literatury sporze między odrębnymi konstelacjami poetyckimi wprawiają nas w stan zakłopotania.

Podstawą pokoleniowej odrębności jest przede wszystkim literacki bagaż, jaki ono pozostawia. Ale ten bagaż dziś dla przeciętnego czytelnika, a często i specjalisty – np. studenta polonistyki jest trudno dostępny. Chociażby ze względu na ich formułę ulotną. Orientacja – pietyzmem i pedanterią podsumowała siebie w wielu wydawnictwach (m.in. Orientacja. Suplement do 12 numerów oraz Antologia poetycka *Wnętrze świata*). Jednakże są to wydawnictwa, jak to określił krytyk „podziemne”⁹, pozaoficjalne i – co ciekawe – rzadko gromadzone przez naukowe, a jeszcze rzadziej publiczne biblioteki. Rozproszony materiał sporów, które toczyły się wokół tego ruchu na łamach czasopism też trudno spenetrować, choćby z paradoksalnych przyczyn braku egzemplarzy niektórych czasopism („Współczesność”) w wielu bibliotekach.

Niektóre antologie też skąpią wyboru tekstów przedstawicieli tej generacji. Weźmy np. antologię Andrzeja Lama. Z zasadniczej dziewiątki poetów Hybrid autor wybrał nazwisko jednego – Zbigniewa Jerzyny. Poza barykadą pozostawił m.in. Bordowicza, Górzańskiego, Stachurę, Sadowską, Gąsiorowskiego, Waśkiewicza, Żernickiego i Markiewicza.

Krytycy wysuwają niekiedy zarzuty, że problem obecności Orientacji jest wynikiem faktu, iż niektórzy z twórców tego ruchu do dziś grzebią się w tamtych latach, próbując wskrzesić, uporządkować rzeczy nieistotne. Powstaje jednak zasadnicze pytanie: kto tych ocen ma dokonywać. Jak wszyscy wiemy – zresztą pisało się o tym często – Orientacja zrazu nie miała swoich krytyków. Jak pisał A. Zagajewski – żartobliwie – byli oni „być może ciągle jeszcze zajęci analizami wierszy Grochowiaka i Białoszewskiego”¹⁰.

7 Por. S. Stabro, op. cit.

8 J. Leszin, *W sprawie zabijania trumny*, „Student” 1972, nr 6.

9 Por. K. Waśkiewicz, *Podziemia literatury*, „Kultura” 1967, nr 6.

10 A. Zagajewski, op. cit., s. 93

Naturalną konsekwencją była więc konieczność wyłonienia spośród własnej grupy krytyków-teoretyków proponowanej nowej poetyki. Dodajmy jednak, że ten, który dokonał syntezy świadomościowej (praca Andrzeja K. Waśkiewicza *Modele i formuła*) oraz instytucjonalnej (*Formy obecności nieobecnego pokolenia*), posądzany był o kokieterię, uważany za pogrobowca. Zaś ci, którzy powołani byli do bezstronnej krytyki milczeli. Chociaż można wymienić nazwiska kilku krytyków, którzy regularnie brali udział w organizowanych w latach 1960-1970 spotkaniach, dyskusjach, publikacjach zbiorowych na temat Orientacji; są to m.in.: Janusz Sławiński, Piotr Kuncewicz, Janusz Maciejewski, Alicja Lisiecka. Jednakże nie była to krytyka własna, lecz przez pewien okres będąca na usługach systemu wydawnictw Orientacji.

Pozbawienie Pokolenia 60 ważnego ogniwa układu komunikacyjnego, elementu normalnego obiegu społecznego świadomości literackiej, a mianowicie instytucji krytyki zniekształciło jego kontakt z odbiorcą (publicznością literacką). Inną przyczyną specyficznego modelu życia młodoliterackiego związanego z tzw. obiegiem wewnętrznym literackich propozycji był system wydawnictw oraz strategii życia społecznego. Myśląc o formułowaniu ethosu społecznego trzeba by pokusić się o zdefiniowanie formalne tego Pokolenia. Fakt, że oparcie formalne i finansowe znalazło to Pokolenie w organizacji studenckiej być może miał wpływ na istniejące do dzisiaj spory. Można słusznie stwierdzić za A. Zagajewskim¹¹, że działania Pokolenia 60 startowały już jako organizujący się ruch kulturalny. Zresztą hasło Pokolenie 60 zawiera w sobie, jak wiemy, grupę literacką Orientacja, oraz instytucje (ugrupowania) będące *vorgeschichte* następnego pokolenia, określane mianem Forum Poetów Hybrydy i cały plik jedności pokoleniowych.

Jak rzadko w którym, w Pokoleniu 60 mieści się klinicznie wszystko niemalże co konstytuuje poko-

lenie i co jednocześnie budzi wątpliwości przy jego kreowaniu. Dążenie do odrębności, nawet instytucjonalnej to dla socjologa już wyróżnik nowej formacji. Oglądanie się za tradycją generacji ostatniego 50-lecia to inny przyczynek do tej odrębności. Uchwycenie konsekwencji mecenatu organizacji studenckiej, a więc usytuowanie tych wydarzeń w kręgu kultury studenckiej, zawsze w jakimś sensie pozaoficjalnej, to kolejna inspiracja do refleksji.

Rzadko kwestionuje się istnienie Orientacji Poetyckiej Hybrydy jako grupy literackiej, która powstała w marcu 1960, wówczas jako Warszawski Klub Twórczy Młodych – sekcja CKWS „Hybrydy”, a którą tworzyło dziewięciu poetów: Gąsiorowski, Bordowicz, Jerzyna, Leszin, Markiewicz, Zaniewski, Jastrzębiec-Kozłowski, Żernicki i Sadowska.

Kłopoty pojawiają się też przy używaniu terminu „Pokolenie 60”. Nie wszyscy z piszących upierali się przy ściśle precyzyjnym klasyfikowaniu Orientacji jako pokolenia. Krzysztof Gąsiorowski np. pisze:

Konkretyzując Orientacja Poetycka Hybrydy nie stanowiła grupy artystycznej w ścisłym tego słowa znaczeniu. [...] Orientacja stanowiła poetycką orientację! Tworzyła zespół poetów zjednoczonych w miarę podobnym poglądem na istotę poezji, podobną, inną niż akurat obowiązujące i waloryzowane, postawą poetycką; w tym też sensie „orientacja” ogólnie rzecz biorąc istnieje nadal. Była to nie grupa poetycka, ale ruch literacki. Nie kierunek w literaturze, lecz kierunek literatury¹².

Janusz Maciejewski w szkicu *Wnuczęta po latach*¹³ stawia problem następujący:

Orientacji [...] nie traktuję jako generacji. Uważam ją za grupę ponadgeneracyjną. [...], której trzon główny składa się z przedstawicieli „pokolenie 56”. [...] Ukształtowała się ona nieco później [...] ale nie na tyle, aby jej członkowie mogli mieć

11 Ibidem.

12 K. Gąsiorowski, *Na barykadach kreacji*, [w:] *Wnętrze świata. Antologia poetycka kręgu Orientacji 1960-1970*, red. J. Leszin, Warszawa 1972, s. 21.

13 J. Maciejewski, *Wnuczęta po latach*, [w:] „Orientacja”, Suplement do 12 numerów. Warszawa 1973, s. 18.

innego typu doświadczenia historyczne. Główną wizją [...] był sprzeciw wobec istniejących, obsadzonych już personalnie instytucji życia literackiego.

Inny z badaczy, Andrzej K. Waśkiewicz pisze:¹⁴

W ten sposób Orientacja stanowiła: 1) grupę poetycką dysponującą zespołem „instytucji programowych”, 2) reprezentację „wstępującego pokolenia”, 3) zespół programujący sferę działań literackich ZSP, 4) zespół programujący system wydawnictw literackich.

W artykule *Pokolenie Orientacji, krąg Orientacji* skłania do używania terminu: krąg Orientacji. Andrzej Śliz na łamach „Poezji”¹⁵ zgadza się z sugestiami K. Gąsiorowskiego, traktując wydarzenia lat 60. jako ruch kulturotwórczy, jako specyficzny model literackiego działania.

W przedstawionym powyżej szeregu określił poetów, których debiut przypadł na lata 60., spostrzegamy wyjątkową rozbieżność jeśli idzie o zaklasyfikowanie ich działań. Jest to bodaj najbardziej niewralgiczny punkt socjologicznych dziejów literatury polskiej.

Jest to zaiste dziwne trochę zjawisko świadczące o tym jakby historia upatrzyła sobie debiutantów początku lat 60., czyli grupy Orientacja jako chłopców do bicia, jest to jednocześnie jakby przypadek kliniczny w dyskusjach na temat sensowności pokoleniowych periodyzacji. Tezę pierwszą potwierdza szereg głosów krytyków, w tym np. Krzysztof Gąsiorowski w artykule *Albinos*¹⁶ pisząc:

Tymczasem od pierwszych zbiorowych wystąpień, aż po dzień dzisiejszy jest Orientacja celem ataków przedstawicieli wszystkich pokoleń literackich: i tych przedwojennych, i „kolumbów”

i „współczesniowców” i wreszcie najmłodszych [...] Nie miejsce tu na obronę, ale taka powszechna i długotrwała jednomyślność skłania do zadumy. A może kiedyś byłoby jednak warto na chłodno zastanowić się, co spowodowało tak energiczną niezgodę na propozycję hybrydowców. Dlaczego z biegiem czasu ten protest nie słabnie (por. np. dyskusję na łamach lubelskiej „Kamena”¹⁷ – przyp. mój) a bywały lata, kiedy nie było tygodnia bez skazującego wyroku.

Częstym błędem, jaki popełniają polemici jest niezbyt precyzyjne zrozumienie funkcji, którą pełni ma kategoria „pokolenia” w refleksji o literaturze. Zrazu używanie do opisu dziejów literatury bliskich sobie pojęć grupa i pokolenie sugeruje dość proste rozróżnienie. Otóż pojęcie grupy literackiej w zasadzie nie musi być weryfikowane, gdyż pisarze po prostu łączą się w grupy i jedyne, co krytyk może uczynić, to dokonywać zabiegów wartościujących. Pokolenie jest narzędziem jakby w rękach badacza. To on bowiem z perspektywy kroi literaturę na kawałki i ostatecznie sankcjonuje istnienie pokolenia. Nie znaczy to wcale, że w danym czasie historycznym pewna grupa młodych rówieśników nie uświadamia sobie odrębności, własnej świadomości. Można powiedzieć, że pokolenia istnieją w pogotowiu, w stanie potencjalnym. Wystarczy tylko, by zbiorowość młodych w odpowiedni sposób zareagowała na czas historyczny i na tkwiące w nim tzw. ośrodki krystalizacyjne.

Ten opis kategorii zmusza nas do szukania odpowiedzi na inne pytanie, mianowicie: czy kategoria pokolenia pełni rolę wartościującą czy jedynie opisową. Jest to pytanie ważne albowiem przyjęcie jednej z odpowiedzi diametralnie zmienia proponowane układy pokoleń w obrębie danego czasu. Funkcja pierwsza wartościująca – sytuowałaby ten termin w historii literatury, bowiem pokoleniem na-

14 A.K. Waśkiewicz, *Formy obecności nieobecnego pokolenia*, Łódź 1978. s. 59.

15 Por. A. Śliz, *Poetycki ruch kulturotwórczy Pokolenia 60*, „Poezja” 1977, nr 3, s. 81.

16 K. Gąsiorowski, *Albinos?*, „Literatura” 1973, nr 17, s. 3.

17 Por. H. Makarski, *Nadęty balon pokolenia*, „Kamena” 1980, nr 4; R. Gorzelski, *Leszin-Waśkiewicz – dokąd idziecie?*, „Kamena” 1980, nr 7; M. T. Barański, *Głos z zewnątrz*, „Kamena” 1980, nr 8; T. Soldenhoff, *Kto pluje pod wiatr*, „Kamena” 1980, nr 10.

zywialibyśmy taką grupę ludzi, która swoją odrębną świadomość pokoleniową zrealizowała wartościowo artystycznie w proponowanej twórczości. Wówczas termin ten wymykałby się z ujęć socjologicznych. W przypadku zaś funkcji drugiej – opisowa – jesteśmy na gruncie ujęć socjologicznych, co znaczy, że w opisie, w tym co stanowi o pokoleniu, bierzemy pod uwagę również teksty przeciętne, jak i pisarzy, którzy w rozrachunku literackim nie byłiby brani pod uwagę. Chodzi więc tu nie tyle o weryfikację uznanych dokonań literackich, ile o wyodrębnienie kolejnych grup młodych debiutantów, których sytuacja debiutu była odrębna z różnorakich względów, tzn. politycznych, społecznych, literackich, instytucjonalnych; i z tych powodów ukształtowała się ich odrębna świadomość, która znalazła odbicie w realizacjach literackich, niekoniecznie do końca spełnionych artystycznie i nowatorsko.

Przypomniane tu rozumienie kategorii pokolenie sprowadza je do funkcji porządkowania faktów literackich. Służy zatem celom heurystycznym i jak to np. formułuje Janusz Maciejewski¹⁸ „wyjaśnianiu zjawisk literackich”. Przeciwno zbyt chyba skrupulatnym próbom negocjowania tej kategorii występował Krzysztof Gąsiorowski, pisząc: „Pokolenie literackie stało się dziś niemal antyproblemem”. Zwracał też uwagę na inny jeszcze aspekt:

Lekceważenie problematyki pokoleniowej przez samych pisarzy niemal uniemożliwia utworowi artystycznemu przekroczenie strefy doświadczenia osobistego i wiersz czy powieść bez swoistego mitu pokoleniowego, bez pokoleniowej metafizyki nie narasta w ponadindywidualną wizję epoki¹⁹.

Wyjście zatem jest może i kompromisowe – z punktu widzenia obrońców literatury. Dla badacza życia

literackiego, socjologa tego życia, czy wreszcie psychologa twórczości śledzenie losów pokoleń najbardziej wątpliwych jest interesujące. W świetle tego wydaje się słusznym twierdzenie, że w sensie socjologicznym ethos bycia młodych lat 60. jest specyficzny, odrębny i na płaszczyźnie instytucjonalnej istnienie tego pokolenia jest uzasadnione²⁰.

Sprawą równie ważną z perspektywy omawianego kontekstu działalności Orientacji jest mecenat Zrzeszenia Studentów Polskich. Nie jest może rzeczą dziwną, że instytucjonalnie Orientacja pomocy szukała w organizacji studenckiej. W tamtym okresie potencjał studenckiej kultury zgadzał się z tezą o teź jako alternatywie dla kultury narodowej. To zresztą, także potwierdzają losy ludzi związanych z pokoleniem Orientacji. Sprawa mecenatu ZSP nad ruchem poetyckim, o którym mówimy została opisana przez Andrzeja K. Waśkiewicza w *Formach obecności „nieobecnego pokolenia”*²¹. Punktem wyjścia stało się tu rozróżnienie instytucji młodych lat 60. przez krytyków na instytucje młodych i instytucje dla młodych, a ruch, który wokół nich się skupia nazywa on samosterownym i sterownym.

Geneza tego podziału – oczywiście na pewnym stopniu uogólnienia wydaje się stosunkowo prosta. Można ją – sądzę – ująć w kilku punktach tzn. jako 1) konsekwencje decentralizacji życia kulturalnego i literackiego, 2) sprzeciw wobec hegemonii – przede wszystkim instytucjonalnej – pokolenia „Współczesności”, a na interesującej nas płaszczyźnie czasopisma „Współczesność”, 3) dążenia do odrębności, samodzielności mimo przekonania o braku tzw. przeżycia pokoleniowego.

Spróbujemy rozwinąć te tezy.

Antynomia: samosterowność i kierowanie wynika z polityki decentralizacji, która dominować zaczęła w kulturze drugiej połowy lat 50. i 60. Być

18 Por. sugestie J. Maciejewskiego: *Kategoria pokolenia w badaniach literackich*, [w:] *Przedburzowcy. Z problemów przelomu między romantyzmem a pozytywizmem*, Kraków 1971.

19 K. Gąsiorowski, *Źródła poezji*, [w:] *Za progiem wyboru*. Warszawa 1969, s. 29.

20 Por. A. Buck, *Nie chcieli być „przedszkolem poetyckim”*, „Nowy Medyk” 1979 nr 16; tenże: *Mimo wszystko – tygiel*, [w:] A. Buck, *Czasopisma literackie młodych 1944-1972. Szkice*. Zielona Góra 1992. Por. też. hasło: Orientacja Poetycka Hybrydy, [w:] Ewa Gębicka, *Grupy literackie w Polsce 1945-1989*, s. 217-141.

21 Por. (K.G.) [...] o *młodej literaturze*, „Orientacja” 1967 grudzień, s. 3-4.

może ten kierunek rozwoju kultury miał pozytywny wpływ na zaoranie ugorów kultury regionalnej. Taką tezę potwierdza książka Romana Karpińskiego *Prasa w systemie kultury* opisująca mechanizm powstania wielu czasopism społeczno-kulturalnych tego okresu. W praktyce jednak wytworzył dwa obiegi społeczne literatury, tzn. oficjalny (określony wcześniej jako sterowany – to w przypadku młodej literatury), w literaturze dojrzałej w obiegu oficjalnym rolę tę spełnia „Współczesność” oraz na nieoficjalny, a więc ten, którego wytworzone wartości krążą w obiegu zamkniętym, poprzez system tzw. literatury nieoficjalnej, bądź poprzez specyficzne imprezy literackie, których ilość – w jednym i drugim przypadku niepomiaralnie różnie. Można by więc powiedzieć, że istnienie tych dwóch obiegów, ujmując rzecz dialektycznie jest całkowicie naturalne, jeśli uświadomimy sobie tezę o wielofazowości procesu historycznoliterackiego.

To zjawisko odnosi się do lat 70. i 80., gdy słyszemy zarzuty, a przynajmniej powątpienia czy np. „Nowy Wyrz” określony w podtytule jako „miesięcznik literacki młodych” jest reprezentantem rzeczywistej młodej literatury. Nurt pozaoficjalny – z gruntu stawiał młodych – na pozycji przedszkolaków, stąd można ich było lekceważyć, postawić w charakterze „chłopców do bicia”. Bowiem powiązania z ZSP dawały młodym szansę na samosterowność, jednakże kierowały na drogę owej pozaoficjalności. Pozostańmy na chwilę przy szansie. Trzeba wspomnieć, zarysowując sytuację tego okresu, że wśród 42 grup literackich zarejestrowanych w latach 60. aż 17 opierało swoją działalność na funduszu ZSP, zaś ZMW popierał 9 grup, a ZMS 6²². Oczywiście jest fakt, że Orientacja Poetycka Hybrydy narodziła się w klubie studenckim, gdzie funkcje kierownika programowego pełnił Jerzy Leszin. To jest instytucjonalny argument. Odrębność, a więc pożądanym aspektem rozpatrywanej tu antynomii zauważył A.K. Waśkiewicz. Pisał:

Ruch literacki ZSP działał na odmiennych zasadach. Nie istniała tu żadna centralna organizacja kierująca działaniami grup twórczych. [...] Oznacza to, że rolę programującą pełniły tu nie nadrzędne – wobec grup twórczych – instancje, ale same grupy. Względną całość tego ruchu zapewniało nie trwanie instytucji (jak w przypadku KKMP), ale – dynamika powstawania i upadku grup. Hierarchicznej strukturze KKMP ruch ten przeciwstawił strukturę otwartą²³.

Obieg pozaoficjalny poważnie zmodyfikował formy kontaktów między młodymi pisarzami a publicznością literacką. Związki te nie były przykładem zdrowego organizmu literackiego. Pisał o tym w zbiorze *Remont pegazów* Jerzy Kwiatkowski:

Nadmiar [...] zjazdów i festiwali – stanowić przecież może jedyną z przyczyn uniformizacji współczesnej młodej liryki [...] Wyjazdy w teren nie zastąpią mieszkańcom gett literackich autentycznych powiązań z życiem społeczeństwa. Cóż dopiero, gdy najmłodszy spośród mieszkańców, kształtujący właśnie swoje style i wyobrażenie – stale międzymiastowo zjeżdżają się ze sobą, gdy wyruszając na drugi koniec Polski, czynią to nie tyle po to, by poznać nieco odmiennych ludzi, zwyczaje, klimat społeczny, kulturę, lecz przede wszystkim po to, by jeszcze raz spotkać się, czytać własne i słuchać cudzych wierszy wciąż tych samych kolegów, wierszy – w nieuniknionej konsekwencji – coraz bardziej do siebie podobnych, wspólnych zbiorowych. Wędrujący po Polsce od ładnych kilku lat wielki festiwal – to pierwsze z uwarunkowań anonimowości współczesnej poezji polskiej²⁴.

Jeśli by zapytać o korzyść z tego mecenatu, odpowiedź brzmieć powinna następująco: z punktu widzenia organizacji był to ruch pozytywny, z pew-

22 Ustalenia A.K. Waśkiewicza. *Formy obecności...*, s. 50.

23 Ibidem, s. 25.

24 J. Kwiatkowski, *Prześciancie mówić jakimś sztucznym basem*, [w:] *tenże. Remont pegazów. Szkice i felietony*. Warszawa 1969, s. 281-282.

nością przyczynił się do ożywienia kultury studenckiej. Gdy spojrzemy jednak na korzyści z punktu widzenia literatury jak i publiczności literackiej ocena nie będzie pozytywna. Literatura bowiem żąda nie socjologii trwania, lecz nowych prawd literackich. Skutki rozbicia prawidłowego obiegu społecznego tej literatury przejawiały się w powstaniu wspomnianych już instytucji zastępczych.

Imprezy te, jak się wydaje, służyły celom edukacyjnym, po drugie towarzyskim, a także podkreśleniu inności i zwróceniu uwagi na istnienie nowego ośrodka skupienia, czy inaczej mówiąc ośrodka opiniodawczego – i to była funkcja ekspansywna. W tym twierdzeniu zamyka się sprzeciw wobec hegemonii „Współczesności” (pokolenia i pisma). O tym ostatnim pisał A.K. Waśkiewicz: „publikowała kolumny pod symptomatycznymi tytułami w rodzaju: *Już młodszy od nas*, większość autorów debiutujących po roku 1960 publikowała tu swoje utwory”.

Pojawienie się owych instytucji zastępczych²⁵ stworzyło odmienny model literackiego bycia.

Od maja 1960 roku zaczyna cyklicznie być organizowana impreza pn. Tydzień Poetycki Stolicy, podczas której prezentowano twórczość różnych pokoleń czy też grup poetyckich. Następne odbyły się w maju 1961, 1962, 1963 (pod hasłem *450 lat książki polskiej*), 1964.

Osobnym cyklem były Warszawskie Piątki Twórcze, w ramach których odbywały się regularne imprezy:

1. „Ludzie sztuki o sobie” – gościli: Julian Przyboś, Jan Parandowski, Anatol Stern, Jan Śpiewak, Izabela Stachowicz, Ida Kamińska, Lucjan Rudnicki, St. Rembek i in.

2. „Pokolenie, które wstępuje” (Zb. Jerzyna – X 1960, A. Zaniewski – X 1960, E. Stachura – XII 1960, K. Gąsiorowski – I 1961, Jerzy L. Ordon – IV 1961, Maciej Z. Bordowicz – X 1961, Janusz Żernicki – XI 1961, J. Russocka, T. Luterek, Z. Ruciński – I 1962).

3. „Geniusze poezji – ich sztuka i idee”. Przedstawiono tu m.in. C.K. Norwida, Charlesa Baudelaira, Edgara Poe’go i in. Również powstała Estrada Poezji

Rewolucyjnej im. Władysława Broniewskiego oraz Tydzień Poezji i Muzyki Radzieckiej.

Wreszcie Warszawskie Sympozjony Poetyckie Młodych. Pierwszy z nich odbył się w listopadzie 1961 zorganizowany wspólnie z „Nową Kulturą”, następny (Ogólnopolskie Sympozjum Młodej Poezji i Krytyki Poetyckiej) odbył się w maju 1962 roku. W styczniu 1966 odbywał się Ogólnopolski Dzień Poezji – impreza o ambicjach kontynuowania tradycji ogólnopolskich zjazdów poetyckich organizowanych przez ZMS i ZMW w drugiej połowie lat 50. Ogólnopolski Dzień Poezji odbył się potem jeszcze pięć razy, a co charakterystyczne, będąc początkowo próbą krytycznego i teoretycznego uzasadnienia działań Orientacji (por. np. I 1966 – ref. A. Lisieckiej; „Poeci Orientacji Hybrydy” i K. Gąsiorowskiego: „Pokolenie 1960, próba lokalizacji”; podobnie było w styczniu 1967, od IV Dnia, styczeń 1968, dzięki referatom T. Burka: „Poezja jakiej nam potrzeba”, S. Barańczaka: „Poezja myśli i poezja słowa” i M. Sprusińskiego: „Lista obecności nieobecnego pokolenia”) stał się miejscem przełomu, rysowania się poetyckich kontrpropozycji rodzących się w łonie działań instytucjonalnych przedstawicieli Orientacji. Dzień VI (grudzień 1971) był zaś imprezą zamykającą działania kręgu Orientacji.

Wśród imprez związanych z polemiką między Orientacją a „Nową Falą” wymienić tu należałoby Toruńskie Maje Poetyckie. Impreza ta, podobnie jak poprzednie tu opisane, firmowana była przez ZSP, początkowo o zasięgu lokalnym od 1966 roku przyjęła formułę ogólnopolską. Należy również wspomnieć o Spotkaniach Poetów i Krytyków organizowanych przez grupę „Teraz” w Cieszynie (udz. MRN, RO ZSP, Pod Jaszczurami).

Jak stwierdza Waśkiewicz najistotniejszą zatem rolę dla krystalizowania świadomości z punktu widzenia odrębności pokoleniowej odgrywały „zjazdy i seminaria organizowane z inicjatywy grup programowych”, zaś z punktu widzenia społecznej obecności jak np. relacji polityka kulturalna – a młoda literatura imprezy „ogólnośrodowiskowe o charakterze paraw zawodowym” oraz „imprezy orga-

25 Kalendarium imprez: Ewa M. Kronika „Orientacji” 1960-1972, [w:] „Orientacja”. Suplement do 12 numerów, Warszawa 1973.

nizowane przez czynniki kierujące polityką kulturalną”.

W relacji: pokolenie Orientacji a społeczeństwo niepodobna nie poruszyć problemu zaangażowania. Problem ten możemy rozpatrzeć na kilku płaszczyznach wypowiedzi. Teoretycznie – w imieniu Orientacji – sformułował go m.in. Andrzej K. Waśkiewicz (np. szkic *Modele i formuła* w książce pod tym samym tytułem) oraz K. Gąsiorowski np. szkic w „Kulturze” pt. *Koniec czarnego poloneza* oraz ważniejszy: *Trzeci człowiek. Uwagi o zaangażowaniu poezji jako problemie artystycznym wobec własnego czasu*.

Adam Zagajewski zauważył różnice w pojmowaniu tego problemu przez Pokolenie 56 i 60. Okazuje się, że dla tego pierwszego zaangażowanie było „sposobem pisania”. Dla poetów Pokolenia 60 „stało się problemem”. Píše on:

Gdy czyta się liczne wypowiedzi teoretyczne tych poetów, widać w nich wielką tęsknotę za zaangażowaniem, jest to słowo-klucz ich wystąpień [...]. Zaangażowanie przestało być prostą reakcją, spontaniczną postawą, utraciło tę niemal zmysłową postać jaką przybrało w roku 1956²⁶.

Zaangażowanie Orientacji przejawiało się również w praktyce konkursowej lub też w wielu innych deklaracjach. Np. Jerzy Leszin w numerze „Widzeń” w artykule *Kim jesteście pisać*:

Żyjemy w niezmiernie ciekawej i zarazem przelomowej dla człowieka epoce. Jesteśmy świadkami olbrzymiego i konsekwentnego marszu ludzkości w przyszłość komunistyczną, świadkami ostatecznego zmagania się, zarówno w życiu, jak i w sztuce, starego z nowym. [...] Sztuka ideowa bezgranicznie oddana człowiekowi, walcząca, humanitarna – jest i będzie dokumentem naszego uczestniczenia w wielkich przemianach naszej epoki²⁷.

Problem „zaangażowania” pojawił się również – jak powiedzieliśmy w praktyce konkursowej. Nie

jest moim zamiarem ponowne odtwarzanie ich tematyki, ani też struktury. Na ten temat czyniono już wiele uwag. Powiem jedynie, iż ilość konkursowych derbów niesamowicie wzrosła (np. wg *Polskiej bibliografii literackiej* w 1948 było 23, zaś np. w 1967 ok. 94).

Instytucje konkursów cechowało zróżnicowanie formy, od turniejów podczas zjazdów i sympozjónów, po konkursy okolicznościowe i rocznicowe. Przypomnijmy kilka tych, które proponowała Orientacja: „Idea Lenina” – konkurs ogłoszony w 90. rocznicę urodzin Wodza Rewolucji Socjalistycznej, „Zrodziła ich walka” – w XXX-lecie powstania Polskiej Partii Robotniczej i Związku Walki Młodych, „Nasze dwudziestolecie” – w XX-lecie Polski Ludowej, „U źródeł nowego wieku” – w 50. rocznicę Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej.

Te kilka przykładów pozwala na tezę o pewnym specyficznym sposobie manifestacji zaangażowania przez ośrodek dyspozycyjny Orientacji. Powiedziałem specyficznym, lecz nie oznacza to, że niewytłumaczalnym. Może logika tego kryje się w tezie o tzw. małej stabilizacji. Innymi słowy, że młodzi 1960, nie posiadając w zanadru faktu politycznego, historycznego do natychmiastowej reakcji, a będąc jednocześnie pod presją zarzutu „pokolenia bez biografii” chcieli stworzyć sobie przyczynek do poetyckich manifestacji tegoż. Choć oczywiście te wywody sprzeczne będą z teoretycznymi ujęciami zaangażowania jakie prezentował m.in. A.K. Waśkiewicz.

O zaangażowaniu jako problemie nie służyły ideom, a więc poezji niejako interwencji, ale jako problemie artystycznym pisał K. Gąsiorowski w знамениenym szkicu *Koniec czarnego poloneza*. Zauważył on kilka przyczyn genetycznych tej sytuacji, a mianowicie iż Pokolenie 60 „jest pokoleniem literackim, które wypadło z czarnego korowodu naszej narodowej tradycji”, czyli nie przeszło przez jednoznaczne sytuacje graniczne, stąd: „Historyczne i społeczne warunki startu pokolenia 60 są zasadniczo inne niż u pokoleń poprzednich. Różne są przeto nie tyle

26 Por. A. Zagajewski, op. cit.

27 J. Leszin, *Kim jesteście*, „Widzenia” 1960 (nr 1), s. 1.

jego obowiązki, co zadania". Krytyk zwracał również uwagę na inne uwarunkowania, a mianowicie na to, że „świadomość powszechna rozwija się skokami, a więc opóźnia się wobec rzeczywistości nierównomiernie²⁸. Stąd wkroczenie młodych na salony literatury powszechnie akceptowanej, przy uświadomieniu sobie tezy, iż debiutujące cztery lata wcześniej Pokolenie 56 proponowało osobowości do dziś notabene kojarzące się z literaturą współczesną, było utrudnione.

Nie akceptowano świadomości, którą autor *Nieufnych i zadufanych*²⁹ nazwie myśleniem arbitralnym lub klasycznym, lub inaczej jeszcze formuлистycznym – czyli dążeniem do szukania całości, definiowania, a nie interwencją w rzeczywistość.

Młodzi roku 1960 – już w roku 1964, a i wcześniej Jerzyzna – poszukiwali biografii m.in. na łamach „Kultury”. Przytoczymy tylko jedną wypowiedź, która nie służyć ma usprawiedliwieniu ile zrekonstruowaniu myślenia. Wiesław Sadurski pyta:

A więc: pogoń czy ucieczka: Jestem skłonny dać odpowiedź wymijającą, lecz w pełni prawdziwą [...]. Pogoń, szukanie rzeczywistości u jej źródeł, w wojnie. [...] i ucieczka... Czyż bowiem nie ma się obowiązku przede wszystkim w stosunku do żyjących? Z jednej strony pamiętając o wojnie [...], ale przyszłość, na którą ma wpływ każdy z nas winniśmy raczej starać się uchwycić istotę przemian psychicznych i społecznych dnia dzisiejszego³⁰.

„Zbyt długo nieobecni przegrywają, również i w sztuce, niekiedy nieodwołalnie”. To pełne gorczy zdanie wypowiedziane zostało przez przedstawiciela Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Ujmuje ono ethos społeczny tego pokolenia, sposób bycia wybrany świadomie, ale też i z konieczności, a którego wyznaczniki wskazałem powyżej. Ocena Pokolenia 60 powinna wreszcie zostać wyważona i ustalona. Dopóki jednak nie określimy kryteriów tej oceny,

polemiki – tak często bogate w pikantne i oryginalne zdania i złośliwości – nie sformułują oczekiwanej odpowiedzi.

Na płaszczyźnie socjologicznej odrębność działań młodoliterackich lat 60. jest wyraźna. Pozostaje do wyjaśnienia czy wynikała ona z młodzieńczego uporu, czy też był to wybór świadomy. Innymi słowy czy niezgoda na przyjęcie modelu i mecenatu instytucji dla młodych była niezgodą tylko instytucjonalną czy też ideową. Jeśli idzie o tę ostatnią, to jej wartościowanie też nastęrcza wiele trudności. Gdy bowiem chcemy oceniać ideowe propozycje Orientacji z punktu widzenia czytelnika, to okaże się, że jej estetyka nie została powszechnie zaakceptowana. Z perspektywy zaś dążenia do odrębności formuła zaangażowania Orientacji jako rzecz immanentna jest pewną propozycją sposobu widzenia świata.

Wreszcie teza kolejna, która mówi, iż jeśli nawet wspólna świadomość tego pokolenia „umarła w bibliotece”, to przecież pozostaje jeszcze wspólne społeczne doświadczenie o czym zapominać nie wolno. Mieści się ono rzeczywiście w tradycji, a przecież tradycja zapewnia ciągłość. Pozycja pozaoficjalna to z jednej strony konsekwencja wyboru samostereowności, z drugiej nieakceptacji zaproponowanej świadomości przez publiczność. Mecenat ZSP pomagał, dziwnym trafem brakowało mu tylko zgody na „publikację” swoich podopiecznych szerszym odbiorcom. Nie mogli więc oni, zgodnie z łaćińską etymologią wyrazu „publikować”, być wystawiani na placu publicznym.

Jeszcze inną sprawą jest pytanie: co by się stało gdyby Leszin i Waśkiewicz nie posiadali pasji edytorsko-krytycznych, a ten pierwszy nie kierowałby oficyną wydawniczą ZSP. Czy powstałby ów ruch kulturotwórczy młodych zaznaczony tyłoma inicjatywami wydawniczymi? Czy nie pozostałaby tylko Orientacja – grupa poetycka? Sądzę że tak, choć istnienie obiegu oficjalnego i pozaoficjalnego jest rzeczą normalną.

28 K. Gąsiorowski, *Koniec czarnego poloneza*, „Kultura” 1966, nr 41, s. 4.

29 S. Barańczak. *Nieufni i zadufani*, Wrocław 1971.

30 Por. wypowiedź Wiesława Sandurskiego („Kultura” 1964, nr 14).

Post scriptum do części II

Po roku 1989 Waśkiewicz znalazł się w zupełnie nowej sytuacji. Kontynuował wydawanie poezji. W 1991 roku Fundacja Sztuki na rzecz „Integracji”. Oficyna im. Tadeusza Peipera wydała tom *MIRBAD*, 7. Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM w następnym roku (1994) wydała *Suwerenne państwo obłoków* (wiersze 1970-1992). W bibliofilskiej serii Bogdana J. Kunickiego w 1996 w Gorzowie ukazał się tom *W odwróconej przepaści*. W 1998 roku Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki wydało tomik *Miasto (notatki)*. W 1999 roku zielonogórski Pro Libris wydał *Horyzont zdarzeń. Cztery poematy* z posłowiem Leszka Żulińskiego. Tomik *Morena, zima. notatki do poematu* (Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki) ukazał się w 2002 roku. To samo wydawnictwo w 45-lecie twórczości i 65-lecie urodzin wydało tom *Sny, doświadczenia, epifanie* z grafiką Jerzego Misiaka.

Oprócz poezji starał się dalej kontynuować rolę krytyka. W 1994 Waśkiewicz wydał w Wydawnictwie Rożak w serii Analizy Literackie pracę *Poezja Władysława Broniewskiego* oraz *Krzysztof Kamil Baczyński. Historia, poezja los*. W 2002 roku Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki wydało zbiór esejów *Fenomen gdański. Pięć szkiców o instytucjach młodej literatury lat siedemdziesiątych*. Z kolei książka *Historia. Poezja. Los. O nowej poezji polskiej na przykładzie Cypriana Kamila Norwida, Władysława Broniewskiego, Juliana Przybosa, Józefa Czechowicza, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Mirona Białoszewskiego* ukazała się w 2003 roku. Zbiór *W kręgu futuryzmu i awangardy* również ukazał się w Wydawnictwie Atut we Wrocławiu w 2003 roku.

Dużo pracy wydawniczej wykonał Waśkiewicz w warszawskiej Spółdzielni Wydawniczej ANAGRAM.



Życiodajność albo ze zdania na zdanie

pamięci Andrzeja K. Waśkiewicza

I. Życiodajność

Najpierw trzeba już nie żyć,
Aby naprawdę
Żyć;

Żyć jakby się wciąż odżywało

W cieniu samego
Siebie,

W albumie
Albo jeszcze wcześniej, czyli

W łonie,

Jeżeli cokolwiek odciąć można
Od pępowiny
Życia,

Choć nadal żyje się
Jak żyje:

Ty sobie.

Sobie też
Życie.

Nawet po życiu

II. Notatka

Prognozy od wczoraj nie wieściły jeszcze nic ostatecznego. Jestem nad Zatoką Gdańską, lecz tylko myślami. A więc sezon urlopowy w pełni. Nie dla wszystkich. Dla niektórych ma się na szkwał. Od morza idzie bryza. I wnet pogrzebie kogoś. W tym kraju średniej wielkości. Dobrze, że nie mam internetu, ale mam papierosy i piwo pod ręką (12.07.2012).

III. Wieczne

Życie było i być nie przestaje życiem.
Każdy kiedyś zanurzy się tam,
Gdzie nie ma życia.
I nie inaczej to brzmi.
Brzmi jak odpoczywanie. Wieczne

IV. Druga notatka

Ostatnio utrzymywaliśmy ze sobą kontakt
Wyłącznie korespondencyjny. Dwa, trzy zdania.
Jakby kogoś z nas gonił czas. To wszystko. Ale
nie do końca.

V. Ze zdania na zdanie

Morena lipcowych barometrów, il bryzy znad morza
I lessy zdań powidokiem żyźnią takie strony świata.

Gdzie jeśli się coś wydarza, zdarza się bez końca.
Mimo że nie jest się li tylko monolitem słowa, ale i

Kropłą bez żadnego słowa drążącą bryłę powietrza, bo
Chyba jakoś tak otwiera się i zamyka każda przestrzeń

Po człowieku. Gdyby nie wiara, że żyje się i tu,
I tam, a nawet gdzie indziej, czyli wstecz

lipiec 2012

Hazardzista

Nad miastem zapadł zmierzch, a z niewielkich chmur zaczął padać rześisty deszcz. Po słabo oświetlonych ulicach poruszali się już tylko nieliczni wielbiciele sobotnich wypadów do miejscowych klubów, a w okolicach ciemnych bram przepychali się zamroczeni konsumenci najtańszych trunków. Szedł energicznie wąskim chodnikiem przyklejonym do starych, przedwojennych kamienic, nie odnawianych od czasów swojego powstania. Prawą rękę cały czas trzymał w kieszeni spodni, a z twarzy nie zniknął mu uśmiech. Nie sądził, że dzisiejszy dzień będzie tak udany. Od rana zdenerwowany szef czeptał się go ciągle i wciąż wymyślał kolejne zadania, ale w południe wszystko się zmieniło. Dostał transport do pobliskiej miejscowości i uwolnił od widoku pracodawcy. Gdy wrócił po kilku godzinach jazdy, w sklepie był już tylko drugi pracownik. Pod jego nieobecność był spory ruch i gdy zajrzał do kasy, wiedział że znów się nie powstrzyma. Kilka godzin do fajrantu spędził na kręceniu się po magazynie, będąc myślami zupełnie gdzie indziej. Gdy nadeszła oczekiwana godzina nie wahał się długo i szybkim ruchem zwinął z szuflady większość banknotów. Kieszonka pęczniała z radości, a kolega z pracy jak zwykle udawał, że nic nie widzi.

– Nie martw się, podwoję to dziś i wszystko oddam jutro rano – powiedział cicho, żegnając się z nim.

Teraz zbliżał się już do swojego ulubionego i właściwie jedyne kasyna w mieście. Czuł deszcz na twarzy, a na reszcie ciała dreszcze podniecenia przed zbliżającą się zabawą.

W środku jak zwykle panował półmrok, a powietrze było przesiąknięte setkami spalonych papierosów. Nie było jeszcze dużo klientów, tylko kilka osób kręciło się niezobowiązująco, podpatrując grę pozostałych. Był czas, żeby chwilę pogadać i podpytać, na który automat się zdecydować. Możliwe, że któryś z nich dziś wieczorem mógłby oddać trochę swoich kredytów.

W rogu pomieszczenia, zauważył pochylającego się nad grą starszego, siwiejącego mężczyznę. To był Jerzy, stary bywalec tego kasyna. Krążyło o nim wiele legend, ale nikt nie wiedział, które są prawdziwe. Bardzo prawdziwe były za to jego oczy, mocno czarne i głęboko osadzone, jakby spoglądające w duszę rozmówcy. Gdy podszedł do niego, Jerzy nie przerywał gry, ale uśmiechnął się i przywitał:

– Cześć Marek, myślałem że już cię dziś nie będzie.

– Załatwiłem kasę i jestem jak widzisz. Muszę odegrać się za ostatni raz, bo nie poszło mi dobrze, ale czuję że dziś coś wyplączę.

– Jak nie zagrasz, to się nie dowiesz. Spróbuj tego pokera, co stoi obok. Powinien coś dać. – powiedział starszy mężczyzna wskazując głową stojący nieopodal automat.

Marek cofnął się do baru, kupił puszkę taniego piwa, paczkę papierosów i usiadł we wskazanym miejscu. Upił tyk piwa i ustawił najniższą stawkę, rozgrzewając się przed prawdziwą grą. Automat połykał powoli kredyty i wydawał odgłosy zachęcające do podwojenia stawki i zgarnięcia dużego bonusu.

W końcu był w swoim żywiole. Poczł spokój i rozluźnienie. Zawsze wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę i szansę wygrania dużych pieniędzy. Pomimo że większość swoich gier przegrywał, nie poddawał się,

próbował dalej i nie zamierzał przestać. Dziś także był przekonany, że wygra i w końcu wszyscy zobaczą na co go stać.

Minęły dwie godziny i wygrana oscylowała wokół zera. Automat trochę dawał wygrywać, ale po chwili zabierał, to co oddał. Marek pił już trzecie piwo i powoli się rozkręcał. Jerzy siedzący nieopodal skończył swoją grę i podszedł do niego. Położył dłoń na jego ramieniu, spojrzał w oczy i powiedział:

– Chyba już czas na grę dla dorosłych.

Poczuł świdrujący wzrok w swoim umyśle. On wiedział najwięcej o tym jak się wygrywa. Z tego co słyszał od innych, od lat prowadzi swoją firmę, a do tego gra i ma z tego naprawdę sporo profitów.

Wyciągnął więc z kieszeni zwitek z gotówką i ustawił maksymalną stawkę. Automat wciągnął pieniądze i wydał z siebie odgłos zadowolenia. To moja kolejna szansa – pomyślał i nacisnął przycisk rozruchu.

Zbliżała się pierwsza w nocy. W kasynie było tłoczno i prawie wszystkie maszyny były zajęte. Grał już kilka dobrych godzin, pijąc przy tym mnóstwo litrów piwa i spalając dziesiątki papierosów. Nie szło mu. Włożył w automat dwa tysiące, a teraz miał już tylko sto złotych w kredytach.

– Pieprzona maszyna – powiedział głośno, uderzając pięścią w przycisk.

Stojący przy nim Jerzy wyjął papierosa i zaśmiał się diabelsko.

– Pewnie jest przekręcona. Wiesz sam, jakie teraz wałki robią. Spróbuj jeszcze, została ci jeszcze stówka. Masz szansę. – powiedział zaciągając się.

Marek zapalił kolejnego papierosa i nacisnął przycisk rozruchu. Po kilku nerwowych minutach stan kredytów wyniósł zero. Wstał z krzesła i zaklął głośno. To nie tak miało być – pomyślał, wbijając wzrok w Jerzego. Ten uśmiechnął się do niego i powiedział:

– Spokojnie Marek, spróbujesz innym razem.

– Muszę się odegrać dzisiaj, to nie moja forsza. – odpowiedział zdenerwowany Marek, dopijając piwo z puszki. – Muszę załatwić więcej kasy – stwierdził, kierując się do wyjścia.

Wyszedł na zewnątrz i poczuł chłodne, nocne powietrze. Deszcz przestał padać, a powietrze było rześkie i poczuł ulgę, po tylu godzinach w zadymionym kasynie. W myślach kołatała mu jednak tylko jedna myśl: „skąd wziąć pieniądze na dalszą grę?”. Szedł przed siebie, zamyślony i zdesperowany. Mijał postój taksówek, gdy nagle wpadł na szaleńczy pomysł. Stał się i zawrócił. Pewnym ruchem otworzył drzwi od pierwszej z brzegu taksówki i wsiadł na tylne siedzenie.

Po piętnastu minutach samochód zatrzymał się przed bramą wjazdową do zakładu pracy, w którym był zatrudniony. Kazał czekać kierowcy i podszedł do wysokiego płotu. Okazał się, że ma przy sobie tylko klucze wejściowe. Drugi komplet kluczy, wraz z tymi od bramy wzięły kolega z pracy. Nie zastanawiał się długo i zaczął wspinać po wysokim ogrodzeniu. Kręciło mu się lekko w głowie, ale nie stracił równowagi i po chwili znalazł się po drugiej stronie. Otworzył sprawnie drzwi, zapalił światło i wszedł do biura. Dopadł do szuflady z gotówką i otworzył ją. Widok nie był zadowalający. Większość pieniędzy zabrał po południu i w szufladzie zostały tylko mniejsze nominały. Zgarnął wszystkie banknoty i zaczął liczyć. Po chwili uśmiechnął się.

Pół godziny później znów siedział przy tym samym automacie. Zbliżał się powoli świt i kasyno opustoszało. Zostali tylko najwytrwalsi, grający ostatkami kredytów. Nie było nawet Jerzego, który ponoć wygrał kilka złotych, kupił stałym bywalcom piwo i poszedł do domu. Marek wiedział, że nie czas już na zabawę. Musiał odrobić dwa tysiące przegrane wcześniej i również to, co miał teraz przy sobie. Wóz, albo przewóz. Ustawił najwyższą stawkę i zaczął grę.

Była czwarta rano. Trzecia zmiana obsługi kasyna zbierała się do zamknięcia lokalu. Marek nadal stukał szaleńczo w pokera. Na początku ugrał tysiąc złotych w kredytach, ale to było za mało. Musiał mieć

przynajmniej trzy tysiące, żeby pokazać się dziś w pracy. Automat jednak był nieubłagany. Wciąż dawał mu złe karty i połykał kolejne kredyty. Pracownik kasyna podszedł do niego i poprosił o zakończenie gry. Wyplacił mu pięćdziesiąt złotych.

Wyszedł z lokalu, kiedy budził się dzień. Bolało go całe ciało od wielogodzinnej, wymuszonej pozycji na stołku. Oczy łzawiły, ale nie zwracał na to uwagi. Przegrał kupę pieniędzy swojego pracodawcy i znów nie wiedział co z tym zrobić. Do stawienia się w pracy, zostało mu zaledwie kilka godzin, a pomysłów na oddanie pieniędzy nie miał zupełnie żadnych.

Chodził godzinę bez celu po mieście, aż w końcu znalazł się niedaleko dworca PKP i postanowił wstąpić coś zjeść. Usiadł przy stoliku, kupił piwo i ruskie pierogi. Zjadł ze smakiem posiłek, popił zimnym trunkiem i zapalił papierosa. Nie mógł się tak łatwo poddać. Wiedział, że musi znaleźć rozwiązanie tej patowej sytuacji.

O ósmej rano stawiał się w pracy. Kolega przyszedł wcześniej i już na niego czekał.

– Gdzie jest forsa? – powiedział na przywitanie, ze złością w głosie.

– Spokojnie, zaraz oddam. Mam już plan – odparł Marek, wchodząc i witając się z nim.

Okazało się, że szef ma przyjechać do pracy dopiero po południu, więc miał czas na realizację swojego zamierzenia. Zrobił sobie kawę, wziął od współpracownika papierosa i zaczął przedstawiać mu całą sytuację.

Wybiła dziewiąta i w pobliskim salonie RTV-AGD otwierali właśnie kratę antywłamaniową. Marek był pierwszym klientem. Wszedł pewnym krokiem i od razu skierował się do stanowiska ratalnego.

– Można u was wziąć telewizor na raty? – zapytał z uśmiechem dziewczyny, która siedziała przy biurku.

– Oczywiście, a jaki pana telewizor interesuje? – wtrącił się stojący obok sprzedawca.

Marek spojrział na niego i zamyślił się chwilę. – Duży – odpowiedział.

Po chwili rozmowy, wybrał jeden z najdroższych modeli telewizorów, ale jego zakup nie przekraczał pięciu tysięcy, więc kredyt mógł zaciągnąć, okazując tylko dowód osobisty. Dziewczyna sporządzająca kredyty prosiła żeby usiadł, wzięła dowód i rozpoczęła serię pytań. Po dziesięciu minutach skończyła i uśmiechnęła się.

Sporządziłam już wniosek, teraz proszę zaczekać około piętnastu minut na decyzję – powiedziała na koniec.

Marek podziękował i szybko opuścił sklep. Gdy stracił go z oczu, wręcz biegł do pracy. Po kilku minutach wpadł zdyszany do biura.

– Dzwonił ktoś z banku? – krzyknął do kolegi, który obsługiwał klienta w magazynie.

– Nie, nie było żadnego telefonu. – odparł tamten niechętnie.

Wziął telefon do ręki i sprawdził połączenia. Nikt nie dzwonił od godziny. Dobrze jest – pomyślał i sięgnął po kolejnego papierosa z paczki kolegi. Pięć minut później odezwał się dzwonek telefonu. Kobieta z banku przedstawiła się miękim głosem i prosiła o rozmowę z właścicielem. Odpowiedział, że właśnie z nim rozmawia. Potwierdził jej też swoje zatrudnienie w tej firmie i zarobki. Podziękowała i rozłączyła się.

Godzinę później wracał uśmiechnięty ze sklepu, z wielkim kartonem w rękach. Kolega z pracy patrzył na niego i kiwał głową z niedowierzaniem.

– Bierzesz go za pół ceny? – pytał Marek czerwony z wysiłku.

– Stary, takiej okazji nie mogę przepuścić – śmiał się tamten i zacierał ręce.

Po południu do pracy przyjechał szef. Oczywiście dopatrzył się w kasie manka na pięćset złotych. Wiedział od razu, że to sprawka Marka i zawołał go do siebie.

– Wiesz, że potracę ci to z wypłaty? – pytał groźnie.

– Wiem szefie, wszystko będzie dobrze, po prostu potrzebowałem pieniędzy. Nic się nie stało.

Uważaj, bo wylecisz szybko. Nie masz nawet ze mną umowy o pracę – mówił popychając go lekko prawą ręką w ramię.

Wiem szefie. Drugi raz to się nie zdarzy. – odparł pokornie i wyszedł z biura.

Po tych wydarzeniach Marek trochę przystopował. Od tygodnia nie pojawiał się w kasynie, nie grał też na automatach w knajpach, w których się pojawiał. Chodził tylko na zakłady bukmacherskie i zakładał małe stawki na mecze piłkarskie. Postanowił się kontrolować, choć ochota na ponowną grę wzrastała, proporcjonalnie do ubiegających dni. Był jednak winny pieniądze pracodawcy, a nie miał widoku na oddanie tego długu. Pracował więc intensywnie i wciąż męczył się psychicznie z myślą, że nie może wieczorem oddać się swojej pasji.

Po dwóch tygodniach hazardowej ascezy jego ochota na pokera doszła do apogeum. Pracował, jadł i chodził spać wciąż z myślą o grze. Do wypłaty zostało mu dwa tygodnie i nie miał środków. To mocno go wkurzało.

Wkurzało go również szef, który od czasu manka miał go na oku i dawał mu coraz więcej zajęć. Dziś jeździł samochodem służbowym od firmy do firmy. Właściciel wciąż dzwonił i go poganiał. Nie podobała mu się ta sytuacja. Po kolejnym telefonie i reprimendzie zdecydował się coś z tym zrobić. Wcisnął hamulec i zawrócił do hurtowni. Był tam stałym klientem, więc bez żadnych problemów wziął na fakturę z odroczoną płatnością materiały budowlane. Wiedział, co łatwo się sprzeda, a faktura opiewała na dwa tysiące złotych. Podpisał papiery i pojechał za miasto do znajomego budowlańca. Tamten ocenił towar i wypłacił mu tysiąc złotych gotówką. Miał w końcu kasę.

Wieczorem, gdy zbliżał się do kasyna znów poczuł ekscytację. To było jego życie i pasja. Wszedł, przywitał się ze wszystkimi i jak zwykle zamówił piwo. Był tam też Jerzy, który dzisiaj zajmował jedno z miejsc przy elektronicznej ruletce. Marek kiwnął mu ręką, ale nie podszedł. Uważał, że Jerzy przyniósł mu ostatnio pecha. Na razie musi się od niego trzymać z daleka. Otworzył piwo i zasiadł przed pokerem. To lubił najbardziej.

Grał długo i fortuna mu sprzyjała. Po kilku godzinach podwoił włożone środki i nie mógł pohamować swojej radości. Cieszył się jak dziecko, a pozostałym graczom i znajomym co rusz stawiał kolejki. Sam również dużo pił i czuł jak coraz mocniej kręciło mu się w głowie. Wokół jego automatu zebrała się grupka gapiów, która zachęcona darmowym piwem dopingowała go do dalszej gry. Nawet Jerzy wstał od ruletki i podszedł do niego.

– Skończ na dziś. Masz ładną wygraną – powiedział. Marek spojrział na niego.

– Gram jak zwykle do końca. Dziś wygram cały bonus w tej budzie. – odpowiedział bełkocząc i uśmiechając się.

Po dwóch godzinach było po wszystkim. Poker wykazywał zero kredytów, a on siedział całkowicie pijany i załamany. Raz po raz kłął cicho i wali pięścią w maszynę. Podszedł do niego pracownik kasyna i zwrócił mu uwagę. Po tym uspokoił się, ale nadal bełkotał po cichu przekleństwa. Po chwili stoczył się ze stołka i wyszedł.

Na zewnątrz była ciepła, gwiazdzista noc.

– Pieprzony los! – zawył na cały świat i skierował się w stronę do domu.

Gdy dotarł na miejsce był już prawie całkowicie trzeźwy. Czterdzieści minut marszu i trzymania równowagi na nierównych chodnikach wypaliły z niego wypity alkohol. Po drodze kilka razy potykał się i upadał na ziemię. Dwa razy też wymiotował, brudząc przy tym ubranie. Na miejscu pojawił się jednak kolejny problem. Mieszkał wraz z rodzicami w domku jednorodzinny, a matka miała w zwyczaju zamykać na noc zamek od wewnątrz. Nie mógł się więc zakraść niespodziewanie do środka, a nie chciał pokazywać się w takim stanie. Stał przed domem na trawniku.

Obszedł powoli budynek i znalazł okno swojego pokoju na piętrze. No tak. Pozostało tylko wspiąć się. Długo się nie zastanawiał. Złapał za brudną rynnę i zaczął wchodzić do góry. Gdy był już przy swoim oknie z nogi spadł mu but. Zignorował to i po chwili był już w środku. W domu panowała cisza, chodził powoli, żeby nikogo nie obudzić. Poszedł do kuchni, wziął kilka naleśników usmażonych przez matkę i popił mlekiem z lodówki. Przeżuwasząc jedzenie nagle przypomniał sobie pewną scenę, sprzed kilku dni. Odłożył szybko naleśnika i cichutko zakradł się do pokoju gościnnego.

Otworzył powoli kredens i zajrzał do starego, ozdobnego pudełka po drogiej whisky. Trafitem! – krzyknął w duchu. W pudełku leżało sobie spokojnie osiemset złotych. Wziął oczywiście wszystko.

Teraz nie było sensu iść spać. Przebrał szybko w pokoju brudne ubranie, sprawdził czy ma przy sobie telefon i wychylił się z okna. Złapał za zardzewiałą rynnę i powoli spuścił się na dół. Znalazł brakujący but, założył go i pomaszerował w stronę miasta. Droga dłużyła mu się i w końcu postanowił zadzwonić i zamówić taksówkę. Po chwili znów był w kasynie.

Był zimny grudniowy wieczór. Na dworze zapadł zmierzch i temperatura spadła do minus dziesięciu stopni. Na szczęście nie czuł tego, przytulony do ciepłego kaloryfera pod parapetem na dziesiątym piętrze wieżowca. Głowę podparł sobie torbą i wpatrywał w sufit. Nie mógł spać. Nie jadł od dwóch dni i bolały go całe wnętrzności. Wsłuchiwał się ciągle w odgłos jeżdżącej windy. Myślał o swojej sytuacji. Nic nie poszło tak, jak przypuszczał. Kilka tygodni temu pracodawca wyrzucił go z pracy, robiąc awanturę i prawie doprowadzając do bijatyki. Chodziło o dług i jeszcze o fakturę z hurtowni. Chciał wezwać policję, ale nie miał z nim nawet umowy o pracę, więc w końcu zrezygnował z tego posunięcia. Policja jednak i tak go poszukiwała, ale w sprawie wyłudzenia kredytu na telewizor. Kilka dni przesiedział w domu, ale ojciec wyrzucił go w końcu, gdy dowiedział się o kradzieży domowych oszczędności.

Winda zjechała na dół, zatrzymała się i ruszyła ponownie w górę. Stanęła dopiero na ostatnim piętrze. Zza drzwi wyszła starsza, niska kobieta z krótką, rudą fryzurą. Spojrzała się w jego stronę i przystanęła.

– Marek? – spytała zdziwiona.

Ten odwrócił głowę w jej stronę. Dopiero po chwili odczytał w pamięci jej rysy. To była Irena. Starsza kobieta, która była na emeryturze i jednocześnie dorabiała sprzątaniami biur. Znali się z zakładów bukmacherskich. Irena uwielbiała stawiać na piłkę nożną.

Zrobiło mu się wstyd i nie wiedział co powiedzieć. Milczeli dłuższą chwilę. W końcu Irena podeszła do niego.

– Wstawaj. Przenocujesz u mnie i wszystko mi opowiesz – powiedziała, podając mu rękę.

Prozy

W Zawadzie

Znowu jest ranek w Zawadzie, bliżej przedpołudnia. Z kuchni dostrzegam jadący samochód. Na dachu drabina. W kabinie trzech mężczyźni. Najwyraźniej jadą do jakiejś umówionej roboty. Na przykład: remontować dom. Zbijać tynki, zakładać instalacje. Stawać na drabinie, by z niej malować sufit lub przyklejać styropian. Tak cały dzień, bo z czegoś trzeba żyć. Co im mogę powiedzieć, że widzę w tej chwili złocistą kulę słońca osnutą mgłą, w której ono zdaje się pulsować na niebie? Że próbuję od godziny napisać wiersz? I może go nawet nie napiszę, a moja praca nie da mi ani jednej kromki chleba.

Odeszli

Michał. W swoich bezrobotnych latach często do niego chodziłem, gdyż chciał pisać powieści o niewiomych (Silhanie, Dolańskim), a później felietony religijne do „Aspektów”. Pod koniec życia twierdził, że odzyskał oczy. Miał oczywiście na myśli oczy duszy. Zmienił się diametralnie pod względem światopoglądowym. Przez lata był w centrum zainteresowań mediów. Na koniec to się zmieniło. Ale ceniono jego znawstwo w sferze słuchowisk radiowych. Skupiał wokół siebie osoby potrzebujące moralnego pocieszenia. Tadeusz. W stanie wojennym lekko podkpiwałem, że noszę *Biblię* pod pachą. Musiało to być dla niego irytująco nieprzyzwoite. Na miesiąc przed śmiercią widziałem jego bardzo zmienioną, chorą twarz. Zenon był nadwrażliwy na punkcie własnej osoby. Ociężały w ruchach. Rzadko pod koniec życia pokazywał się w mieście. Zwłaszcza po prasowym artykule o jego rzekomej współpracy jako TW. Chyba zmarnował szanse swojego życia. Miał wielkie ambicje, chełpił się znajomością ze Stanisławem Grochowiakiem, Markiem Nowakowskim, ale on sam nie tak dużo zrobił. Parę recenzji i książka *Mój alfabet*, w której wielu literatom się sporo dostało. Nie omieszkał przy byle okazji złośliwie, kąśliwie się odpłacać. Andrzej wiedział najwięcej ze wszystkich o literaturze. Nieprzeciętny znawca fal literackich, szkół, poetyk, generacji, tendencji. Niesamowicie pracowity. Zawzięcie palił papierosy. Jemu dużo zawdzięczam. Niemal wszystko. Jego cielesna fizjonomia do końca jawiła się chłopięco. Zdzisława zawał serca dopadł w poczekalni lekarskiej. Miał dla mnie wiele dobroci i mądrej życzliwości w trudnych dla mnie chwilach. Przestrzegał mnie przed niektórymi ludźmi. Dawał rady. To dzięki jego protekcji spędziłem trzy miesiące na stypendium literackim w Wiepersdorfie. Raz jeden widziałem Irenę Dowgielewicz. Byłem u niej w domu. Był c zerwcowy, gorący dzień. Leżała w łóżku, chora, w zaciemnionym pokoju, gdy na dworze jaskrawo świeciło słońce. Patrzała szeroko otwartymi oczami. Bardzo mnie to wszystko poruszyło. Szedłem przez Gorzów z poczuciem wewnętrznej wstrząsu. Wymusiłem prawie, by zrobiła dla mnie na kartce autograf swojego wiersza *Teologia*.

Mgła

Słowo „mgła” nabrało nowych znaczeń. Pojawia się w mediach, a w zasadzie dyżuruje w nich, z powodu katastrofy smoleńskiej. Lubię jesienną mgłę. Lubiłem w dzieciństwie na łąkach, kiedy zasnuwała krajobraz. W serca chłopców wstępował wigor. Krowy się gdzieś odzywały. Biegaliśmy. Wołaliśmy do siebie przez mgłę. A teraz w sercach coraz więcej mgły, w mięśniach, w myślach, w duszy. I mniej wigoru.

Ozimina

Pola oziminy dają mi jesienią jeden z najbardziej delikatnych, wzruszających impulsów do zamyślenia o sensie życia, kruchości egzystencji, ale i niewyraźnej tajemnicy istnienia. Kiedy patrzę na pola o tej porze, osnute mgiełką, nasycone lekko światłem, to jakbym obcował z poezją.

Podróż do Żar

Każdy wyjazd do Żar, który od czasu do czasu ma miejsce, od co najmniej dziesięciu lat traktuję jako coś niebanalnego i nadzwyczajnego w moim życiu. Bowiem jest jakimś rodzajem podróży do literatury, spraw duchowych, wyższych, dla nabrania sił, oderwania się od samego siebie, by poznać coś innego, nie tylko własne udręki. A taka podróż to zawsze wydarzenie. Daje doświadczenia, obserwacje, przemyślenia. To jest też podróż do miasta, które z roku na rok, coraz bardziej staje się już moim miastem. Moje są drzewa, zaułki, chodniki, blaski światła, witryny sklepów. Za każdym razem wyjazd do Żar oznacza spotkanie z Januszem Werstlerem, poetą po pierwsze, a dopiero dalej z kimś, kto tu pełnił różne funkcje i podejmował dla grodu Dziewina liczne inicjatywy. Kiedyś też nie mogłem nie odwiedzić Grażynki Rozwadowskiej-Bar, poetki, pracującej w „Dekorze”, a teraz byłoby błędem nie spotkać się z Małgosią Michalak. Jechałem w słoneczną środę pełen emocji, nadziei, podniesiony na duchu, nastawiony na chłonięcie każdego jesiennego szczegółu. Widziałem wielkie pola pokryte oziminą, zasiewem zimowego rzepaku, także pola zrudziałej trawy, bo nie ma ich kto uprawiać, wzgórkami, pagórkami, drogi wiodące w głąb lasu, i wszędzie drzewa. Piękne buki i dęby, których liście świeciły jakby ściemniałym złotem. Janusz siedział za biurkiem zastawionym epokowymi drobiazgami, figurkami, porcelaną, monetami, medalami, widokówkami, egzemplarzami dawnych gazet, mosiężnymi świecznikami w swoim Antykwariacie. Jakby zamyślony, zajęty patrzeniem przez swoje duże szkło powiększające na małe literki gazety. Niemał nie zareagował, gdy wszedłem. Dopiero kilka sekund później. Mówiliśmy o wszystkim. Co u niego, co u mnie, co w Zielonej Górze, o osłabłym zdrowiu, jak to teraz na gorsze zmieniają się ludzie i podobnie klimat wokół sztuki i literatury. On tu zapałem sklejał życie kulturalne, a teraz doznaje skutków zapomnienia ze strony różnych osób. Taka poniekąd kolej rzeczy. Opowiadał o swym jednodniowym wyjeździe w wągrowieckie strony, do Damasławka, tego samego, o którym nie raz snuł swoją opowieść także mój ojciec, bo tam się uczył umiejętności w zawodzie rymarza. Ten sentyment Janusza do tamtejszego krajobrazu czułem z tego powodu jako bardzo mi bliski. Pojechałem i dotknąłem murów szkoły, w której się uczyłem. Bo chcę dotknąć dzieciństwa, które by ci przydało nowych sił życiowych. Zgodziliśmy się z tym. Jeszcze zrobiłem zdjęcie starej naftowej lampy, takiej, jakiej się używało kiedyś do oświetlenia obór, stajni, chlewów w moim dzieciństwie na wsi. Zwróciłem uwagę na obrazy oparte o ścianę. Tradycyjnie podreptaliśmy do pobliskiego baru, który tchnął dobrym, świetlistym nastrojem. Żary uśmiechały się. Potem, po uporaniu się z policyjnym patrolem, zahaczyłem o Bibliotekę Jana Tyry, który od ręki kupił egzemplarz zbiorku *Powieść ze snu*. Potem do domu Małgosi, która niecierpliwiła się z powodu mojego spóźnienia. Małgosia jest także poetką, a okazało się, że tkwią w niej i talenty plastyczne. Właśnie wygrała konkurs na rzeźbę w dorocznym Salonie Jesiennym. Kiedy pokazała mi katalog z nagrodzonymi pracami, to zdębiałem. Zrobiła rzeźbę prasłowiańskiego Światowida

tak genialnie, i prosto, że nie powstydziliby się jej sam Dunikowski lub Corbusier. Jakie niesamowite połączenie tradycji z nowoczesnością. To nie mogło być niezauważone. Poczęstowała mnie hinduską potrawą, przyprawioną masą egzotycznych ziół, że ledwo udało mi się to zjeść, tak piekła w gardle, ale przekonywałem się do jej walorów z każdym przełknięciem. Zupa, a raczej mikstura, w randze afrodyzjaku. O Małgosi nie da się niczego źle powiedzieć. Sporo w niej bezinteresownej życzliwości, chęci pomocy i dobroci. A tak przypadkowo poznaliśmy się kiedyś na Wawrzynie, poniekąd za sprawą Grażyny, która ją ze sobą zabrała. Zawdzięczam Małgosi wiele fascynacji naturą. Ciszą, poezją istnienia, której bezmiar zawiera rozległy park obok Pałacu księżnej Doroty w Żaganii.

Po dniu

Nie udaje mi się wyciszyć ani zapomnieć tego dnia pełnego intensywnych doznań. Wróciłem do domu i nie jestem w stanie nic pisać, choć wydawało mi się, że muszę natychmiast wszystkie szczegóły zanotować, by nic z tego dnia się nie zatarło. Na czystym niebie pełno wyraźnie świecących gwiazd.

Pisanie poezji

Pisanie poezji to najbardziej ryzykowne zajęcie. Nic z tego najczęściej się nie ma. Szaleństwem jest oprzeć o nie całą życiową drogę. Dostatku nie gwarantuje. Czy ktoś z powodu czytanej wiersza jest cokolwiek lepszy? A świat inny? A przywiązujemy, my poeci, do każdej litery taką dużą wagę, bo najczęściej bierzemy ją z siebie, z głębi, tam gdzie prawda, cierpienie, tajemnica.

W Gorzowie po Furmanie

Po odejściu Furmana, a wcześniej także kilku ważnych dla literatury tego miasta pisarzy, zrobiła się na moment pewnego rodzaju pustka. Może nie od razu pustka, to chyba zbyt radykalne określenie, ale na pewno o żadnym literacie nie można było powiedzieć, że przejął w środowisku rolę wiodącą. Teraz zaś na taką pozycję ma szansę, co widać i temu służą jej osiągnięcia oraz seria nagród literackich, Beata Patrycja Klary. Nawet jacyś towarzyszący krytycy literaccy w pobliżu jej dokonań się kręcą. Czując szansę wykreowania zjawiska. Kiedy jednak widzę jak poetka w nowej książce *De-klaracje* usilnie zaślania swoją twarz efektem fotograficznego rozmazania, jak celowo nakłada na oblicze nieostrość, mglistość, a na kolejnej stronie jeszcze duże czarne okulary, że nie widać oczu, a oczy to przecież dusza, to zastanawiam się, o co w tej grze chodzi. Oby pasja ukrywania wnętrza nie poszła znowu tam, gdzie nie powinna.

Wczoraj

Pojechałem jednak, mimo całkowitego braku zapału i przekonania, bo już chłód i wcześniej ciemno, do Biblioteki na wieczór z wierszami starszej, trzymającej się ciągle bardzo dobrze Broni (tak ją nazywają) Raszkiewicz, pani będącej na nauczycielskiej emeryturze, która dopiero niedawno, choć to już trwa kilkanaście lat, zaczęła pisać wiersze. Jak potrafi. I nie można ich oczywiście zbyt surowo oceniać ani pastwić się nad poszczególnymi potknięciami. Droga jej życia – tak mało wiemy o zwyczajnych, niepozornych ludziach – jest niezwykle dramatyczna i jednocześnie barwna, pełna pracy. Jak w zasadzie droga wszystkich kresowian. Więc warta powieści. W Sali Dębowej było chłodno. Nie nagrzał. Wziąłem z szatni kurtkę, ubrałem, gdyż nie chciałem ryzykować przeziębienia, to samo zrobiła Ela Mikoś. Jakoś dało się wysiedzieć. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że bardzo ciekawie te wiersze z nowo wydanego zbiorku *Woda i ogień* w prze-

ważącej części opiewające płomienne (to wyróżnik tych wierszy) miłosne uczucia i doznania (starszej kobiety), zaistniały na scenie, przy zgaszonym świetle, gdyż aktorki czytały je, kartki oświetlając latarkami na baterie. Wytworzył się klimat intymności, bliski poetce. Tak chyba należało je przedstawić, nie inaczej. A potem, w drugiej części wieczoru, sześć starszych pań, emerytowanych nauczycielek z Lubuska, wyszło na scenę i dało kabaret. Śpiewały piosenki minionej młodości, minionych lat, tańczyły, inscenizowały zaloty, uwodzenie miłosne. Z początku bałem się o sztuczność, pretensjonalność. Ale niepotrzebnie, niczego nie udawały, grały siebie, swoje problemy, emocje, właśnie uczucia i doświadczenia starszych pań, już babć, którym wiele nie wypada robić, być, zachowywać się, które są spychane na margines życia społecznego, do pomocniczych zajęć z wnukami. Były sentymentalne. Owszem. Ale i odważne w gestach, szły do przodu. Do ludzi. Jednak bardzo mało uśmiechu dało się dostrzec na ich twarzach.

Drwa

Palą się drwa w kuchennym piecu. Dobrze siedzieć blisko pieca. W ciemności. Gorące powietrze uderza w twarz. Stoi na piecu duży garnek pełen wody, która powoli się grzeje.



Odjazd

Z Gabrielem rozstałam się wczesną wiosną. Po dwóch latach razem było po prostu nudno. Zaczęłam sama chodzić do filharmonii, bo Gabriel nie był muzykalny. I tam, któreś niedzieli poznałam klarncistę. Na imię miał Rajmund, co obniżało nieco jego atrakcyjność. I małą głowę, a to z kolei odbierało mi całą przyjemność z pocałunków. Grał jazz.

Nieomal od początku naszej znajomości uczestniczyłam w próbach jego zespołu jako widz. Pianistą był znany muzyk. W dużej sali, w Hybrydach, siedziałam z tyłu na krzeselku. Z nikim nie rozmawiałam, bo to był inny świat, świat mający swój własny język. Mój język nie miał tu zastosowania. Zresztą pianista onieśmiał.

Po próbie Rajmund mnie odprowadzał, chodziliśmy na spacer i tylko raz znalazłam się u niego w domu. Byliśmy wtedy sami, chciał, żebym się oddała, ale broniłam się zaciekle. Musiało być jeszcze zimno, bo miałam na sobie ciepłe bawełniane majtki, a on nie wiedział, że to o to chodzi. Nie pozwoliłam się rozebrać.

Na uczelni widywałam się z Gabrielem. Zapytał mnie, co się stało. Nie rozumiał dlaczego nie wychodzę razem. Wkrótce jednak moja zdrada stała się oczywista. Któregoś dnia zobaczył mnie z klarncistą. I to go zabolowało. To nic, że sam wybierał się do Paryża, na zawsze i beze mnie.

Nie tylko był zdradzony, ale zdradzony jawnie. Wszyscy to widzieli. Rajmund przychodził po mnie na uczelnię. Jednak po incydencie w jego mieszkaniu stracił zapał, a ja straciłam chęć do spotkań.

Dostrzegłam wtedy, że coś się dzieje wokół mnie, coś, w czym nie biorę udziału. Zmowa? Gabriel miał pokój w domku, starym drewniaku przedwojennym, nasz pokój. Teraz zapraszał tam na prywatki. Prawdopodobnie każdy przynosił to co miał, ale zabawa musiała być chyba niezła. Pogłoski zaczęły dochodzić do mnie, chociaż nikogo nie dziwiła moja nieobecność. Wszak ludzie się rozstają, a Gabryś się dobrze bawi. Jest w euforii. Wolny. I tylko ja wiedziałam o co chodzi. Chodziło o to by nikt się nie domyślił, że jest zdradzony. Opuszczony? O nie. To ja miałam być zdradzona i opuszczona. Bardzo mu zależało na tym, żeby tak myślaro. Powinam odczuwać satysfakcję. Jeśli zadawał sobie tyle trudu by mnie zranić, widocznie był zraniony. Ale mnie stawał się obojętny.

Październik na ASP zaczął się od przygotowań do wycieczki. Paryż. Mnie to nie dotyczyło wcale. Skąd miałabym wziąć pieniądze? Ale Gabriel był podniecony. To była jego szansa. Zostanie tam. Ucieknie. Wiedziałam o tym. Tylko ja.

Musiało mu zależeć na tym, żeby się pożegnać, być może zależało również mnie. W przeddzień wyjazdu szliśmy przez całe miasto do jego kłitki na Mokotów. Trochę się tam zmieniło. Było pusto. Łóżko stało przy innej ścianie.

Widocznie bardzo tego chciał, a ja uległam. Ale już chyba bez emocji. Tak mi się wydaje. Pamiętam, że siedzę na tym łóżku już po wszystkim, wciągam rajstopy, a on patrzy. Patrzy na moje nogi, potem twarz. A ja? Nic to już dla mnie nie znaczyło. Dał mi książkę. Te, z którymi się nie rozstawał. Potem odniósł mi je

pod same drzwi. Nie wszedł. A może sama je odniosłam? Nie wiem. Bo tego już nie pamiętam. Bo po tym co się stało, wszystko co dotyczyło Gabriela znikło w jakiejś brunatnej mgłę. Zapadło się. Jakby przestało istnieć.

Wycieczka do Paryża wróciła po tygodniu bez Gabriela. Co się działo za kulisami nie wiem. Czy ktoś wyleciał? Pewno tak. I kto był przesłuchiwany? Nie wiem. Mnie nie pytano o nic.

Po pewnym czasie Gabriel zaczął pisać do mnie. Pisał gdzie mieszka. Że w łazience. I sypia w wannie. Nieźle. Powiodło mu się. I pytał, czy przyjadę. Nie przyjadę. Bo był ktoś inny, ktoś był zawsze, ale tego nie napisałam. Po co?

Pogłoska, że Gabriel mnie porzucił, żyła. Po latach, w gronie znajomych, kiedy jeden drugiego pytał o mnie, najlepiej poinformowany opowiadał, że kiedy zostałam sama, pewno się załamalam. Nie wiedziało gdzie jestem, co porabiam, więc chyba jestem nikim.



Karol Graczyk

Dwie wieże

*I jeszcze ptak, co nigdy do nieba nie doleci
bo nie ma ziemi, z której mógłby wzlecieć.*

Rafał Wojaczek

Tego ciepłego wieczoru miałś uda zimne
jak kawałek stali i odległe jak wieżowce
w obcych miastach. W naszym małym domu
runęło ostatnio kilka wież trzymających stropy.
Zapewne któreś z nas ucieknie przed tym,
kiedy drugie wyniesie gruzy z łóżka, kuchni
i balkonu, gdzie dym i popiół były od zawsze.

Dzisiaj nasze płytkie groby są jeszcze otwarte,
czekają na dobry moment, żeby wskazać drogę
i kiedy to zrobią wybierzemy spokojne miejsce,
w które się udamy, żeby tam odpocząć z daleka
od siebie i trochę potęsknić za tym, co upadło,
ale jeszcze teraz, w ostatnie dni ciepła pozostaje myśl,
żeby przed upadkiem zamknąć wszystkie sprawy.



Dom pełen drzwi

Otworzyliśmy już wszystkie drzwi w tym pięknym domu, poznaliśmy wszystkie zakamarki, które nam wskazano. Jest jeszcze kilka najważniejszych zamkniętych na klucz lub ukrytych w ciemnych tajnych przejściach za szafą.

Teraz wychodzimy na świeże powietrze, żeby poznać świat, zobaczyć i dotknąć to, co jest odległe kiedy ściskamy w dłoni klamkę albo rękę. Poczuc smak pralin i rosę pod stopą, bo otworzyliśmy już wszystkie drzwi w tym pięknym domu

i nie dały nam szczęścia miejsca, które nam wskazano.



Karol Graczyk

Drzwi

Nasz dom nie jest już tak ciepły i wspólny
odkąd pukają obcy. Zwłaszcza, odkąd liżą klamkę
i wchodzą do środka przestawiając meble.

Teraz dom jest pełniejszy, nawóz rodzi kwiaty,
ale smród jest nieznośny. Zbyt gęsty i ciemny,
żeby cieszyć się z tego, co sobą przynosi.

Mówisz: zamknij drzwi, tak będzie bezpieczniej,
ale to trudne, kiedy stoję w drzwiach
przyklejony do ściany i krzyczę na cały blok.

Ty niepewnie szepczesz.



Bagnisko huczy

Jeśli uciekniesz z domu, to będziesz biegł
żeby móc się dowiedzieć, kim teraz jesteś.

Jeśli będziesz biegł, będziesz nieuważny
i usłyszysz kwik szynki z każdej zagrody.

Jeśli będziesz nieuważny, użyj wyobraźni,
tutaj mięso jest przerażone do żywego.

Jeśli użyjesz wyobraźni, ominiesz bagnisko
i dostaniesz szansę na powrót z polnej drogi,

ale skrótów nie ma, a bagnisko cię przyjmie,
szara masa gęstej wody stawi duży opór.

Jeśli wpadniesz w sidła, będziesz wciąż walczył
i odbijając się od drzewa do drzewa usłyszysz

huk bagniska, ale będziesz walczył i kiedy
przerażenie osiągnie szczyt, obudzisz się,

utoniesz.



Karol Graczyk

Pełnia

Śmierć to stan pierwotny, życie jest chorobą
od początku, kiedy dłoń sama się układa
w zakamarkach ciała, a data przydatności
jest nieosiągalna jak pełnia. Życie jest krótkie
i nie ma końca. Bo istnieje strach przed zmianą

i przed brakiem zmiany, a były przecież czasy,
kiedy woda zamarzała tu na długie miesiące,
chodzili tędy ludzie, toczyli krwawe wojny.
Kolejne roztopy zabrały po nich wszystkie ślady.

Łatwo pójść na wojnę przez sen i nie zginąć.
Chodź, pokażę ci, jak wybaczyć i zabić
bez żadnej urazy. Wtedy na pewno mnie spotkasz.
Możesz przejść obojętnie, lecz zrób to z obrzydzeniem.
Śmierć to stan pierwotny, a życie to zmienna.



Andy

Rozlałem we śnie kompot na blat biurka.
Chciałem posprzątać lecz zwlekając
obudziłem się, bałagan tam został.
Blat nie oddaje tego, co weźmie.

Żaden element chodnika nie będzie miał za złe;
jeśli nagle wyjdiesz zza rogu, to będziesz.
Zostaniesz tam na zawsze, jeśli zrobisz zdjęcie.
Podróż nie odda ci tego, co weźmie.

Dokąd wspina się drobiazg po tej stromej ścianie?
Może szuka szczytu, może chce zeskoczyć, umrzeć
z desperacką myślą, że świat to odczuje.

Rozlałem we śnie kompot na blat biurka. Wcześniej
nie pchałem się na świat, milczałem. Zapytajcie matki.
Może przeczuwałem, że nie oddam jej tego, nie otrzymam
znikąd.



Ostatnie dni moje

Razu pewnego dojrzałem niby to Anioła pod moim domem. Wielki był. Co tam, był ogromny.

I zawołałem: – Czemuś się Aniele tak natrudził dzisiaj?

Na to rzecze Anioł: – Ty tego człeczka nie widzisz, ale od samego rana nachylam ludziom słońca do ich sypialni, by zbudzili się w dobrym nastroju. Dbam o jego spacer po nieboskłonie. A gdy dobry Bóg tak rzeknie z nutą refleksji w głosie, wtedy przychodzi też pora na deszcz i nieboskłonu zachmurzenie. Człowiek staje się zamyślony i zanurza się w ulubioną lekturę lub muzykę. Jak widzisz nad tym pracuję co dzień. Ale postać ma zdawać by się mogło z żelaza ukuta. Taką mam siłę i codziennie nowy zapal do pracy. Taka moja natura – stale nowy zasób siły i energii od Stwórcy, by działać w jego imieniu. Po wszystkie krańce wszechświata. I oto dłaczego jestem także nad Tobą. Czuwam.

I odezwałem się do Anioła: – Niech dobry Pan ma Ciebie i Twoich towarzyszy w opiece. Czuwaj zatem nade mną, a nie przestrasz mnie żelaznym Twych ramion uściskiem i zbyt szybkim ruchem słońca na niebie.

I Anioł znieruchomiał. Zdawać by się mogło, że zmartwił. A ja patrzę i patrzę i widzę tylko koniuszek jego wielkiego skrzydła. Nagle skrzydło poruszyło się, a do moich uszu zaczął dobiegać odgłos rżenia. Konie. Pegazy biegnęły wolne ku Aniołowi. Szerokim łukiem ominęły moje domostwo. I zarżały jeszcze raz gdzieś pod księżycem. Nagle Anioł wyciągnął ramię o długości jak z ziemi do słońca i zagarnął w pięść stado pegazów. Rżenie ucichło. Przeciągnął wicher wzniosł się w powietrze od skrzydeł anielskich idący. Za chwilę znów złożył ręce w miłosnym uwielbieniu Pana.

I usłyszałem jego głos: – Ty dziś jeszcze będziesz w podróży do niebieskich ogrodów. Taka jest Twoja wolność, jak te pędzące wolne konie, które ujrzałeś. I Twoje życie ma kres w mojej pięści. Z polecenia Pana. Dziś jeszcze razem wyruszymy.

I odezwałem się do Anioła szczerze poruszony: – A co z naszymi przyjaciółmi na ziemi? Kto ich życia doglądać będzie? Przecież mówiłeś, że pracujesz codziennie dla ludzi.

Na to odezwał się głosem, który zatrząś domostwem moim i ziemią w promieniu wielu mil:

– Inni przyjdą po nich. Każdy ma w niebie swojego stróża. Jest nas wielu, jak drobiny pyłu w kosmosie. Nie kłopotcz się człowiecze.

Rad z tego, co odpowiedziały mi niebiosy anielskim głosem, trzeba się przygotować – pomyślałem. Wszedłem do swej izdebki, w kuchni nakroiłem chleba i zawinałem w tobołek.

Na to Anioł, który przecież widzi każdy mój trud mizerny rzecze: – Zostaw pokarm doczesny człowiecze. Dziś w nocy kosztować będziesz pokarmu z nieba. Nie trudź się.

No to i zostawiłem wszystko. Tylko czekać – myślę. Czekam godzinę, dwie. Czekam do wieczora. Noc nadeszła. Zostawiłem Anioła na dworze, a sam spać szybko poszedłem. Noc minęła i nic. Myślę sobie czy nie poszedł, porzucił mnie, zapomniał. Wyjrzałem przez okiennice i był. Był w tym samym miejscu. Skrzydła jego dostojne widać cały czas. I stoi cicho zmartwił.

No skoro tak – myślę – to koniec żartów.

– Hej Aniele! – wołam z dala – czyś mi nie obiecał, że tej nocy, która właśnie minęła będziemy razem w Niebie? I gdzie jesteście? Ciągle na ziemi.

Ale Anioł tym razem ani drgnie. Skamieniał. Myślę sobie – oszust. To nie Anioł Boży.

I poszedłem do siebie. Zamknąwszy drzwi myślę co robić. – I tak to rozmyślanie nic nie pomoże – powiedziałem sam do siebie. To rzekłszy zająłem się sobą i domostwem. W toku codziennych zajęć prawie zapomniałem o Aniele stojącym u drzwi moich. Jakim tam Aniele? To oszust i tyle.

Minął dzień. Nadeszła kolejna noc. I kolejny dzień. Nic się nie wydarzyło. Jesień złociła się na drzewach za oknem. A Anioł-oszust stał, bo co dzień widziałem jego skrzydła z moich okien.

Któregoś ranka wziętem się na odwagę i otworzyłem drzwi. W progu zawołałem:

– Aniele! Hej! Dobrze Ci tam u góry?! Na co czekasz?!

Wydało mi się w pewnej chwili, że Anioł poruszył prawym skrzydłem i ramieniem. Ale nic. Zdawało mi się tylko. To ujrawszy, wzruszyłem ramionami, obróciłem się na pięcie i wszedłem do domu.

Minęły trzy tygodnie. Miesiąc, dwa. Nadeszła zima, a wraz z nią biały puch i mróz. Na ziemi zrobiło się biało. I nadszedł wreszcie ten dzień. 5 grudnia. Zając akurat miałem niewiele, toteż rozsiadłem się wygodnie, słuchając taktów ulubionej muzyki z płyt. Rozmarzyłem się. Już nie myślałem o Nim za oknem. Myślałem byłem w przyszłości. Co też przyniesie jutro? Jakie nowe odkrycie? Czy będę żył w dostatku? W gruncie rzeczy byłem optymistą i szczerze wierzyłem w przyszłe spełnienie. Siedząc tak wygodnie, ani się obejrzałem jak za oknem zrobiło się ciemno. W kuchni zagrzałem sobie ciepły posiłek, po czym znów rozsiadłem się wygodnie, racząc się wyborną muzyką. Tak minął wieczór. I przyszedł czas by iść spać. Po wieczornej toalecie ułożyłem się wygodnie w łóżku. Rychło zasnąłem. Mijały godziny, gdy już spałem. Raptem w połowie smacznego snu nie wiedzieć czemu zerwał się wichur. Wciągał w sam środek zawieruchy wszystko z mojego domu: stół, krzesła, szafę z ubraniami. Wreszcie dorwał się i do mnie. Porwał duszę mą nieszczęsną w przestworza. Cóż to był za wichur. Z przestwachem frunąłem w wichurze ku górze, a wokół kotłował się mój dobytek. Dokoła tylko biel i skowyt wiatru. I spojrzałem w górę poprzez tumany. I wtedy ujrzałem Anioła. Stał na dworze, na wysokościach nad moim domem. I to on miał wichur w ustach. Wciągał głęboko powietrze nieskończonym wdechem. Oczy miał otwarte, szkliste. I stąd wichura. Chciałem krzyknąć na niego. Przeraził mnie mimo, iż mu mówiłem, żeby w przyszłości tego nie robił. Lecz nagle lękowi i złości ustąpiła dziwna błogość. Unoszony w przestworza nad swoim domem zauważyłem jasność, która wraz z powietrzem wciągany przez Anioła pojawiła się w jego ustach. Gdy tylko mogłem przyjrzałem się temu. To była biała Hostia w ustach Anioła. Od niej biło światło nieskazitelne, które rozpraszało mrok cały. Zbliżałem się do wielkich ust anielskich, wciągany wraz z powietrzem w wichurze. Zauważyłem, że Anioł poruszał ustami.

Teraz słyszałem także głos jego: – Chodź ze mną teraz człowiecze!

Nagle przemknąłem między ustami anielskimi. Było mi błogo. Z Hostii, która była przede mną wydobywało się jasne światło. Wreszcie pozostała już tylko ono – wielkie ciało mistyczne Pana. I sama Światłość. Na wieczność. Tam wzrosłem i żyłem. W Światłości. W niewypowiedzianej Szczęśliwości.

Śnieg

Pierwszy śnieg czyli
Na koniec roku odmłodzenie
Czuję się jak dziecko
Które jeszcze w Jaromierzu (tam)
Wygląda przez okno na podwórze
I zapoznaje się z zimowym krajobrazem
Przez okno zaciągnięte mrozem
Pierwszy śnieg
To zawsze pierwszy
Teraz tajemnice bieli muszę przemyśleć
Wyłącznie z samym sobą
Na stole leżą łyżki
Brudne talerze widelce
Szkłanka po wypitej kawie
Zgasilem światło
I patrzę na śnieg
Jak to możliwe że za oknem jaśniej
Niż w domu
A jednak



Kartofle

Lubię kartofle
Gotowane w łupinach
Więc proszę się nie naigrawać
Z mojej życiowej słabości
Wiejskiej z dawnych lat
(Czasami się jej wstydzę)
Która mi daje otuchę
Do siedzenia w kuchni przy stole i
Wiele rzeczy okazuje się niepotrzebnych
W zapachu gotujących się kartofli
Jak teraz gdy mam dostęp do poezji
Niekoniecznie książkowej we wrześniu

O czym to ja myślę *łupiny* i *zapach*
I jakie wyciągam wnioski
(Powinienem je zapisać)
Choć litery nie są większe niż życie
Chcę tu kilka chwil zostać
Prostocie dnia sprostać
Otwarcie wyznać każdą rzecz
Może znajdę odpowiedź
Ja wiem co to jest warte
Więcej warte niż obietnice
Tego pana na stołku
Któremu forsa leci



Pola w zimę

Jeszcze raz pola
Otwarte
Dla mnie senne ich światło
Nie ostatnie kartki w zeszyście
Moje tutaj spojrzenia
Jakby wygrane na loterii
Nie oddam źdźbła
Z pobocza drogi
Gałązek powleczonych szronem
Ani szurnięcia spłoszonego zająca
Ani owoców głogu i ptasich popiskiwań
Promieni idących po śniegu
Gdzieś daleko
Gdzie nie wiadomo
Co z czym się łączy
Że tylko ucieszenie lekarstwem
Nie przekreślę pól
I trwania drobin
Które znają sekret wielkości
A może powiecie
Że nie znają



Dzisiaj w barze

Dzisiaj czwartek
Nie mogę narzekać
Układają się rzeczy i słowa
Jesienne trochę i mocno zimowe
Dzisiaj pachniała mi gorąca herbata
W barze albo chociaż
Kubek barszczu i bułka
Bez wahania zajrzałem do środka
Brakowało ileś tam groszy
Jak to bywa (u poety)
I już miałem odejść
A tu przy nodze na podłodze
Leży okrągły piękny pieniądz
Więc go podnoszę
Kupuję kubek barszczu
I chwale
Uroczystość spożywania
Żebyście wiedzieli jaki to smak
Nie mieć a jednak
Narzekać nie mogę

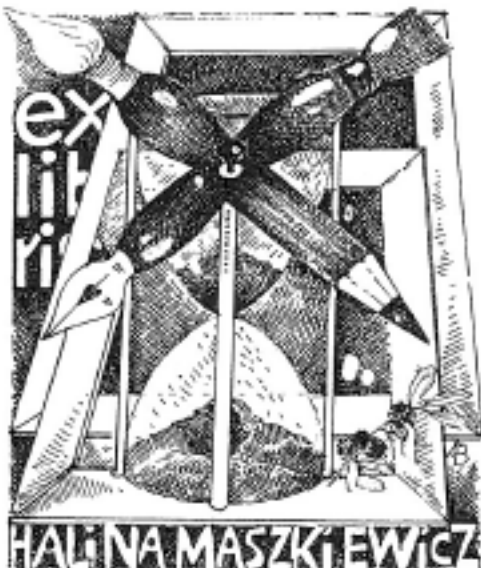


Cmentarz w śniegu

E. M.

Mały wiejski cmentarz
W śniegu całkiem przyjazny
Wokoło brzozy tuje i cisza
(Tu wszyscy ze sobą się znają)
W godzinie zmierzchu są razem
Choć prawie niewidoczni
Pod śnieżną kołdrą pierzynką
Która tu śpiącym wszędzie
Równo do serc przylega

Na krzyżach śnieg zaległ
Komuś potrzebne są te ramiona
Nie umarłe pośród śniegu znaki
I samotne czyjeś kroki
Prawie jak kroki niczyje
Jedno światełko pełga więc żyje
Gdzieś życie bez nazwy
Ale tkliwy płomyk
Wie co w śniegu znalazł



Zimowa opowieść

Mróz wiele wyjaśnia i może nawet
Zaciekawiać jego zimowe podejście
Cośmy tak głośno lekko mówili
Musimy powiedzieć od nowa

Śniegu nasypało krawędzie się znieczuliły
Teraz inaczej niż wczoraj widzę
Te same place schody auta i drzewa
I możliwa jest niemożliwa rozmowa

W śniegu wyrównują się różnice
Nie do pojęcia czystością tknięte
W każdym płatku jest sens uspioony
Który kiedyś może odgadnę

Co o takiej zmarzlinie i jakie jej granice
Chcę to napisać mimo że późna już pora
Tylko przygarnąć jak człowiek umie
W nocy płacz zgubionego dziecięcia



Moje uporczywe, ale nieuniknione dorastanie

Nie, nie, na pewno nie. Nigdy się na to nie zgodzę. Co ta Kaśka wymyśliła?! Czy ona jest ślepa, czy nie widzi z jakim obrzydzeniem uczyć się tego języka i ile razy w ciągu trzech lat w gimnazjum żałowałam tego wyboru? Angielski – wiadomo – język Europy. Wszędzie się nim porozumiem, dogadam, wytłumaczę to, co chcę. To prawda, że niemiecki wybrałam z lenistwa, bo taki był w podstawówce, bo cała klasa się na niego zdecydowała.

Nie jestem jakoś wyjątkowo historycznie wrażliwa. Wiem o zaborach, powstaniach, II wojnie światowej, obozach koncentracyjnych, a w głowie kołacze mi się Hodon spod Cedyń. Pamiętam o tym i to wystarczy na dobrą ocenę z historii. Całe to nasze z nimi współzycie to mordy, nienawiść, później rozejmy, godzenie się i znowu konflikty, i znowu podejrzliwie na siebie patrzmy. I nie wiem, czy odpowiedź na pytanie „kto zaczął?” pomogłaby zrozumieć ten naród. Na razie wszystko mnie to przytłacza i jest źródłem mojej niechęci.

A ona tu wyskakuje z liceum w Guben. No chyba oszalała! Zarzuciła mnie ulotkami, skacze po pokoju i opowiada, jak to będzie cudownie, patrz jaki program, jakie ciekawe dodatkowe zajęcia, poznamy nowych ludzi. Nareszcie wyrwiemy się z tego zapyziałego miasteczka. Przecież to Europa.

– Pokaż mi te ulotki – mama jak tajfun wtargnęła do mojego pokoju, złapała kolorową reklamę i zaczęła czytać.

– Damian, chodź tutaj, zobacz jaka wspaniała propozycja dla Hani. Tato przejrzał ulotkę i tym wzrokiem, którego tak bardzo nie lubię spojrzeć na mamę. Wiedziała, że zaraz się zacznie wykład o odpowiedzialności.

– Niemiecki to język przyszłości. Mieszkamy przy granicy i pewnie będą potrzebować pracowników z jego znajomością. To jest inwestycja w przyszłość.

– Ale mamo, nie uważasz, że jest on paskudny, ostry i w dodatku taki trudny? Tego nie da się słuchać, a co dopiero uczyć! – Upierałam się za każdym razem.

– Ciesz się, że masz możliwość uczenia się tego „paskudnego” języka – dodał tato.

Długo trwał wykład. Kaśka wróciła do domu, a mnie zobowiązano kolejny raz do wykonania czynności pt. „Przemysł to”.

Jak się uczyć kosmicznych słówek typu *Streichholzschächtelchen*? Miałam dość słuchania mojej germanistki, która kiedy mówiła w tym języku miałam wrażenie, że zaraz sobie złamię język. Ta twardość, kanciastość, ostrość. No i jeszcze słynne „Deutschland über alles”. Jak to słyszałam robiło mi się słabo. Oni ponad wszystko? Czy to nie pycha ich rozsadza? Trochę pokory! To dobrze, że jest się dumnym ze swego narodu, ale gardzić innymi? Czy to humanitarne? Bez przesady, cóż tam takiego jest ponad inne narody? Tolerancja i sympatia dla innych – drogi narodzie niemiecki – nie znasz tych uczuć?

A właśnie, uczucia. Posłuchajcie jak to brzmi: „ich liebe dich” – kojarzy mi się z przyduszeniem, a nie z wyznaniem miłosnym. Jaka piękna jest nasza wersja – „kocham cię”. Miękkie, delikatne, przyjemne dla ucha – wybieram to drugie. A rodzice swoje „przemysł”. A przed moimi oczami tandeta, szorstkość, brak stylu, piwne brzuszki. Czy pani kanclerz nie może dopasować sobie spodniów? Wcięta marynareczka, dopasowane spodnie – przecież to Frau Europa, to zobowiązuję.

No niestety, drodzy rodzice, gdybyście słyszeli moje myśli nie byłibyście zadowoleni. Zbuntowana poszłam spać.

Na szczęście rano nie było czasu na jakiegokolwiek rozmowy, a zwłaszcza o karierze. Szkoła, szkoła, szkoła – nie lubię, ale muszę. W holu stała oczywiście Kaśka:

– Co ty tak na nie? Przecież słuchasz Tokio Hotel, lubisz ich. A te ich plakaty w twoim pokoju? A płyty, na które wydajesz całe swoje kieszonkowe? Przecież to Niemcy! Zachwycasz się ich wizerunkiem w stylu emo. Kolczyki, skóry, mocny makijaż i dredy. Nie słyszysz, że śpiewają „ich muss durch den Monsun”? Więc nie udawaj takiej abnegatki i zaakceptuj – idziemy razem do szkoły.

Przyznam się, że długo trwały moje działania obronne. W końcu mój opór został złamany. W ten sposób podjęłam w swoim życiu pierwszą, tak poważną i dojrzałą decyzję. Wystąpiłam dokumenty do Postalozzi – Gymnasium, Friedrich – Engels – Straße, 72, 03172 Guben. Dyrektorem szkoły była pani Winter. Miałam nadzieję, że to nie wróży lodowatych stosunków, a jej imię Gerlinde nie wiem dlaczego uporczywie kojarzyło mi się z Gargamelem. Szesnastolatka i takie dziecinne skojarzenia? Ale to chyba strach przed nowym i nieznanym. Jeszcze ta ostatnia nadzieja, że może mnie nie przyjmą. Niestety – przyjęli. I nie wiem dlaczego w tym momencie urosły mi skrzydła. Deutschland! Nadchodzę! Może te skrzydła to dorosłość?

Zanim jednak na dobre przekroczyłam Nysę Łużycką postanowiłam przyjrzeć się bliżej ojczyźnie Goethego. No właśnie, Goethe, jakże mogłam o nim zapomnieć? Wprawdzie nie zachwyciłam się *Cierpieniami Młodego Wertera*, ale przeistoczenie Fausta, jego zmiana sposobu bycia i nagroda, która go spotkała, dała mi dużo do myślenia. „Trwaj chwilo, jesteś piękna”. Może chwile w Guben też będą tak piękne jak ostatnie momenty życia bohatera dramatu?

Ale nie tylko Johann Wolfgang (ależ to brzmi!). Te słowa – które znam w tłumaczeniu Tuwima „O radości iskro Bogów / kwiecie elizejskich pól...” – przecież to *Oda do radości*, ostatnia część IX symfonii Beethovena, a słowa do niej napisał inny weimarczyk – Friedrich Schiller. A Beethoven *Dla Elizy* – piękny utwór na fortepian, taki delikatny. I pamiętam, że z panią od niemieckiego śpiewaliśmy „Stille Nacht, heilige Nacht...” – to zachwyca.

Rodzice, chcąc chyba ułatwić mi integrację, zafundowali córce wycieczkę. Najpierw Berlin. Aleją Unter den Linden, mijając sklep z porcelaną miśnieńską doszliśmy do Bramy Brandenburskiej. Jednak klasyka robi wrażenie. Grecka kolumnada, na szczycie kwadryga – piękne. Na placu przed bramą strajkowali kominiarze – może przyniosą mi szczęście w nowej szkole? Potem Pergamon, resztki muru berlińskiego. Drezno – tu obowiązkowo Zwinger. Tyle razy widziałam małe, zadumane aniołki, podpierające bródkę. Nawet nie wiedziałam, że namalował je Rafael Santi. Madonna Sykstyńska – wyjątkowy obraz. Zobaczyć oryginały to niepowtarzalna przygoda. Spacerowałam w parku nad Ulmem w Weimarze i może właśnie tam przeżyłam prawie faustowską przemianę? Nie drażnił mnie język przechodniów, potrafiłam dostrzec piękno tego miejsca, z powagą odpowiadałam na kolejne „Guten Tag”. To nie takie straszne. Można zaakceptować.

Jeszcze byłam rozdarta między dwiema granicami, między dwiema kulturami. Najpierw było „moja, moja, moja” – kultura, a oni to „obca, obca, obca”. Teraz pomału „moja, obca, moja, obca”. A tu dalsza integracja, bo przychodzi zawiadomienie, że pani dyrektor Winter wraz z wicedyrektorem Proske zapraszają mnie na obóz w Deulowitz. W lesie, nad jeziorem, w pięknym pensjonacie zamieszkałam w pięcioosobowym pokoju. Ja, jedyna Polka i cztery Niemki. To bardzo trudne nawiązać kontakt z rodakiem, a co dopiero z obcokrajowcem. No, ale w końcu trzeba zacząć. Zrobiłam pierwszy krok. Byliśmy w jadalni.

– Halo, ich bin Hania. Ich komme aus Polen – przedstawiłam się dziewczynie siedzącej obok.

– Hej, ich bin Nicole. Ich bin aus Deutschland. Sehr angenehm.

Wszyscy siedzieliśmy przy jednym stole, wraz z nauczycielami. Uczniowie dostali do posiłku oczywiście colę, natomiast nauczyciele piwo. Zdziwiona zapytałam Nicole:

– Czy to jest u was normalne, że nauczyciele piją przy uczniach alkohol?

Zaskoczona takim pytaniem odpowiedziała:

– Oczywiście, zawsze tak jest. Co w tym dziwnego? A u was jak to wygląda?

– U nas jest to nie do pomyślenia. Dorośli nigdy nie spożywają alkoholu przy dzieciach, a już tym bardziej nauczyciele przy swoich wychowankach.

Po obiedzie wybrałyśmy się na plażę. I tutaj kolejne odkrycie. My przygotowowałyśmy się do plażowania, zmywałyśmy niepotrzebny makijaż, wskoczyłyśmy w strój i po pięciu minutach byłyśmy gotowe. A one? Wręcz przeciwnie. Poprawiały już i tak ostry i wyrazisty make-up, układały włosy, które po chwili oklapną od wody i po godzinie spędzonej w łazience mogły wyjść na plażę. Z Olką, Polką z Jeleniej Góry, z którą zdążyłam się już poznać, nie mogłyśmy wyjść z podziwu.

Na plaży było na początku dość sztywno. Nie wiedziałyśmy, o czym możemy porozmawiać z naszymi „koleżankami”. Jednak wkrótce okazało się, że o wszystkim. Przecież to też nastolatki. Mają te same problemy, przeżycia, hobby. Zaczęło się oczywiście standardowo, od muzyki, bo Sara zadała pytanie:

– U was w Polsce jest taki niesamowity festiwal muzyczny. Byłam już kilka razy i w tym roku też się wybieram. Nazywa się Woodstock. Grają tam wyjątkowe zespoły, a atmosfera, która tam panuje jest nie do opisanania. Wszyscy bawią się jednocześnie. Nie ma znaczenia kto skąd pochodzi – ta impreza po prostu łączy ludzi.

Niemcy przyjeżdżają do Polski?! A jednak.

Tak minęły trzy dni integracji polsko-niemieckiej, po których trafiłam na tydzień do Katrin, aby poznać „od kuchni” niemieckie zwyczaje, życie codzienne i problemy typowej, niemieckiej rodziny. Okazało się, że mama Katrin jest Polką. Już przekroczenie progu ich mieszkania przeniosło mnie w zupełnie inny świat. Mieszkanie niezbyt duże, ale miało swój klimat. Na meblach było pełno ustawionych pamiątek, kwiatów, obrazów, zdjęć. Wszystko to w pewien sposób przytłaczało. Było dla mnie tego po prostu za dużo. W kuchni kilka kolorowych koszy, każdy podpisany: plastik, szkło, odpadki, papier. „Aha, no tak. niemiecka gospodarność i dbałość o środowisko” – pomyślałam. Na podłodze oczywiście zgrzewka piwa, tak na wypadek jakiejś okazji.

Kolejną cechę, jaką mogłam dostrzec u Państwa Müller była oszczędność. Rodzice za każdym razem zwracali uwagę swoim dzieciom kiedy bez opamiętania zostawiali lejącą wodę podczas mycia zębów lub nie gasili światła, wychodząc z pomieszczenia.

– Katrin, musisz pójść z Hanią na zakupy. Jutro wszystko zamknięte – powiedziała Pani Müller.

– Zamknięte? Jest jutro jakieś państwowe święto? – Zapytałam zdziwiona.

– Haniu, przecież jutro jest niedziela! Nic u nas w tym dniu nie kupisz. – Odpowiedziała mi Katrin.

A polska niedziela? Kiedy w tle słychać dzwony kościoła i zostają one zagłuszone przez koszyki z supermarketu, który akurat w tym dniu cieszy się największym utargiem. Bardzo, ale to bardzo smutne zjawisko...

Po zakupach Katrin zaproponowała, żebyśmy wieczorem poszły na dyskotekę.

– Czemu nie. Świetny pomysł.

Nigdy nie byłam w Niemczech na dyskotecze, ale pomyślałam, że wygląda to podobnie jak u nas. Nie chcąc się wyróżniać, ubrałam dżinsy, t-shirt, pomalowałam rzęsy i byłam gotowa. A Katrin? Wyglądała nieco inaczej. Krótka spódniczka, mocny makijaż i wysokie szpilki. Weszłyśmy na salę, ale niestety mój plan się nie powiódł – wyróżniałam się i to bardzo. 98% dziewczyn wyglądała jak Katrin. No cóż, jednak co kraj,

to obyczaj. Muzyka w klubie raczej nie różniła się od naszej – postawili na zagraniczne przeboje, przy których każdy, niezależnie od narodowości mógł się bawić. Przy tej okazji poznałam znajomych Katrin, którzy też przyszedli na sobotnią zabawę. Co mnie zdziwiło, to fakt, że bardzo dużo pytali o Polskę, jak wyglądają u nas dyskoteki, ale nie tylko. Pytali o wszystko. O szkołę, młodzież, a nawet politykę.

Dobrze się złożyło, że Katrin, tak jak ja była katoliczką. Dlatego w niedzielę wspólnie z nią uczestniczyłam we mszy. Kolejna sytuacja, którą mogłam porównać do naszej, polskiej. Tam jakoś od samego progu kościoła nie czułam się obco. Wszyscy uśmiechnięci, serdeczni. Nikt na mnie nie patrzył „z góry”. Zdziwiło mnie, że każdy przed wejściem brał śpiewnik, aby móc w pełni uczestniczyć w liturgii. Kazanie było emocjonalne, ale proste w odbiorze, aby każdy mógł zrozumieć, co kapłan chce nam przekazać. Przy tej okazji przekonałam się również, jak ładnie może brzmieć modlitwa „Ojczy Nasz” w języku niemieckim „Vater unser im Himmel geheiligt werde dein Name. Dein Reich komme...” Zdziwiłam się, że mi się to spodobało. Ale przecież można modlić się w wielu językach. Po mszy kapłan podszedł do rodziny Müllerów, witając się z nimi serdecznie. Od razu mnie zauważył i zaczął pytać skąd jestem. To było bardzo sympatyczne i miłe doświadczenie.

Jestem dziwnym człowiekiem. W krótkim czasie przeszłam niewiarygodne przeobrażenie: od zupełnego odrzucenia do akceptacji. Wystarczyło przypomnieć sobie omówione lektury, muzykę, wyjechać na wycieczkę, porozmawiać z niemieckimi rówieśnikami nad jeziorem i już jest inaczej. Człowiek to dziwne stworzenie. A może to niewyrobione, nastoletnie myślenie? Zobaczyłam coś pozytywnego i już zaczynam wokół tego tworzyć swój mały świat. Może to za dużo – świat, może to tylko pogranicze dwóch światów – mała polsko-niemiecka ojczyzna? Ale przecież to niczemu nie szkodzi. To, że poznam inną kulturę, obyczaje, inny świat – czy to coś złego?

Szkoła, szkoła, szkoła – nie lubię, ale tym razem chcę. Cała jestem jednym wielkim kłębkim, który nazywa się „ciekawość”, jak tam będzie. Spakowałam pół domu: książki, słowniki, niemieckie płyty, gazety. W moim pokoju zrobiło się dziwnie pusto.

Jedziemy do szkoły. Nowa Sól, Zielona Góra, Krosno, Gubin, zbliżamy się do granicy, której oczywiście nie ma. Po lewej stronie koszary i znowu pomyślałam o II wojnie światowej – to jednak w Polaku siedzi. Guben. Krążymy i szukamy ulicy Blumenstraße. Tam czeka na mnie pokój, który przez cztery lata będzie dla mnie domem.

1 września, godz. 7.00 – dzwoni budzik. Otwieram oczy i widzę, że Niemcy już dawno szykują się do szkoły. Schodzę na śniadanie, a tam na stołówce czekają na mnie pyszne, ciepłe rogaliki z marmoladą.

– Mmmm..., dzień rozpoczyna się całkiem miło – pomyślałam.

Całą grupą wyruszyliśmy do szkoły. Szkoły, która jak nam się wszystkim Polakom wydawało, miała nam dać życie mlekiem i miodem płynące. Pierwsza rzecz, która zdziwiła mnie tego dnia to był strój. U nas, w Polsce rozpoczęcie roku jest uroczystością. Biała bluzka, spódniczka i marynarka to obowiązek. A tam, za Nysą? Od razu było nas widać z daleka. Grupa Polaków ubrana na biało-czarno nie mogła nie być zauważona. Każdy Niemiec przyszedł ubrany jak chciał. Dżinsy, krótkie spodenki, a nawet dresy były normalne. Nie wspomnę o dziewczynach, które każdego dnia zadziwiały mnie swoim krzykliwym makijażem, kolorowymi paznokciami, a nawet różnobarwnymi włosami. Z czasem po prostu się do tego przyzwyczaiłam.

Z daleka zobaczyłam Nicole. Jak to dobrze, że ją rozpoznałam. Już nie czułam się taka samotna.

– Hej, wiesz może gdzie będzie apel? – Zapytałam.

– Apel? Jaki apel? – Odpowiedziała mi zdziwiona.

– Jest pierwszy dzień szkoły. Musi być apel – oburzyłam się.

– Hehe, zostaw już te wasze polskie zwyczaje. Jesteś w Niemczech, zaraz zaczynasz zajęcia. Nie ma żadnego apelu.

– Hmm... No ok., może nie chcą tracić czasu i wolą go wykorzystać na naukę – starałam się zrozumieć.

Dostałam plan, przedmioty takie jak u nas w Polsce: fizyka, chemia, geografia. Nie ma tylko języka polskiego. Dodatkowo będę uczyła się angielskiego. Oczywiście sport, cztery razy w tygodniu, informatyka, plastyka, muzyka. Jeżeli uda mi się zrealizować ten plan to będę wyjątkowo wykształconym człowiekiem – technicznie, fizycznie, naukowo i kulturalnie. Znalazłam się w nowym świecie, więc musiałam zaakceptować nowe obyczaje. Nie ma spóźniania się na lekcje, bo każdy niemiecki nauczyciel punkt 8.00 był już w klasie i o tej godzinie rozpoczął swój wykład. Musiałam się kontrolować, ponieważ nie było dzwonek. Okazało się, że zegarek to bardzo dobry wynalazek. W czasie przerwy nauczyciel przygotowywał tablicę do lekcji, pisał temat, porządkował materiały i o wyznaczonej godzinie zaczynał lekcję i zgodnie z czasem kończył zajęcia. Niemiecki nauczyciel to nie Pani Marysia z mojej szkoły. Oni są bardzo wymagający, na lekcji surowi, dokładni, na przerwie uśmiechnięci i życzliwi. Każdy temat wyczerpująco wyjaśniali – tak, aby każdy mógł to zrozumieć. Nie musiałam uczyć się na pamięć różnorodnych wzorów. Wszystkie definicje znajdowały się w książce „Formeln Und Tabellen”. Przynosiłam ją na każdą lekcję. Korzystałam z niej wtedy, kiedy rozwiązywałam zadania z fizyki, chemii czy matematyki. A mogłam do niej zaglądać również na sprawdzianach.

No tak, to było ułatwienie. W ogóle szkoła niemiecka tworzy sytuacje, które pomagają, np. różnorodne materiały, podręczniki, tabele, przybory plastyczne itp. W naszej polskiej szkole wszystko trzeba było kupić. Jednak mimo tych ułatwień zderzenie moich językowych umiejętności z językiem niemieckim wykładowcy i potocznym kolegów okazał się niewiarygodną klęską. Nie rozumiałam, co do mnie mówią. Siedziałam jak na tureckim kazaniu. Wyobrażacie sobie fizykę wykładaną po niemiecku? Albo biologię? Pierwsze noce przepłakałam. Wykonałam setki telefonów do mamy:

– Zabierz mnie stąd, ja już nie chcę niczego poznawać. Chcę do Polski! Mam w nosie Goethego i Tokio Hotel!

Ale pomału zaczęłam się wsłuchiwać, powtarzać. Bardzo wolno to przychodziło. Najpierw rozróżniałam poszczególne słowa, pomalutku zdania, aż w końcu stałam się „prawie” germanistką. Chociaż prawdą jest, że najlepszymi partnerami do rozmowy były małe dzieci, bo mówiły wolno i jeszcze pokazywały palcem. Przeżyłam niewielki szok kiedy zobaczyłam, że moi rówieśnicy oficjalnie w szkole palą papierosy. Ciekawe, czemu oni mogą, a w naszej polskiej szkole trzeba się z tym ukrywać? Fantastyczne były lekcje muzyki. Już na pierwszej lekcji nauczycielka rozdała nam teksty piosenek wraz z nutami. Nie były to dawne pieśni, których już nikt nie zna, ale współczesne przeboje. Udzielała nam przy tym konkretnych, praktycznych wskazówek, jak należy wydobywać dźwięk i jak interpretować słowa utworu. Po kilku takich zajęciach każdy musiał zaprezentować wybrany przez siebie utwór. Ja wybrałam „La isla Bonita” Madonny. Mimo stresu, bo przecież musiałam wyjść na środek, poszło mi całkiem nieźle i dostałam dwójkę. Może brzmi to dziwnie – całkiem nieźle i dwójka. Ale w Niemczech skala ocen jest zupełnie odwrócona. Jedyńka oznacza najwyższą notę, szóstka niestety najniższą. Do tego dochodziły zajęcia dodatkowe. Mogłam malować, rzeźbić, rysować, pływać, grać w tenisa, korzystać z komputerów, kiedy chciałam.

Wszystko było dla mnie – brałam i korzystałam. Dobrze, że to zrobiłam. Bo tak naprawdę, to ja tam w tej niemieckiej szkole dorosłam. Do mojej sielskiej, czasami leniwej słowiańskości dołożyłam szczyptę niemieckiego. Nikt mnie nie zgermanizował. Nie muszę śpiewać „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. A ludzi, jakich tam poznałam, przyjaźnie, jakie nawiązałam są lokatą, z której mogę zawsze skorzystać. To dobra lokata, wiem, że będzie procentowała.

Kolejny etap w moim życiu – studia. Kolejna powtórka z rozrywki: „Myśl, Haniu, myśl” – to mama, „A o czym tu myśleć? Co ty nie wiesz, co masz dalej robić?” – tato. No właśnie, nad czym ja się tak zastanawiam? Niby dorosła, a taka dziecinna, przecież wybór jest oczywisty: germanistyka na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Od października rozpocznę drugi rok studiowania. Po pierwszym czuję, że to był najlepszy wybór, ja-gie mogłam dokonać. Ogrom pracy, jaki musiałam włożyć w poszczególne przedmioty naprawdę się

opłacił. Co było najtrudniejsze - niemiecka gramatyka. Przypadki: das Herz, des Herzens, dem Herzen, das Herz, koniugacja: ich wasche mich, du wäschst dich, er, sie, es wäscht sich, wir waschen uns, ihr wascht euch, sie waschen sich, odmiany, rodzajniki, czasy. I to wszystko trzeba połączyć ze sobą w jedną całość. Bardzo lubiłam natomiast zajęcia z fonetyki. Prowadził je rodowity Niemiec. To było naprawdę profesjonalne. Były dla mnie bardzo pomocne i przydatne, ponieważ nigdy wcześniej nie zwracałam na to uwagi, gdzie i co należy zaakcentować, a jak się okazało jest to zupełnie inaczej niż u nas, w języku polskim. Nigdy nie zapomnę sztandarowego przykładu: ich wohne in Berlin, po polsku wygląda to tak: ich wohne in Berlin. Większość zajęć wymagała ode mnie praktycznej znajomości języka, jednak od przyszłego roku dojdą nowe przedmioty, między innymi literatura, której już się nie mogę doczekać. W końcu będę mogła poznawać i pogłębiać swoje fascynacje, których miałam okazję już w małym stopniu sama doświadczyć.

Mogę skorzystać z wyjazdu studentów z programu Erasmus. Mam okazję spędzić jeden lub dwa semestry na uczelni w kraju, który sama wybiorę. Jest to niepowtarzalna okazja, aby pogłębić swoją wiedzę zarówno językową, jak i teoretyczną o danym państwie. Z rozmów ze starszymi koleżankami dowiedziałam się również, że to niezwykle cenny czas na poznawanie nowych znajomości, szczególnie zagranicznych. Będę miała znowu okazję na stworzenie małej ojczyzny. Poznam nową kulturę. To już nie będzie pogranicze. Z tego tworzy się nie tylko mała ojczyzna, ale mój świat.

Ja tak powiedziałam? Boże, gdyby to słyszała Kaśka, która skakała z ulotkami w moim pokoju. Ależ drogę przeszedłam od tego czasu. Nie chce mi się mówić, że jestem bardziej otwarta na świat, nie taka zaściankowa, bo to drętwe – ale to prawda. Dużo zajęło mi czasu zrozumienie przesłania „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Dzisiaj rozumiem księdza Wyszyńskiego. Ja, chrześcijanka wybaczam, bo nie tylko wymaga tego ode mnie moja wiara, ale przede wszystkim humanitaryzm – i proszę Was Bracia Chrześcijanie z mojej małej ojczyzny o wybaczenie.

(praca nagrodzona w Polsko-Niemieckim Konkursie im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej)



Drugie życie niemieckich śmieci

Belgern, kilkutysięczne miasteczko na pograniczu Brandenburgii i Saksonii. Czerwcowe niedzielne popołudnie. Powoli jeździmy z Mango Mercedesem sprinterem wąskimi ulicami miejskiej starówki, mijając samochody z rejestracjami powiatów krośnieńskiego i żarskiego. Od czasu do czasu trafia się auto na dolnośląskich tablicach.

– „FZA” to przeważnie samochody z Lubuska i okolic, „FKR” to gubiniacy – mówi Mango jeżdżący na wystawki od kilkunastu lat. – W sumie około piętnastu samochodów. Jeszcze nie jest tak źle. Bywałem na wystawkach, na których było ponad trzydzieści samochodów. Kryzys, każdy chce zarobić.

Interes z wystawkami rozpoczął się w Polsce wraz z otwarciem zachodniej granicy. Pracujący w Niemczech Polacy ze zdziwieniem obserwowali jak miejscowi wynoszą przed swoje domy całkiem dobre przedmioty: meble, artykuły gospodarstwa domowego, sprzęt elektroniczny, rowery, elektronarzędzia, naczynia, ubrania czy dywany. Ci bardziej zaradni i pomysłowi, pakowali do swoich samochodów co tylko się dało i po przyjeździe do Polski sprzedawali przywieziony z Niemiec wśród sąsiadów i znajomych. Z czasem doszli do wniosku, że bardziej opłaca się wystawione przez Niemców dobra zwozić do Polski i nimi handlować, niż pracować u sąsiadów na czarno za kilka marek na godzinę.

W 1993 chodziłem jeszcze do szkoły – wspomina Mango. – Po lekcjach brałem od ojca żuka i uderzałem na Niemcy. Załadowywałem go czym tylko się dało. Wtedy schodziło wszystko: RTV, AGD, rowery, dywany, naczynia, garnki, zabawki meble. Po powrocie jeździłem z towarem po okolicznych wiochach i w ciągu dwóch dni zarabiałem tyle co mój ojciec w ciągu dwóch tygodni.

Przed starą kamienicą zatrzymuje nas otyły Niemiec. Mówi, że ma w piwnicy sprawną lodówkę i dwa telewizory, które są mu zbędne. Po chwili towar znajduje się na pace samochodu. Niemiec dziękuje nam za to, że pomogliśmy mu pozbyć się zbędnego sprzętu, który zalegał w jego piwnicy. Dzięki nam nie musiał sam tego wynosić po stromych schodach.

– Niemieckim władzom jest na rękę, że wystawki wywożone są do Polski – mówi Mango. Dla nich to śmieci, które musiałyby trafić na wysypisko, gdzie poddane by były procesom segregacji i utylizacji. To wszystko kosztuje, a tak niemieckie śmieci trafiają do Polski, a później na Ukrainę, czy Białoruś. My tym śmieciom dajemy drugie życie.

Z czasem przywożone z Niemiec wystawki zaczęły trafiać na giełdy. Handlujący szybko nawiązały kontakty z Ukraińcami, Białorusinami i Polakami z centralnej części Kraju. Dzięki temu klienci sami do nich przyjeżdżali, gdy tylko wracali z Niemiec autami wyładowanymi towarem.

– Towaru nie lubię sprzedawać znajomym – mówi Mango. Narzekają jak coś się zepsuje. Najlepiej Handluje mi się z „ruskimi” (Ukraińcy, Białorusini). Towar wyjeżdża na wschód i nic mnie już nie obchodzi. Jeszcze parę lat temu, gdy wracałem z Niemiec pod moim magazynem stała już kolejka klientów. Ostatnio, żeby wyjść na swoje muszą niekiedy wozić towar na Ukrainę. Od kilku lat coraz gorzej schodzi elektronika, ponieważ na Ukrainie powstały zakłady produkujące sprzęt RTV. Teraz także u nich można kupić sprzęty elektroniczne na dogodnych ratach. Dobrze sprzedają się sprzęty gazowe, szczególnie kuchenki i piece dwufunkcyjne. Także na oknach można dobrze zarobić, ale trzeba mieć dojsca i startować w przetargach. Niektórzy robią dobry interes na złomie, który i tak przez polskich pośredników trafia później najczęściej do niemieckich hut. Z przeznaczonych do rozbiórki bloków pozyskują wanny, grzejniki i miedziane rury, jednak aby w to wejść także trzeba mieć układy.

Plany wystawek załatwia się najczęściej w urzędach miejskich. Wystarczy poprosić o Abfallkalender. Rozpiski wystawek można też znaleźć w internecie, wystarczy znać komunikatywnie język niemiecki.

– Kiedyś z Lubka i okolic na wystawki jeździło prawie sto aut – mówi Mango. Dzisiaj jeździ czterdzieści, góra pięćdziesiąt. Niektórzy jeżdżą blisko w okolice Bad Muskau i Weiswasser. Wożą przeważnie drobnicę. Garnki, naczynia, zabawki. Sprzedają to później na targowisku miejskim.

Do wieczora mamy busa załadowanego niemal w połowie. Noc spędzamy w aucie. Mango śpi w kabinie, ja na pace.

– Na wystawkach wszyscy śpią w samochodach – mówi Mango. Najtańszy hotel kosztuje dwadzieścia euro od osoby. Kiedyś jeździłem nawet zimą. To dopiero była jazda, gdy człowiek budził się ze szronem na twarzy. Teraz jeżdżę tylko od wiosny do jesieni. Szkoda zdrowia.

Wstajemy przed siódmą. Po śniadaniu i porannej kawie powoli ruszamy na objazd ulic, przy których mają być wystawki. Wkrótce na pace samochodu zostają załadowane dwie pralki, lodówkozamrażarka, kilka telewizorów, elektronarzędzia i kuchenka gazowa.

– Pora do domu – mówi Mango. Jeszcze by się zmieściło trochę towaru, ale życie nie polega na tym, by bez przerwy pracować.

Po dwóch godzinach dojeżdżamy do granicy.

– Teraz jest luz – mówi Mango. Przed unią gdy jeszcze były szlabany to przerzucało się towar do Polski nawet dwadzieścia godzin. Po aferze łupówkarskiej wopki wpuszczali do Polski tylko z jednym sprzętem na pace.

– Teraz jeszcze trzeba to sprzedać – mówi Mango, gdy wyładowujemy towar przed jego magazynem, podjeżdża fiat dukato na ukraińskich blachach. – No pierwszy klient. Dopóki standard życia w krajach Europy się nie wyrówna, zawsze na śmieciach będzie można robić interes.

(praca nagrodzona w Polsko-Niemieckim Konkursie im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej)

Skutki niepożądane

(fragment)

Na pomysł by napisać *Skutki niepożądane* wpadłam, zaczynając nowe życie na obczyźnie. Pragnęłam uchwycić obraz emigracji w nieco innym stylu niż pamiętniki czy krótkie historie obyczajowe okraszone anegdotami. Postać głównego bohatera jest karykaturą polskich emigrantów. Uwypukliłam nasze wady narodowe, kompleksy, słomiany zapał, ambicje oraz marzenia, których nie mamy odwagi spełniać w obawie, by nie narazić się na śmieszność. Główny bohater celowo nie posiada imienia tak, by każdy, czytając tekst mógł personalnie odczuć jego narzekanie, wyalienowanie, rozdarcie czy też rozczarowanie światem, Bogiem i tym co nam przez lata wpajano. Druga bohaterka natomiast, z zupełnie innego powodu nie została obdarzona imieniem. Chciałam tu z kolei podkreślić jej nierealność, inność, wyobcowanie. Ilustruje ona inną część emigrantów, tę mniejszą garstkę, która na ziemi obcej czuje się komfortowo, bez kompleksów i nie ma problemu z dostosowaniem się do nowej rzeczywistości. Jest ona odzwierciedleniem jednostki, którą reszta emigrantów chciałaby być, lecz jednocześnie okazują jej wzgardę. Jest ona wizją, zjawą, która nawiedza narratora na jawie i w snach. Główny bohater prowadzi wewnętrzny monolog, z jednej strony pragnie on zmiany, z drugiej – zdaje sobie sprawę jak bardzo kłóci się to z jego zasadami.

Styl jaki obrałam nie zawsze jest poprawny stylistycznie, czasem może wydać się bełkotliwy, jednak pisałam to celowo i świadomie, ponieważ chciałam zastosować w tym tekście strumień świadomości, nadać mu efekt terażniejszości i improwizacji. Sposób, w jaki opisuję historie oraz dialogi również są inspirowane słownictwem, jakim posługują się Polacy na Wyspach Brytyjskich. Język polski ubożeje, większość polskich wyrazów zostaje zastąpiona przez angielskie słówka.

*Teraz, uświadomiwszy sobie własne osamotnienie,
poczuł, że jest żywym człowiekiem*

(Brylantowa gitara, Truman Capote)

Wskazania

Tego dnia Monika powiedziała, że dziwnie się zachowuję. Spytałem, co ma na myśli, mówiąc „dziwnie”. Ona tylko wzruszyła ramionami. Dziwnie, znaczy psychicznie, psychopatycznie, paranoidalnie! Jak na dobrą sprawę, człowiek może nie zachowywać się psychicznie, prowadząc takie życie jak ja?

Mieszkam w trzypokojowym mieszkaniu z grzybem na ścianie i wiecznie zaparowanymi oknami. Każdy pokój, łącznie z łazienką i korytarzem wyłożony jest wykładziną o obrzydliwym, bordowym kolorze, niczym w peerelowskim burdelu. Pokoje są ciemne, a zza ściany ciągle słyszę mojego irytującego współlokatora, amatora gandy i hip hopu. Łazienka jest ciągle zajęta, a na windę muszę czekać przynajmniej pięć

minut. Nienawidzę swojego mieszkania, nienawidzę miasta, w którym przyszło mi żyć, nienawidzę swojego życia.

Jak do tego doszło? Kiedy to się stało? Dlaczego wylądowałem na szkockich slumsach? Nie pamiętam.

Pięć dni spędzam, pracując na linii w fabryce, dwa leżąc w łóżku, leniwie wdychając wilgotne powietrze i zastanawiając się jak to się stało, że moje życie wygląda tak a nie inaczej?

Monika powiedziała, że tego potrzebowałem. Czy to możliwe? To tak, jakby osoba cierpiąca na bezsenność potrzebowała koszmarów.

Wkrótce miała pojawić się ona. Niczym trucizna wlewała się do mego gardła, powodując mdłości. Po jakimś czasie miasto przypominające moloch stało się dla nas za małe, a ja zaczynałem się w nim dusić.

Moja obczyzna jest mi równie obojętna jak ojczyzna. Nie chcę prowadzić swego życia ani tutaj, ani tam. Co dzień przeglądam się w lustrze, plując na swe odbicie pianą po paście do zębów. Człowiek z gębą Polaka szczęśliwy nie będzie. Nie! I choćby się starał, choćby cały świat oszukał udając nie-Polaka, to i tak przeznaczenie narodowe go spotka. Opadnie maska światowca, kosmopolity, szczęściarza. Pojawi się za to smutny ryj człowieka ze wschodu. Monika na te słowa, zawsze reaguje tak samo:

– Potrafisz tylko narzekać, jak cała reszta! – wydaje wtedy histeryczny okrzyk, jakby ktoś uszczyptała ją w tyłek, po czym wychodzi z pokoju.

Jak cała reszta? A ty to niby co? Świeży, nieużyty banknocik prosto z mennicy? A kto narzekał wczoraj na psią pogodę? A kto podczas rozmów telefonicznych rozwodzi się nad gównianym, szkockim żarciem? Kto obrabia dupę supervisor?

Narzekać to już nie tylko Polska cecha narodowa. To obowiązek. Wszyscy tego od nas oczekują, Unia Europejska, NATO, Pałac Buckingham i Watykan. Zmieniają się biblijne reguły gry. To my, Polacy jesteśmy Nowym Narodem Wybranym! Plujcie na nas! Nie tolerujcie! My to wytrwamy, taka nasza dola. Tymczasem Żydzi do Żydowa! Wy macie swoją ścianę płaczu, Niemcy gruzy po murze berlińskim, a my dziurawy płot załatany naszymi smutnymi gębami, z wystającymi drzazgami przesiąkniętymi narzekaniem.

Chciecie być biadolącym narodem tak jak my? Hola, hola... To nie takie proste! To musi wejść w krew. My ćwiczymy tę sztukę od pokoleń, niczym Hindusi kamasutrę czy Chińczycy kung-fu. Nie potrafisz biadolić? Zgłoś się do Polaka, on zrobi to za ciebie, za żonę, teściową, sąsiada. Pamiętaj tylko by po wszystkim spojrzeć na niego z podziwem i przeprosić na wszelki wypadek za Katyń i II wojnę światową, kimkolwiek jesteś. Dlatego będę narzekał, będę biadolił, bo to jest silniejsze ode mnie. Nie wyprę się czegoś, nad czym moi pradiadawie pracowali od pokoleń.

Wypluwam żółć przed swoim lustrzanym odbiciem. W ciszy. To niczym medytacja. Po czym nakazuje sobie w myślach być nieszczęśliwym do końca dnia. Bo szczęście jest nierealne, po co tracić czas na złudzenia?

Monika podaje mi dwie podłużne kapsułki.

– Popij wodą – nakazuje, przybierając miękki ton, tak by brzmiało to raczej jak prośba niż nakaz

– Połknąłeś?

– Tak – odpowiadam, zakładając plecak na ramiona.

Stoję przed windą, przeklinam swoją dolę i wypluwam kapsułki o rozmiękłej biało-niebieskiej osłonce.

Piątek. Dzień wypłaty. Najważniejszy dzień w tygodniu, prawie jak niedziela, tyle że bez rosofu i schabowych. Aby nie trwonili czasu na wypoczynek po całym tygodniu pracy, Monika wypisała mi na kartce listę spraw do załatwienia, tak dla odprężenia.

Pozycja numer jeden: przynieść katalog z biura podróży. Po cholere? I tak nigdzie nie pojedziemy. I nagle widzę przed sobą twarz Moniki:

– Nie po to tyram cały rok, by nie zobaczyć kawałka świata! Wszyscy gdzieś byli, Nowy Jork, Włochy, Dubaj! A ja nawet na własne oczy głupich piramid nie widziałam! Dlaczego nie chcesz dać mi odrobiny szczęścia?

– Ależ jedź sobie, jedź! Do Dubaju, do Włoch, na piramidy do Egiptu! Bądź szczęśliwa! Tylko nie próbuj na siłę uszczęśliwić mnie! Mi piramidy do szczęścia nie są potrzebne. Nie wsiądę do samolotu. Jak los dowie się, że jadę holidejować, to na pewno rozbijemy się o Sfinksa, ale gdybym leciał do niewolniczej pracy, wszystko poszłoby jak po masłku.

Pozycja numer dwa: wyciągnąć X funtów z jakiegoś bankomatu po drodze.

Pozycja numer trzy: przynieść coś z take away'a.

Za ciężko zarobione pieniądze, muszę kupić to gówniane, szkockie zarcie, które tak ochoczo wpięprza, oglądając głupawy serial na polskiej stacji TV.

Zaczęło padać, naciągnąłem czapkę na głowę, z lekkim zdezorientowaniem szukając właściwego kierunku do domu. Cash machine! Tutejszy ołtarzyk, tyle że bez Maryjki i Jezuska, za to z cyferkami i funciakami na monitorku. Wprowadź pin, podaj kwotę, dziękuję..., sprawdź stan konta.

– Hej koleżko, za chwilę minie dekada! Miej na względzie innych – burknął ktoś za mną.

Odwrociłem się zaskoczony. Stała tam ona, w pozie tirówki, na niebotycznie wysokich obcasach, sięgających jej za kolana. Opatulona ekologicznym futerkiem, powstałym zapewne z bestialsko obdartych ze skóry maskotek, przyjaciół z wytwórni Disneya, pałac ostentacyjnie fajkę.

– Proszę – odpowiedziałem ze skruczą w głosie. „Mięczak, ciota! Przestraszył się Morticii Addams z polskim dubbingiem”. Upewniając się, że nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi zmierzyłem ją wzrokiem. Długie, czarne włosy, ekologiczne futerko, czarne obcisłe jeansy, czarne dziwkarskie kozaki plus pet my fair'a, który przed sekundą wylądował pod moimi stopami. Wampirella!

Gdybym tylko wiedział, do czego mnie to doprowadzi, przysięgam, nigdy bym na nią nie spojrział, a już na pewno nie zagadał.

Zgrabnymi ruchami oddalała się od bankomatu, wśród obłoków niebieskiego dymu ze świeżo odpalonej fajki.

– Sorry! – krzyknąłem, podbiegając do niej.

Rzuciła mi leniwe spojrzenie spod doklejonych rzęs.

– Skąd wiedziałaś? – spytałem.

– Co?

– Że jestem Polakiem, odezwałaś się do mnie po polsku.

Na te słowa prychnęła z rozbawieniem, oplatając mnie wzrokiem.

– Pytasz na serio? – spytała – Wystarczy na ciebie spojrzeć, ociekasz wręcz polskim trendem noszenia się na wyspach.

– Jak to?

Przystanęła, spoglądając na mnie i zanosząc się coraz głośniejszym śmiechem.

– Nie wyrobię! – piszczała.

Stałem jak przyglup, czekając na odpowiedź.

– Spoko, luz – odparła biorąc głęboki oddech – Ty naprawdę nie kumaszc tego motywu, czy robisz sobie teraz jaja?

Po krótkiej, wymownej ciszy odparła już ze śmiertelną powagą:

– Czapeczka z daszkim z przeceny w sklepie sportowym, historia plecaka jest pewnie podobna. Kijowa wiatrówka z Primarka i safety shoes! Brakuje tylko wása i samodzielnie skręconej fajki w ustach! Mam nadzieję, że odkryłam przed tobą tę misternie skrywaną tajemnicę.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i pewnym krokiem ruszyła przed siebie.

Poczułem ból, podobny do uderzenia w brzuch. Prymitywna, zeszkocona dupa. To był cios poniżej pasa i kto to mówi? Żałobnica! „Powiedz jej to! Powiedz w końcu co myślisz, głośno i wyraźnie”.

– Hej! Chwileczkę – nagle usłyszałem swój głos.

Podszedłem do niej niezadarnym krokiem.

– Myślisz, że wyglądam na Polaka? – „żałosne pytanie”.

– Tak, ja tak myślę, jak i reszta przechodniów na tej ulicy.

– A ty niby co? Cmentarne dziecię? Myślisz, że wyglądasz jak Szkotka?

– Nie – odparła krótko.

Gdzie jest oskarżyciel? Gdzie alternatywna argumentacja? Wysoki sędzie, świadek podał niewłaściwą odpowiedź, niezgodną ze scenariuszem? Co robić? Improvizuj! Nie mam więcej pytań!

– Dla twojej informacji frajerzynie, gdybym nie odezwała się do ciebie po polsku, w życiu nie odgadłbyś mojej narodowości. Mogę być skąd tylko ci się wymarzy i o to chodzi. Spójrz za to na siebie, nawet Rumuni się tutaj tak nie noszą!

– Dlaczego jesteś ubrana na czarno? – „kretyńskie pytanie”.

Zaciągnęła się resztką papierosa, wydychając dym nas sobą.

– Mam zły dzień – odparła.

Fish and chips. Thank you. Leżymy razem w łóżku, najedzeni, udomowieni. Wdychamy wilgotne powietrze. Podziwiamy rosnącego grzyba na ścianie i spływające strużki wody po wewnętrznej stronie okna. Monika nachyla się do mego ucha, szepcząc rozkosznie:

– Połknąłeś tabletki?

Utrata kontroli jest niczym popadanie w błogi sen. Nie wiesz, kiedy zasypiasz, nie masz pewności czy śnisz, trudno się potem wybudzić. Monika stała przede mną, z twarzą wykrzywioną niczym postać z gabinetu luster.

– Wyjdź, no wyjdź! Rozerwij się! – powtarzała.

Za wszelką cenę wyrwij się stąd! Ściągnij z siebie pasiastą, przepoconą pizamę, przesiąkniętą zapachem polskich fajek z przemytu i kebaba. Więc się rozrywam, wśród groteskowych twarzy z gabinetu luster, poruszając się w takt muzyki rozrywającej moje bębni. Muzyka z potłuczonego szkła, wydobywająca się z gardzieli torturowanych zwierząt. Szare ściany, zaprawione moczem i wytapetowane kolorowymi wymiocinami. Wokół mnie multikulturalna gromada ludzi szykująca się do tanecznej orgii. Tańczmy, przesuważmy stopy po klejącej podłodze, zahaczając o kolorowe majteczki rozochoconych samiczek. Animal Planet! Broczymy w bagnie waginalnych soków i alkoholu.

– Wychodzisz z chłopakami – objaśnia mi Monika gdzieś z oddali – Zawsze jakaś odmiana po nużących weekendach spędzonych wśród wirtualnych przygód Lary Croft.

Rozglądam się więc za „chłopakami”, choć nigdy na głos w taki sposób bym ich nie nazwał. To takie pedalskie. Kumple i ziomki. Kamraci od piwa i ostrych imprezek. Ani śladu po moich towarzyszach. „Towarzysze”, to też niebezpieczne określenie, jeszcze ktoś by mnie wziął za komucha. Za obmierzłego fanatyka filozofii Marksa.

Objam się o gangsta pimp i jego suczkę. Kocicę w przykrótkiej kiecce lub może przydługiej bluzeczce. Chcę stąd wyjść. Chcę skończyć ten program z cyklu „Wielkomijska ruja”. Chcę się wbić w swoją pasiastą pizamę i marzyć o ścianie bez grzyba.

Wodzę obłądnym wzrokiem w poszukiwaniu zielonej tabliczki EXIT, gdy nagle widzę ją. Siedzi przy barze, bawiąc się pustą butelką po piwie. Te same długie czarne włosy, te same doklejone rzęsy. Czerwona minisukienka z wycięciami po bokach i czarna, prowokująca siatka na nogach.

Muzyka milknie, ja stoję, nie spuszczać z niej wzroku, a ona rzuca mi obojętne spojrzenie. Tak jakby czuła moją obecność, jakby wiedziała, że tu jestem, jakby słyszała mój wewnętrzny okrzyk zaskoczenia na jej widok.

Wpatruje się we mnie swoimi oczami, które przytłacza ciężar sztucznych rzęs. Bez emocji, bez zdziwienia, bez życia.

Siadam obok niej. Czuję ulgę, na widok znajomej twarzy.

– Cześć – wykrztusiłem.

– Cześć – odpowiada beznamiętnie.

– Co za przypadek...

– Nie wierzę w przypadki – ucięła.

– Więc jak to nazwać ?

– Przyciąganie, telepatia...

Szukam błyskotliwej odpowiedzi. „Zwarcie! Zwarcie!” Iskry z lewej półkuli mózgowej sypią niczym zimne ognie. Wodzę wzrokiem po barowych półkach. Lśniące butelki z kolorowymi płynami mieniają się od światła stroboskopu niczym bombki choinkowe. Piękny widok, który wówczas wywołał we mnie wzruszenie. Dlaczego żaden poeta do tej pory, tego piękna nie uwiecznił na kartce papieru? Te butelki małe i duże, kanciaste i te przypominające kobiecą talię. Przezroczyste, czerwone, zielone, matowe, wzorzyste, z tęcza-wą zawartością spływającą po ich powierzchni.

„Skup się poecino z Koziej Wólki. Odezwij się! Przestań być kretyńcem! To rozkaz! Za jeszcze jedno potknięcie czterdzieści przysiadów, sto pompek, trzy kilometry biegu! A za brak odpowiedzi kulka w łeb. Marsz! Biegiem! Szukaj odpowiedzi!”

– Napijesz się? – pytam.

„Tak jest żołnierzu, dobrze się spisałeś”.

Ona tylko marszczy nos, kiwając głową w zaprzeczeniu.

Zamawiam więc tylko dla siebie.

– Głupio mi pić samemu – ciągnę.

„Przestań więc uprawiać miłość oralną z tą butelką! Po cholere przyssałeś się do jej gładkiego dzióbka, chlapiąc jej goryczkowe soki?”.

Nawet na mnie nie spojrzała. Tak jakby odrywanie etykiety z pustej butelki po piwie było lepszą rozrywką, niż rozmowa ze mną.

Miała długie, blade palce, o ładnie wypilowanych paznokciach, przeciągniętych czerwonym lakierem, który łuszczył się przy ich końcach. Wszystko zamilkło, kapela rockowa przygotowywała się na scenie. Wszystko zamarło w bezruchu. Rozmowy, śmiechy, okrzyki wokół nas stały się bardziej subtelne. Tak jakby cały klub szeptał mi do ucha: „To dla ciebie, zajmij się nią, dotknij, odgarnij jej włosy”.

I nagle podskoczyłem uderzony strunami gitar i ochryplym głosem wokalisty.

„Nie chcę mieć zasłoniętych oczu. Jakież ostatnie słowo? Cisza. Brak odpowiedzi. Cel, pa! Prosto między oczy!”

Wykrzywiła usta w uśmiechu. Najwyraźniej, tylko robiąc z siebie idiotę, jestem w stanie zwrócić na siebie jej uwagę.

Wokalista zaczął ryczeć refren piosenki: Nicole! Nicola! Nicola!

– Jak masz na imię ? – spytałem.

– Nicola – odpowiedziała.

Odwrociłem się w stronę kapeli, patrząc na tłum ludzi, jakbym szukał w nim potwierdzenia jej odpowiedzi.

– Serio? – spytałem żałośnie.

– Nie.

Odsunęła butelkę obdartą z etykiety. Zeszła z krzesła, poprawiając na udach sukienkę.
– Idziemy? – spytała.

Długie, czarne włosy, doklejane rzęsy, ekologiczne futerko, papieros wetknięty w czerwone, mięsiste wargi.

Idziemy przez park. Jest zimno. Ja wypuszczam białe obłoki zimna z ust, ona błękitne duchy tytoniu.

Słychać trzask gałęzi gdzieś z boku, podmuch wiatru czy śmiechy z oddali, mimo to żadne z tych dźwięków nie budzą w niej niepokoju.

Kroczy po żwirowej ścieżce na wysokich obcasach niczym modelka na wybiegu. Jak lunaticzka. Czy ona zdaje sobie sprawę jak niebezpieczne jest to miejsce nocą? Czy z każdym nowo poznanym gościem wybiera się na romantyczny spacer po parku? Czy ona jest nietykalna? Głupia? Łatwa?

– Myślisz jak mnie tutaj bzyknąć, co? – spytała, pozostawiając na mej twarzy nikotynowe sidła. Stosunek płciowy. Nagość. Ginekologia. Pornografia. Miłość. Pożądanie. Namiętność. Upodlenie. Instykt. Zewziewczenie. Seks. Rytmiczne ruchy. Rytmiczny dźwięk. Klap, klap, klap... Okrzyki, które ciężko odróżnić od bólu czy rozkoszy. Oddech zmęczenia. Zwierzęce pozy. Cierpienie, spowodowane zrozumieniem, iż jest to takie niedoskonałe. Niekoniecznie piękne. Na pewno nie romantyczne. Miałem nas przed oczami. Ludzkich, kanciastych, wyblakłych, beznadziejnych i brudnych. Kreując ten obraz w swoim umyśle poczułem smutek. Smutek przeobrażający się w gniew. Gniew na jej pewność siebie, bezpruderyjność i tupet.

– Nie – odpowiadam krótko.

Mruży swe oczy, chichocze opierając się o konar drzewa.

– To po co ze mną wyszedłeś? Myślałeś o tym, od chwili, gdy zobaczyłeś mnie przy barze. Chcesz tego, a ja ci to dam.

Ona mi „to” da. Pozwoli się upodlić, myśląc, iż jest to akt wyzwolenia, modernizmu. Mylne urojenia spaczony Poleczki, która myli pojęcie wolności z upadkiem. A gdzie jej wartości? Rozchyli swoje kruche uda, pokryte czarną siatką. Przymrużone oczy zasłoni wachlarz sztucznych rzęs, usta rozchyli wypuszczając ostatni obłok dymu z końcówki papierosa. Wejść w nią pełen złości, okryje mnie jej wilgoć i sprawię, że oboje będziemy godni politowania. Sperma w niej, na jej wargach, sztucznych rzęsach, czerwonej sukience. Jak ona może na to pozwolić? Uprawianie miłości. Ruchanie. Uprawianie miłości. Bzykanie. Uprawianie miłości. Dymanie. Uprawianie miłości. Myśl o seksie z nią przywoływała w mej głowie jedynie wulgaryzmy. Seks to wulgarność, to instykt, to biologia, ale na pewno nie romantyzm.

I wtedy pomyślałem o Monice, o jej mysich włosach ściętych na pazia, bladej cerze, złotawych piegach, przekłutych uszach, obgryzionych paznokciach.

– Mam dziewczynę – wykrztusiłem.

– Bravo! Gratuluje lojalności, tak czy inaczej mi to nie przeszkadza – odparła, wzruszając ramionami.

Wściekły chwyciłem ją za ramię ściskając ze wszystkich sił.

– Posłuchaj mnie! – krzyknąłem.

Była taka spokojna, jakby nieobecna, obojętna wobec bólu jaki jej zadawałem zakleszczając się w jej ramieniu – Co ty próbujesz sobie i mi udowodnić?

– Twoją słabość... – wyszeptowała – Nie wiesz kim jesteś, nie wiesz czego chcesz, nie jesteś pewien nawet swoich myśli. Mogę to przerwać..., możesz wskoczyć we mnie lub tam...

Podążyłem za jej spojrzaniem. Tafla stawu, pełna zmarszczek od podmuchu wiatru przywoływała mnie do siebie.

– Zmierz się z problemem, uwolnij innych od swojej osoby i zostań ze mną – wyszeptowała mi do ucha.

Nie mogłem jej mieć, chudej, bladej, o sztucznych rzęsach i ekologicznym futerku. To było zbyt plugawe, a woda oczyszcza, uwalnia, odradza, zmywa grzechy i brud.

Pod wodą wszystko zdaje się biec własnym tempem, bez pośpiechu, leniwie, wolno. Promienie nocy i dnia pieszczą dno lśniącoymi sztyletami. Pozwalam porwać się temu rytmowi, tym kolorom i żyłkom światła. Chciałbym zostać tu na zawsze, żyć tym podwodnym życiem. Tak wielu ludzi znalazłoby tu szczęście i ukojenie. Jesteśmy boleśnie okaleczeni przez naturę, iż nie dała nam tej możliwości. Delikatne pęcherzyki powietrza wymykają się z mych ust i nozdry. Widzę ją, stoi przy brzegu, wiruje nad taflą, szukając mnie pod wodą. Głuchy głos dobiega do mych uszu:

– Substancja czynna.

Stoi bez ruchu, przygląda się mojemu bezwładnemu ciału, które dryfuje pod wodą. Porusza ustami, a głuchy głos jakby tłumaczy:

– 20 mg.

I nagle słyszę plusk wody, otwieram oczy, siedzę na kiblu. Naga żarówka kołysze się monotonnie, a czerwona wykładzina śmierdzi wilgocią. Jest i Ona. Naga w wannie. Mokre włosy zaczesana do tyłu, nogi opłotła rękoma, jakby było jej zimno, chociaż wszystko wokół nas zroszone było parą. Paliła fajkę nie spuszczając ze mnie wzroku. Co ja tutaj robię? Jak się tutaj znalazłem? Czy my?

– Lubisz gry? – spytała trzepocząc odklejającymi się sztucznymi rzęsami .

– Gry? – spytałem niczym echo .

– Tak gry, gry i zabawy, trzeba zabić czas. Znam tylko jedną grę, jest naprawdę dobra, nazywa się „Gra w umieranie”. Miałem głęboko gdzieś gry i zabawy, o wiele bardziej interesowało mnie to, jak się tutaj znalazłem.

– Myślę, że spodoba ci się ta gra – ciągnęła niezrażona moim milczeniem – Myślę nawet, że dobrze znasz reguły tej gry...

– Niby skąd? – spytałem opryskliwie.

– Lubisz swoją pracę? Relacje z innymi ludźmi? Swój monotony, monogamiczny związek? Czy lubisz swoje życie?

– Tak – odparłem przegryzając wargi.

– Kłamca – zachichotała, ściągając powoli mokre, sztuczne rzęsy – W dodatku użyłeś czarnego kłamstwa.

– Czarnego kłamstwa?

– Zazwyczaj używasz szarych.

Chryste! Co za pokręcona laska, co ja właściwie z nią robię?

– Życie to nie tylko pasmo zabaw i gier. To przede wszystkim ciężka praca, obowiązki i wyrzeczenia, praca nad sobą i kontrola – starałem się wlać choć kilka kropli odpowiedzialności do jej spalonego umysłu.

– Kontrola – powtórzyła z rozmarzeniem – Ty jej nigdy nie tracisz prawda? Wolisz żyć w zakłamaniu niż chociaż przez moment poczuć radość i wolność .

Bezwstydnie wyszła z wanny, eksponując przede mną swą nagość. Powolnymi ruchami zaczęła wycierać swoje chude ręce i nogi, sprężyste piersi i płaski brzuch. Okryła się ręcznikiem, po czym usiadła na skraju wanny.

– Czujesz się szczęśliwy? – spytała.

– Czasami...

– Szare kłamstwo – zachichotała.

– Czy ty niczego nie rozumiesz? – spytałem mocno wkurwiony.

Co ona do cholery sobie myśli? Co ona w ogóle może wiedzieć? Gównu! O wszystkim ma jedynie blade pojęcie.

– Nie wiem, co tutaj robisz, w jakim celu tutaj przyjechałaś i nic mnie to interesuje! Każdego dnia budzę się z pytaniem na ustach, co tutaj robię? Jak długo uda mi się popracować w pieprzonej fabryce? Muszę

znosić głupawe pytania szkockich wsiurów, muszę udawać, że bawią mnie ich prostackie żarty, muszę znosić ich fałszywe uśmiechy. Jestem Polakiem, a to przekleństwo! Moja ukochana chce zwiedzać świat, chce zobaczyć Egipt i piramidy. A ja chcę świętego spokoju! Chciałbym mieć willę z basenem i Lexusa w garażu, chciałbym wygrać w totka, ale to nie możliwe! Bo szczęście do mnie nie należy, jakimś głupim trafem na nie nie zasługuję, chociaż przez długi okres chciałem wierzyć, że przyjdzie taki dzień, że z życia będę brał pełnymi garściami co najlepsze. Rozumiesz? Ocknij się i wróć na ziemię, przestań żyć w swej głupawej bajce! Skończ z tą pozą na psycholożkę, bo to żałosne.

Naga, otulona jedynie ręcznikiem, z mokrymi strączkami falowanych włosów, bez sztucznych rzęs, bez ekologicznego futerka, bez śladu po łuszczącym się czerwonym lakierze na paznokciach.

Podeszła do półki z kosmetykami, prywatnego laboratorium, które ma w swoim domu każda dupa.

Kremy, balsamy, serum, lakiery, odżywki, miliony kolorów na twarz, miliony pudrów, tysiące substancji nawilżających, tysiące substancji wysuszających, setka ujędrniających. Kolorowe butelki, buteleczki, flakony, flakoniki pełne duszących, rozkosznych zapachów. Wszystko kosztem słodkich szczeniactwów, króliczków, małpek i świnek morskich, które miały tego pecha, iż trafiły do zwierzęcego Oświecienia o słodkiej paryskiej nazwie L'Oreal lub hollywoodzkiej MaxFactor. Tam też, zwieraczki nosiły te zapachy, tyle że wstrzyknięte pod skórą. Ciekawe czy Ona lubi zwierzęta? Czy może jak reszta świata uważa, że nic i nikt się nie liczy poza własną osobą? Kącik tortur. Pensety, zalotki, maszynki do depilacji, plastry z woskiem przeznaczone wyłącznie do najbardziej zalesionych obszarów i pędzle uwalone różowym pudrem.

Nie chwyta za żadną z rzeczy, którą wymieniłem. Sięga po wilgotną od pary paczkę fajek, siada na wannie, spokojnie odpala papierosa i nie spuszcza ze mnie wzroku.

Zdaje się, że jest całkowicie pozbawiona rzęs, tak jakby wszystkie się zbuntowały i wypadły od kiedy zaczęła doklejać te swoje sztuczne wachlarze. Z lekkimi, brązowymi cieniami pod oczami i wysuszonymi ustami nadal wydawała się dość atrakcyjna.

Głęboko zaciągnęła się dymem, przymykając przy tym oczy, tak jakby z rozkoszą wprowadzała ten cały syf do swego organizmu. Jestem pewien, że żadne świństwo nie jest jej w stanie zabić. Zdaje się mieć w sobie jakąś supermoc. I nagle z jej gardła, z jej oblepionych flegmą strun głosowych doszedł mnie przeraźliwy dźwięk, niczym rżenie, które za cholerę nie chciało ustać. Spokojnie wyrzuciła resztkę fajki do kibla, po czym podeszła do mnie, rżąc nieustannie.

Gdy nagle, bezceremonialnie splunęła mi w twarz krwawą śliną. Rżenie ustało, moje przerażenie nie.

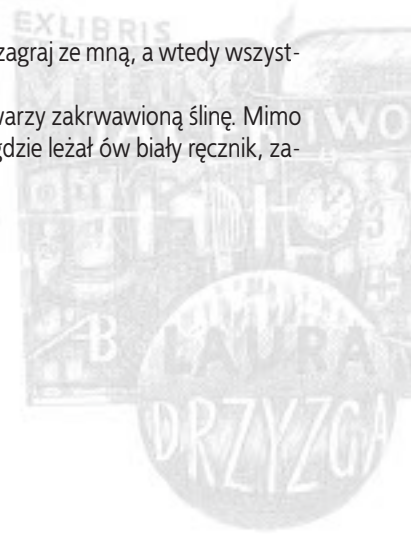
– Gratuluję – zaczęła – Twoja gęba przypomina w tej chwili nasze dumne barwy narodowe! Bładość, którą zawdzięczasz szkockiej pogodzie i życiu bez celu. Mój dodatek możesz potraktować jako symbol udręki i ciężkiej walki o byt! Tak, wszystko co polskie obryzane jest krwią! Krwia wylewaną na wojnach, krwią naszych wielkich bohaterów, krwią kobiet, które dały im życie! Taka produkcja polskich męczenników! Wyprodukowano w Polsce, made in Poland, Łódź spółka z o.o.

Polska krew jest wyjątkowa! Menstruacyjna i ta po zerwaniu błony dziewicze, krew ciekająca strużkami po rękach nastolatków odbierających sobie życie. Nie uważasz? Zacznijmy się okaleczać, zbierzmy się całą gromadą w centrum miasta, rozcinajmy swą bladą skórę, uwalniając strugi naszej umęczonej polskiej krwi, udowodnijmy im wszystkim, że Polska krew jest lepszej jakości, ma więcej witamin i minerałów. Niech szkockie rzeki zabarwią się nią i wtedy oni to docenią, docenią polską krew i rzucą się w jej odmęty, zapomną by oddychać, będą pływać w niej bez celu, tak jak my włóczyliśmy się bez celu po ich ulicach. Gdy stracą przytomność, my będziemy triumfować. I wtedy każdy zapomni co to dobra zabawa, każdy zacznie żyć przeszłością z przekleństwem wpisanym w metryce urodzenia. O to ci chodzi prawda? Tobie i całej reszcie! Chcecie uwagi, litości, chcecie imponować, chcecie wyzbyć się polskości, nie mogąc przestać jej podkreślać jednocześnie. Chcecie być kimś! Wzbudzać zachwyty! Jesteście z jednej produkcji, tej wadliwej. Pozwólcie

się rozdzielić bracia i siostry, a nóż ktoś was naprawi. Pozwól sobie pomóc, zagraj ze mną, a wtedy wszystko minie.

Zdjęła z siebie wilgotny, biały ręcznik i jego kąciem wytarła z mojej twarzy zakrwawioną ślinę. Mimo iż nasze ciała się nie stykały, czułem jej ciepło. Wbiłem wzrok w podłogę, gdzie leżał ów biały ręcznik, zabrudzony cieniutkimi niteczkami krwi z jej gardła.

– Made in Poland – wyszeptalem zamykając oczy.



Przemysław Grzesiński

Czarny lotos

Opowiadanie z cyklu „Brama”

– Jednak się udało – powiedziałem do siebie i uśmiechnąłem się do lustra. Włożyłem dłonie do zlewu i odkręciłem wodę. Mały wodospad roztrzaskiwał się z charkotem o moje dłonie. Po chwili zakręciłem kurki i starannie wytarłem ręce papierowym ręcznikiem. Drzwi powoli zamknęły się za mną, gdy ponownie znalazłem się w sali restauracji *Prokurator*. Usiadłem przy swoim stoliku i zamówiłem jeszcze jednego Jacka Danielsa.

– To był mój dzień. Tak wyglądał dzień sukcesu. Wychyliłem szklanę jednym ruchem ręki, wyciągnąłem banknot o najwyższym nominale, położyłem na obrusie i wyszedłem na ulicę.

Zbliżała się jedenasta. Stałem na szeroko rozstawionych nogach i spojrzałem w niebo. Na tle stalowego błękitu lśniła zawieszona bryła złota. Rozstrzelone promienie głąskały pochlebnie solidne kopuły i dachy budynków. Każdy detal Miasta błyszczał jak klejnot, mieniając się tysiącem barw. Nawet kostka chodnikowa ułożona ściśle jak prążki w liczydło, potwierdzała uporządkowanie barokowego harmonogramu topografii. Wieża ratuszowa zapączkowała stalowym szczytem, na którym zakwitł kwiat flagi. Refleksy świetlne odbijały się po zaułkach, dając złudzenie nieograniczonej przestrzeni i porażającej jasności, wobec której każda głowa chylić musiała się w akcie zasłużonej pokory. Znajdowałem się w Mieście lub we wnętrzu przeogromnej katedry. Rzeźby sygnalizacji świetlnej oznajmiały na przemian czas rubinu, bursztynu i szmaragdu. Rozciągnięte na ulicach pasy popuchły jak dywany z ałtasu, a drzewa szumiały harmonijnym chórem zieleni. Materia chrzęściła pod każdym krokiem, a złoty pył wzbijał się niczym dżin wychylający się spomiędzy kostek bruku. Poobracane hełmy śmietników zbierały hołdy dnia, a ja szedłem marszowym krokiem w stronę centrum. Przystanąłem przy jednej z wystaw sklepowych, na której w postawionym na sztorc wieszaku prężyła się marynarka z najnowszej kolekcji Vistuli. Poprawiłem swój język krawata i pokiwałem głową z uznaniem.

Skierowałem się w stronę placu, którego nie można było przeoczyć. Na jego środku królowała pomnik jeźdźca na koniu ze wzniesionym do góry mieczem. Szytych skupiał na sobie uwagę promieni słonecznych rozpylając je po ciele rycerza. Winorośl oplatała się usłużnie o kopyta wierzchowca w sposób, jaki zwykła czynić natura, by obłaskawić ciężki materiał dłoni ludzkiej. Zatrzymałem się przed pomnikiem i wyciągnąłem papierosa. Odpaliłem go srebrną zapalniczką i spojrzałem w oczy rycerza. Jego wzrok wzbijał się do góry i stwarzał wrażenie, jakby przebił chmurki chmur i ruszał dalej na podbój kosmosu. Na jednej z ustawionych wokół pomnika ławek dostrzegłem kątem oka ruch. Odwróciłem głowę i ujrzałem małego chłopca o jasnych kręconych puklach włosów. Siedział zupełnie nagi, mówiąc coś, jednak szum drzew roznosił jego słowa na cztery strony świata. Jego niesięgające ziemi nogi dyndały jak dwie pulchne puszczalki.

W pierwszej chwili chciałem do niego podejść, jednak przypomniałem sobie, że muszę już iść dalej, że czeka mnie spotkanie z człowiekiem, któremu dawno temu zostawiłem na przechowanie kwiat czerwonej

róży. Znalazłem się przed kasynem. Poprawiłem garnitur i obejrzałem buty. Sprawdziłem podeszwy i poprawiłem włosy. Wszedłem do środka przez szklane obrotowe drzwi. Po obu stronach tego specyficznego koła fortuny stali na baczność Cyganie w liberiach. Minąłem ich bez słowa i wszedłem w korytarz oświetlony kandelabrami. Za stolikiem przed wejściem siedziała zielonooka dziewczyna, która uśmiechnęła się na mój widok.

– Mogę prosić o pański dowód osobisty? – spytała uprzejmym głosem

– Oczywiście – odpowiedziałem i wyciągnąłem dokument z wewnętrznej kieszeni marynarki

– Dawno pana u nas nie było – powiedziała chwytając dowód osobisty i podając mi wydrukowany bilet wstępu

– Byłem zajęty – odparłem i pozwoliłem sobie na lekki uśmiech

– Życzę powodzenia w dzisiejszej grze – dodała

– Dziękuję, ale dzisiaj nie zamierzam grać.

– A czy tutaj można tego uniknąć? – spytała poważniejąc

Nie odpowiedziałem i przekroczyłem próg sali. Od razu skierowałem się w stronę ruletki mijając smutnych jednorękich bandytów, milczących, posępnych zbójów, pozornie uśpionych, wiecznie czekających w przyczajeniu jak aligatory. Na ścianach pozawieszane były węże zielonych sznurów obciążone czerwonymi i czarnymi balonami, z sufitu zwisały dębowe lwie paszcze, z których sączyło się światło żarówek. Ustawione przy ścianach szwedzkie stoły uginały się od szampana, wódki, kawioru, ostryg i mięs wszelkiego rodzaju. Prosiak z wetkniętym w pysk jabłkiem w niemym pytaniu bezmyślnie wytrzeszczał oczy na ludzi w kasynie. Było przedpołudnie, ale wszyscy ubrani byli w stroje wieczorowe. Kasyno kierowało się własną logiką i własną magią. Rachunki prawdopodobieństwa, psychologia, wszelkie nauki szczegółowe nie miały tutaj wstępu, tak jak wstępu nie miała tutaj pogoda, ani pora roku. Enklawa żyła własnym życiem, ściany oddychały na swój własny, metafizyczny sposób. Goście kasyna, choć zgromadzeni przy stołach, nie obstawiali niczego. Krupierzy stali bez ruchu pogrążeni w hipnozie, obsługa kasyna jak dobrze rozstawiony oddział policji ustawiona była w sposób niewidoczny, a jednocześnie wszechobecny. Stali w przygotowaniu na każdą ewentualność, na każdy z możliwych wariantów. W świetle lamp połyskiwały kolczyki i wisiorki kobiet, lśniły mankiety i kołnierzyki mężczyzn, ale sala zdawała się drzemać. Nie było słyhać nic prócz oddechów gości, nic ponad pojedynczy szelest sukni. Zbliżyłem się do tego tłumu, choć przecież nie był to żaden tłum, ponieważ stanowiła go elita. W kasynie każdy z gości był wyjątkowy i traktowany był w sposób niepowtarzalny, nieskazitelny, bo był tym jednym jedynym, wyjątkowym.

Kiedy zacząłem wchodzić pomiędzy te postacie, odniosłem wrażenie, że wykonano je z wosku, lecz gdy chciałem dotknąć jedną z nich, rozstały się. Ze środka sali jak z ciemnej pieczary wyłoniły się trzy osoby. Na przedzie, równym spokojnym krokiem szedł kierownik kasyna w nienagannie skrojonym czerwonym garniturze i czarnej koszuli z zielonym krawatem. W rękach, niczym troskliwa matka trzymająca niemowlę, tulił smukłą butelkę szampana. Za nim, w odległości pół kroku poruszali się jak cienie mężczyźni dźwigający ogromny tort.

Kierownik podszedł do mnie i uklonił się uprzejmie, jak zwykł czynić ktoś, kogo uprzejmość i pozorna uległość zdawały się zastępować jego wcześniejszą naturę. Zatrzymał się naprzeciwko, otarł nawoskowane wąsy i zaczął:

– Panie i panowie! Szanowni państwo! Mamy dzisiaj przyjemność i zaszczyt gościć pisarza, który właśnie ukończył swą pouczającą powieść. Proszę, przywitajmy go gromkimi brawami – dodał zwracając się do zgromadzonych.

Na dźwięk oklasków kasyno odpowiadało akustyką, sufit powoli zaczynał się budzić, dywan wyprężył się jak grzbiet rekina. Tylko na twarzach niewolników tego pomieszczenia nie było widać żadnych emocji. Ich oczy, choć skierowane we mnie, w głębi swojego jestestwa przesuwają żetony i chciwie obserwowały

koszulki kart przykrywające tajemnicę nagości szczęścia. Brawa uderzały rytmicznie jak jeden wspólny huragan podziwu, choć pozostawał on zupełnie głuchy i przypominał kołatkę uderzającą o ścianę. Kierownik otworzył butelkę szampana i zaczął nalewać do podstawionych kieliszków.

– Pańskie zdrowie – powiedział.

– Czy zechce pan wygłosić toast? – dodał po chwili i na sali natychmiast zapanowała ciężka, nieskazitelna cisza.

Uniosłem kieliszek do góry i rozejrzałem się po twarzach obecnych.

Stała w miejscu, które w malarstwie nazywane jest mocnym punktem. Miedziane włosy oplatały śnieżnobiałą szyję, a ciało opinała suknia z mocnym dekoltem w kolorze mroku. Uśmiechnęła się do mnie zalotnie i lekkim ruchem dłoni podniosła kieliszek na wysokość ust.

– Dziękuję za powitanie, dziękuję państwu za przybycie – powiedziałem do zebranych i upiłem pół kieliszka. Goście raz jeszcze, tym razem już spontanicznie jak wzór teorii chaosu, zaczęli uderzać dłońmi. Odwróciłem się i podszedłem do suto zastawionego stołu. Kiedy poczułem na plecach jej oddech, odwróciłem się.

– Toast nie był zbyt okazały, – zauważyła z podszytą kpinią – ale za to świetnie pan wygląda – dodała z uznaniem i dokończyła szampana ze swego kieliszka.

– Dziękuję, Wiktorio, ty też wyglądasz znakomicie. Jak zawsze i jak nigdy.

Na jej twarzy po raz pierwszy zobaczyłem zaskoczenie. Po chwili przerodziło się ono w przepiękny, bardzo dźwięczny śmiech.

– Jak? Jak pan mnie nazwał?

– Wiktor. Przecież tak masz właśnie na imię, prawda? – spytałem, choć wiedziałem dokładnie, co ją tak zaskoczyło. – Przeszkadza ci, że przeszedłem na „ty”?

– Ależ nie, skądże – powiedziała wyraźnie uradowana – nie spodziewałam się jednak tego po panu... po tobie. Myślałam, że nigdy się nie przełamiesz – rzekła przyglądając mi się uważnie. – Ty naprawdę się zmieniłeś.

– Mam to traktować jak komplement? – spytałem. – Przecież to tobie raczej powinno się składać komplementy.

– Więc zrób to.

– Czy między twe uda... mi się wspiąć ramiona, byś do góry nogami... położyła rozsądek? – spytałem chwytając za talerz. – Nałożyć ci coś?

– Może nogi na szyję? – zapytała i znowu się roześmiała

– Gdzie jest ekscelencja?

– Czyżbyś już się znudził moim towarzystwem?

– Nie, skądże, ale mam tutaj coś do załatwienia. Kiedyś zostawiłem tutaj na przechowanie moją... Nie, nie moją... różę. Czerwoną różę.

– Tak, wiem. Pamiętam... Gratuluję panu powieści, jest znakomita, ale chyba nie będziemy teraz o niej mówić? Proszę mnie gdzieś zabrać – powiedziała z nadąsaniem

– Nie dzisiaj. Zresztą widzę już ekscelencję.

Podszedł bezszelestnie i pocałował Wiktorię w kark. Popatrzyli na siebie w milczeniu, a następnie jego wzrok spotkał się z moim. Był taki jak ostatnio – zimny i przenikliwy jak górski potok.

– Może usiądziemy? – zaproponował

– Chętnie. Dziękuję ekscelencji za to powitanie.

– Nie przeceniłem pana – rzekł, gdy weszliśmy do jego gabinetu. Na ścianie ponad dębowym stołem wisiło *Ukrzyżowanie* Tycjana.

– Proszę usiąść – powiedział i wskazał mi ciemny, obity skórą fotel.

Rozsiadłem się wygodnie i wyciągnąłem papierosa z leżącej na biurku hebanowej skrzynki.

– Można? – spytałem, wkładając papierosa do ust.

Obaj wiedzieliśmy, że w dniu innym niż dzisiejszy, gest ten odczytany byłby jako wysoce nieestosowny, ale dzisiaj był to mój dzień, moje święto i ekscelencja rozumiał to doskonale.

– Wie pan, do kogo należała? – zapytał

I znowu obaj znaleźliśmy odpowiedź, więc nie powiedziałem nic. Kto wyciąga papierosa z Puszki Pandory, musiał ją wcześniej nosić. Musiał ją kiedyś pochłonąć. Ekscelencja także wyciągnął papierosa i przypalił go od jednej ze świec w stojącym na biurku kandelabrze. Kiedy wchodziłem do gabinetu, nie było go tam. Teraz siedem świec płonęło w nim intensywnym ogniem.

– To ponoć przynosi pecha – powiedziałem, powtarzając ruch ekscelencji i zaciągnąłem się głęboko.

– Tylko marynarzom – odparł

– Czyli mnie także?

– Wódki? – zapytał stawiając butelkę i szklanki, a następnie nalał do pełna.

– Brakuje tylko gwiazdek – zauważyłem

– Pan zdaje się przechowywać jedną u mnie. Jeszcze raz chciałbym wyrazić swe uznanie dla pańskiej książki. Zwłaszcza dla pierwszego i ostatniego rozdziału.

– Piękny obraz – powiedziałem i wskazałem na *Ukrzyżowanie* Tycjana

– Tak. Przypomina mi *Ostatnie kuszenie*... Ale... nie mówmy o nim.

Wypiliśmy w milczeniu. Przed oczami przesuwaly mi się obrazy przeszłości. Mroźna mgła otulająca cały świat, prószący cekinami śnieg, płynąca tafla drogi i moja róża. Gasnąca w świetle grudnia, stygnąca z kolorów na mrozie. Wtedy przyniosłem ją tutaj i zagrałem z kasynem o całą moją rzeczywistość. Wygraną miał być adres osoby, której mogłem ją podarować. Teraz, gdy moja książka została ukończona, mogłem ją wreszcie odebrać.

– Oczywiście – powiedział ekscelencja. – Czekala na pana przez cały ten czas. Jest w komodzie. Adres także.

Wstałem i otwarłem drzwiczki komody, której wewnątrz wykonane było ze szkła. Na półce leżał czerwony kwiat róży z doczepioną kartką. Wyciągnąłem go delikatnie jak należało wyciągać kogoś, kto pograżony był w śpiączce. Odczytałem kartkę, na której zapisany był adres.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Nie ma za co – odpowiedział. Ja zawsze dotrzymuję słowa – dodał.

– Żegnam pana, ekscelencjo – powiedziałem, wyciągając dłoń.

Patrzył na nią chwilę w milczeniu i podał mi swoją. Była zimna i wypiełgnowana, jakby utoczona z marmuru.

– Nabrał pan pewności siebie – powiedział wreszcie. – To dobrze, cieszę się, że rady, które kiedyś panu dałem, wzięły panu do serca.

– Żegnam, ekscelencjo – powtórzyłem. I dziękuję za wszystko.

– Niech pan nie dziękuje i do zobaczenia

– Nie zobaczymy się już, ekscelencjo. Moje zadanie zostało wykonane. I mimo wszystko, dziękuję.

– A kto to może wiedzieć?

Nie powiedziałem nic. Kiedy wychodziłem, serce zaczęło kołatać jak szubienica na wietrze. Kiedy przebieżałem ulicę Miasta, róża zdawała się ożywać. Wiedziałem, że z każdym krokiem, z każdą chwilą, gdy zbliżałem się do adresu odczytanego na kartce, będzie pięknieć. Dochodziło południe. Drzewa salutowały gałęziami, a ja szedłem aleją jak pod szpalerem. Tak dotarłem do kamienicy, w której na ósmym piętrze znajdowały się drzwi. Otworzył je osoba, której ofiaruję różę. I to będzie kres mojej wędrówki. Ukoronowania twórczości. Tron życia. Berło spokoju. Królewskie jabłko dobrego. I wtedy usłyszałem za sobą głos:

*Zwracam się do was kaptani
nauczyciele sędziowie artyści
szewcy lekarze referenci
i do ciebie mój ojczu
Wysłuchajcie mnie*

Odwrociłem się. Przede mną stał mały nagi chłopiec, ten sam, którego wcześniej widziałem na ławce. W jego oczach paliło się cierpienie, a ja wiedziałem, że powinien trzymać łuk i strzałę.

Wszedłem do klatki schodowej i krętymi schodami, dotarłem na ósme piętro. Zapukałem trzykrotnie. Otworzyła młoda dziewczyna o błękitnych oczach.

– Słucham? Pan do kogo?

– Ja... Przyniosłem różę – powiedziałem niepewnie i wyciągnąłem przed siebie rozkwitłą już zupełnie roślinę.

– Ale... Dla kogo? – spytała

– No, dla pani...

– Dla mnie? – spytała ze zdumieniem – przecież my się nie znamy.

Dochodziła dwunasta. Zza uchylonych drzwi przedzierał się zapach rosołu.

– Nie, nie znamy się. To znaczy, ja panią znam, mam pani adres z kasyna. To ja... To przecież ja.

– Jest pan pewien, że z nikim mnie pan nie pomylił?

– Jestem zupełnie pewien. Przecież pani na mnie czekała. Przez całe życie pani na mnie czekała, a ja... ja pisałem powieść. Powieść o moim pokoleniu. Teraz ją skończyłem. A róża była w kasynie, kasynie, zamknięta, bo ja, proszę pani... Powieść pisałem.

Na plecach czułem te wszystkie napisane strony, ciężar wszystkich liter, łańcuchy wyrazów i zdań. Zaczęła mi się przyglądać, a na jej twarzy rysował się obraz troski.

– Tak, czekałam, ale... Ale, to przecież nie na pana. Nie, nie na pana czekałam. Czy umie pan naprawić szafkę?

– Szafkę?

– Tak, w kuchni zepsuła mi się szafka

– Nie... Widzi pani... Ja jestem pisarzem

– Pisarzem? – powtórzyła... A co to znaczy? Dlaczego pan nie mógł po prostu być? Dlaczego musi pan być akurat pisarzem? Czy samo bycie nie jest już wystarczające? Nie trzeba pisać, żeby dawać szczęście.

– *Oczy tej małej jak dwa błękity.*

– To nazywa pani szczęściem? To nazywa pani wyznaniem? Czy nie rozumie pani, że trzeba zejść bardzo, bardzo nisko, żeby w tej otchłani znaleźć coś i ocalić...

– Nie rozumiem pana. Ocalić, co? Wszystko znajduje się pod ręką. Ptak jest zawsze ptakiem, drzewo drzewem a gniazdo gniazdem. Nie musi być niczym więcej, nie musi odnosić się do czegoś poza sobą. Jest. I to wystarczy, i to jest piękne. Żal mi pana... Pan tak daleko odszedł... Tak daleko, zbyt daleko. Przykro mi, ale nie mogę przyjąć pańskiej róży. To pan jej potrzebuje, bo odsyła pana do czegoś innego. Bo to nie jest kwiat, który znam.

W milczeniu opuściłem głowę.

– Życzę panu... Nie wiem nawet, czego panu życzyć – powiedziała. – Proszę już iść. Obiad mi się przypali.

Schodziłem mijając kolejne piętra. Dookoła wirowały postacie, miejsca. Znałem je wszystkie bardzo dobrze, nie patrzyłem na nie. Wszystko to przypominało program komputerowy, w którym nie może wydarzyć się nic nowego. Minąłem osiem pięter, ale nie znalazłem wyjścia, a schody ciągnęły się jeszcze w dół.

Wiedziałem, że miejsce, w którym byłem przed wejściem tutaj, utraciłem bezpowrotnie, że piekło odosobnienia, ósmy poziom piekła, nie jest mi już pisany. Tam, gdzie szedłem teraz, panował hałas. Milczenie i kontemplacja, bezgraniczna samotność były już poza mną. Szedłem schodami wiodącymi do dziewiątego kręgu, kręgu wrzawy i niegasnących świateł. Kręgu współczesności i kręgu bełkotu.

Na bieleńnianym błękitcie nieba słońce jak zegar złożyło wskazówki promieni, obwieszając południe. Złote kopuły kolumn odkruszyły się już zupełnie i roztrzaskane dogorywały na bruku. W pierwszej chwili myślałem, że wszystkie szlachetne kolory dnia wyparowały lub znikły zupełnie, ale one wciąż jednak pozostawały, choć zupełnie różne, odmienione. Oswojone wsiąknęły w chodzących po ulicy ludzi, w ich ciała, ubrania, sposób poruszania.

W Mieście, niczym pleśń rozrastały się cienie, przykucnięte w zakamarkach, gotowe do dalszej, bezszelestnej ekspansji. Kładły się na parapety, stiuki, kolumny, okna, wysysając z nich życie i cały sens, by później wylegiwać się na ich szkieletach. Korniki hałasu wgryzały się w bębunki, ale już po ich przegryzieniu, hałas nabierał rytmiki techno i akustykę industrialnej hipnozy. Pomyślałem wtedy, że gdyby uszy rzeczywiście miały płatki, musiałyby one teraz wędznąć tak jak płatki niesionej przeze mnie róży. Proces jej powolnego umierania, wysychania i czernienia przypominał śmierć wyciągniętej na łód ryby, której usta pochłaniały truciznę powietrza. Róża, którą trzymałem, nie miała kolców jak jej siostra z *Matego księcia*, nie miała w ogóle ani siostry ani jakiegokolwiek rodziny. Z każdą chwilą miała też coraz mniej mnie, a świat miał coraz mniej czerwonej róży. Trzymałem więc ją najdelikatniej, jak potrafiłem i niosłem w znaną mi przyszłość. W przyszłość, w której nie było już dla niej miejsca.

Idąc przez Miasto widziałem dwie kategorie ludzi: tych, których mijam i tych którzy mijają mnie. Pozostawały wprawdzie jeszcze ludzkie cienie, ale one były anonimowe, nijakie, nieokreślone. Błąkały się jak duchy z punktu do punktu i znikły tak, jak się pojawiły.

Przechodziłem obok kobiety, która nie znała swoich rodziców, ale w domu miała do wykarmienia siedmiu chłopców – prosiła przechodniów o kromkę chleba.

Minąłem bardzo młodą, odurzoną klejem dziewczynę, która mówiła, że nie jest śpiącą królową, że nie czeka na księcia, który by ją wreszcie obudził. W jej oczach migotały perełki łez.

Widziałem posiniaczoną, opartą o mur dziewczynę. Stała w jednym bucie, a w przypalonych papierosami dłoniach trzymała tabliczkę, na której widniał napis:

Nie jestem Kopciuszką. Nigdy nie byłam na balu, nie wiem, czym jest zabawa. Moje siostry codziennie każą mi segregować śmieci. Proszę o pieniądze na jedzenie.

Nie wiedziały, kim są i skąd pochodzą. Gdyby to do nich dotarło, żadna z nich nie mogłaby dłużej tego znieść. Gdy umiera najczystsze wyobrażenie, baśń, ostatnie marzenie, ostatnia iluzja, serce nie pęka. Tylko dłonie bez żalu zawiązują sznur w pętlę.

Nie odezwałem się przy nich ani jednym słowem, a one tonęły w cieniu budynków, w pleśni ślepych ulic. Zacieki pod ich oczami i gryzby na rękach pęczniały, a ja wiedziałem, że nigdy ich już nie zobaczę. Będą jednak inne, do złudzenia podobne do tych, tak samo opuszczone, tak samo bezradne.

Mijający mnie i mijani przeze mnie ludzie przesiąknięci byli barwami Miasta, którym szedłem kiedyś. Jednak po przemianie, jakiej uległy, barwy te stały się dla mnie zupełnie obce i niezrozumiałe.

Kobiety miały ciała wyżłobione przez strumienie, gibkie jak trzcina, ciemne jak szlachetne drewno. Tchnęły świeżością i życiem, a na ich twarzach malował się uśmiech kontrastujący z szarością Miasta. Róż, błękit i biel wyciągały wdzięk tkanin, a kolorowe ozdoby kołysały się i opinały materię ciała. Ściągnięte z nieba gwiazdy układały się dużym wozem magicznej nazwy firmy na pośladkach.

Mężczyźni zaś mieli mięśnie jak masywy górskie, w których szumiały żyły i ścięgna. Ich gładko ogolone głowy przywodziły na myśl posągi antycznych bohaterów, a na ich dresach bogini zwycięstwa lekką kreską sygnowała swą obecność. Na silnych karkach, niczym medale zwisały złote łańcuchy wyrażające przywią-

zanie do życia. Na twarzach nie było ani jednej zmarszczki wyrażającej wątpliwość lub słabość. Krocząc od sukcesu do sukcesu, nie znali smaku porażki, goryczy czy smutku.

Kiedy ponownie stanąłem przed kasynem, znowu dostrzegłem koło siebie małego chłopca ze złotym puklem włosów spływającym na czoło. Błękit jego oczu zerkał spod przymkniętych smutkiem powiek. Miałem zamiar zapytać go, kim jest, ale przecież było to tylko kolejne pytanie retoryczne.

– *Nie jestem młody* – powiedział – *niech was smukłość mego ciała nie zwodzi, ani tkliwa biel szyi, ani jasność otwartego czoła, ani puch nad słodką wargą, ni śmiech cherubiński, ni krok elastyczny.*

Patrzyłem na niego w milczeniu. Nie można nigdy spojrzeć komuś głęboko w oczy, jeśli nie spojrzysz się w jedno z nich. Wtedy dopiero głębia jaźni, ukryta pod tęczęwką, okazuje całą prawdę o osobie, objawia tajemnicę, której tak pilnie strzegą powieki.

Nie mogąc odwrócić spojrzenia balansowałem między źrenicami chłopca, wiedząc, że pod prawą powieką kryje się oko cyklonu, pod lewą zaś głębia studni tak bezkresnej, że można było w niej zatonać. I nawet gdyby cherubinek zapłakał, a wraz ze łzą udałoby mi się wypłynąć, to podobnie jak po wypiciu wody z Zatrutej studni, straciłbym pamięć na zawsze.

Błądziłem więc wzrokiem po jego twarzy, ale poza ustami była ona zupełnie nieruchoma, jakby utoczona z martwego alabastru.

– *Nie jestem młody, niech was moja niewinność nie wzrusza, ani moja czystość, ani moja słabość, kruchość i prostota. Mam lat dwadzieścia, jestem mordercą, jestem narzędziem, tak ślepym jak miecz w dłoni kata.*

– Muszę tam wejść – powiedziałem do siebie, muszę tam wreszcie wejść, czas to zakończyć.

W kasynie nie było już śladu po bankiecie. Nawet okruszek czy plama nie protestowały przeciwko wymazaniu wcześniejszych wydarzeń. Sala zdążyła odzyskać swój naturalny charakter półsennego smoka. W powietrzu znowu unosił się zapach potu, perfum i adrenaliny z lubością wchłaniany przez pory ścian.

– Prowadź do ekscelencji – niemal krzyknąłem na stojącego pod ścianą człowieka z obsługi kasyna, jednak mój głos nie wywarł na nim oczekiwanego efektu.

– Nie mógłbym zaprowadzić Pana nigdzie, gdyby ekscelencja sam wcześniej nie wyraził takiej chęci – odpowiedział i podprowadził mnie do gabinetu.

– Witam pana ponownie – rzekł ekscelencja, gdy tylko przekroczyłem próg jego pokoju. – Więc jednak znów się spotykamy.

Choć wciąż na ścianie wisało płótno Tycjana, gabinet uległ przemianie. Skórzane obicia mebli przejęła we władanie ciemna wiśnia, błyszcząc jak mokry grzbiet zwierzęcia. Na środku stał bilardowy stół, nad którym nachylała się żarówka obudowana piramidальnym żyrandolem. Emanowała światło jak na scenę, choć cała sceneria przypominała bardziej stół operacyjny.

– Zagra pan?

Stał w pozie, która mogłaby uchodzić za wystudiowaną, jednak on nigdy niczego nie udawał i nie odgrywał komedii innej niż życie.

– Zagra pan? – zapytał powtórnie, wskazując na zawieszony na ścianie kij.

– Kto rozbija? – spytałem, dostrzegając, że wszystkie bile zostały już rozstawione, że spektakl właściwie już się rozpoczął, że nie mam żadnego innego wyjścia niż to, które zostało ustalone.

– Nigdy tak nie jest, – odezwał się ponownie – zawsze jest wybór, alternatywa, czasem wyjść jest bardzo wiele, ale dla osób takich jak pan, to zawsze jest nieubłagane albo-albo.

– To prawda – odpowiedziałem – więc kto rozbija?

– Ma mi pan za złe? – wyminął.

– Co miałbym mieć panu za złe, ekscelencjo?

– Czy ma mi pan za złe?

– Nie, pan to wiedział, a ja miałem takie przeczucie. Może nie do końca właśnie takie, być może nawet było to przeczucie przeczucia. Nieważne. Pan wie wszystko, prawda?

Uśmiechnął się, gdyż ostatnie moje słowa wypowiedziane zostały w rozdrażnieniu, z ironią, może z gniewem. Nie obchodziło mnie już to wszystko, jedyne, czego pragnąłem w tej chwili to to, żeby wreszcie wszystko skończyć i wydostać się stąd. Z miejsca, do którego nie przyszedłem, z miejsca, z którego wychodziłem, które było mną, we mnie, ze mną...

– Już niedługo – odparł ekscelencja opierając się o kant stołu. Chyba, że chce pan tutaj zostać.

– Jako jedna z pańskich mumii?

– Jako kierownik kasyna?

Buchnęliśmy śmiechem, po raz pierwszy szczerym i naturalnym. Po raz pierwszy to ekscelencja zażartował. Zażartował też po raz jedyne. Nigdy nie zostałem jego niewolnikiem, a on nigdy by się na to nie zgodził. Pisarz złamany czy pobity nie nadawał się do odgrywania roli innej niż rola złamanego czy pobitego pisarza.

– Więc kto rozbija? – spytał ekscelencja

Ściągnąłem kij i podszedłem do stołu. Nachyliłem się i uderzyłem w białą bilę, a ta wystrzeliła do przodu, z impetem rozbijając ustawione na stole siostry. Drgnęły w nagłym przerażeniu, a potem leniwiej zatrzymywały się na zielonym suknie, oniemiały i obojętne, a może sparaliżowane poczuciem szczęścia, że nie nadszedł ich czas zanurzenia się w ciemnej czeluści otworu. Tylko jedna z nich, czarna i okrągła jak żrenica, rzucając mi porozumiewawcze, albo może szydercze spojrzenie pożegnania, znikła obwieszając głuchym stukotem przekroczenie ostatecznej granicy, bramy czarnej dziury, z którą już odtąd stanowić będzie pierwotną i ostateczną jedność.

– Przegrał pan – skwitował ekscelencja, choć na jego bladej delikatnej twarzy nie było triumfu.

– Nie jestem o tym do końca przekonany – rzekłem. – Ona nadal jest przy mnie – dodałem i wskazałem na kwiat, który zdążył już szernieć i wyschnąć

– Może pan zostawić ją tutaj, w wazonie, za panem.

Odwróciłem się. Na niewielkim, okrągłym stole stał wazon z kwiatami lotosu.

– A więc to tutaj się je zostawia? – zapytałem. To jest to miejsce, gdzie z czasem upodabniają się do tych tutaj, też... stają się...?

– Nie – przerwał ekscelencja, pan już trzyma czarny lotos, panie pisarzu. Proszę go tu zostawić.

– Zostawić? Zostawić... Nie, – zdecydowałem w końcu – dziękuję panu raz jeszcze, ekscelencjo, za wszystko i do zobaczenia.

– Żegnam panie pisarzu, nie spotkamy się już – odparł ekscelencja i wyprostował się.

– A kto to może wiedzieć? – zapytałem i podałem mu rękę.

Uściskał ją i lekko potrząsnął.

– Pan wie, że... – zaczął.

– Wiem – odpowiedziałem

– *Okaleczony nie widziałem* – powiedział chłopiec o pulchnej buzi, gdy wszedłem w zaułek nazywany współczesnością.

– *Ani nieba ani róży* – odparłem, a wtedy on wyciągnął do mnie rączkę. Zacząłem mówić głosem, jakim małym dzieciom starsi czytają bajki:

– *ptaka, gniazda, drzewa, świętego Franciszka, Achillesa i Hektora*

Obróciłem się do niego przodem i przyklęknałem tak, aby nasze twarze spotkały się na tej samej wysokości.

– *Nie wierzę w przemianę wody w wino* – powiedziałem i pogłaskałem go po runie jego włosów.

– *Nie wierzę w grzechów odpuszczenie* – dodałem i chwyciłem go za drugą rękę.

– *Nie wierzę w ciała zmartwychwstanie* – wyszeptalem, całując go w czoło.

Chłpiec pokiwał głową i popatrzył na mnie wzrokiem, jakby już się nie gniewał. Odwrócił się na pięcie i pobiegł tam, gdzie nie będę mógł go dogonić. Nie miał skrzydeł i łuku, a ja nie miałem czerwonej róży.

Popatrzyłem więc jeszcze raz na swój kwiat, który teraz był lotosem i schowałem go do butonierki.

Niebo skrywały gęste góry chmur z rzadka przestrzeliwane przez promienie słoneczne. Ale ja wiedziałem, że jeżeli tylko będę szedł ścieżką słonecznego promienia, dojdę do słońca, nie będącego podobnym do tarczy, bryły złota, kaszkietu. Do słońca innego niż to, które potrafiłem do czegoś porównać.

Kto to może wiedzieć – ekscelencjo – powiedziałem do siebie i przyklepałem leżący w butonierce czarny lotos.

Czarny lotos Przemysława Grzesińskiego to kolejne opowiadanie z cyklu zatytułowanego „Brama”, który publikujemy od 2010 roku. Każde z nich może być odczytane odrębnie jako samodzielny tekst, jednak dopiero lektura całości ukazuje prawdziwe intencje autora. *Brama* jest bowiem rodzajem obrachunku pokolenia urodzonego w latach osiemdziesiątych z przeszłością i teraźniejszością. Kreowany przez autora bohater to wnuk pokolenia Kolumbów, o których Tadeusz Różewicz mówił jako o „ocalonych”, „prowadzonych na rzeź”, „krzyczących w nocy”. To pokrewieństwo dotyczy nie tylko świadomego wykorzystania motywów i obrazów z pierwszego powojennego tomiku poety *Niepokój* (otwiera go wiersz *Róża*), ale jest przede wszystkim podjęciem próby wypowiedzi w imieniu generacji młodych spustoszonych wewnątrz przez swoje czasy. Okazuje się bowiem, że nie tylko koszmar wojny może stać się przyczyną zachwiania wszelkich wartości, lecz pozornie bezpieczny dla nich czas pokoju. Zdawać by się mogło, że pokolenie, które czas wojennej Apokalipsy zna jedynie z podręczników historii, nie powinno mieć trudności w odróżnianiu prawdy od kłamstwa, miłości od nienawiści – bowiem powtórne oddzielenie światła od ciemności zostało już dokonane, przywrócone. Co zatem się stało, że transmisja spuścizny wartości i dorobku kulturowego została zachwiana? Jaki popełniono błąd, że młode pokolenie nie chce, nie może, czy nie potrafi ich przyjąć?

Autor *Bramy* nie daje odpowiedzi na te pytania. Głos jego bohaterów to głos tych młodych, których oskarża się o sprzeniewierzenie się odwiecznym prawom, o nieznamość historii i tradycji, młodych nastawionych konsumpcyjnie do świata, wyzutych z wszelkich zasad, nieodczuwających żadnych więzi z minionym, dla nich już archaicznym i niezrozumiałym czasem. I zarazem to głos tych „ocalonych” z pożogi upadku wartości, którzy jednak nie potrafią odnaleźć swojego miejsca wśród rówieśników wyznających z rozbrajającą szczerością: „Mam dwadzieścia cztery lata i... jestem, jaki jestem”.

Jezus i ja

1.

Niedługo po wydaniu własnym sumptem mojej debiutanckiej książki *Księstwo. Księga druga* (późniejsza *Niech żyje wolność*) w 2005 roku znalazłem się na prawdziwym życiowym zakręcie. 27 lat, zawalone dwa kierunki studiów (prawo i polonistyka), brak pracy, pieniędzy (w dodatku duże zadłużenie), rozstałem się z dziewczyną, straciłem matkę, a ojciec był pogrążony w coraz większym pijaństwie. Dostałem wyrok za handel podrabianymi kartami telefonicznymi i znaczną grzywnę do zapłacenia – w innym wypadku czekała mnie odsiadka. Nie miałem nawet domu, bo nie chciałem być ciągle świadkiem pijackich burd. Wydałem książkę, która w pewnym stopniu była moim sukcesem, bo w Górach Świętokrzyskich słyszeli o niej chyba wszyscy, w Polsce też było głośno (recenzje w „Przekroju”, „Akcencie”, „Twórczości”, „Toposie”, „Odrze”, sporo wywiadów w gazetach). W trakcie produkcji miałem swój pierwszy ważny film *Stacja Mirsk*, którego z braku pieniędzy nie mogłem skończyć. To wszystko. Taki podobno zdolny był ze mnie chłopak, a tutaj nic. Wszystko zawałiłem. Kto był winien tych wszystkich klęsk? Nie miałem wątpliwości - literatura. Zaufałem jej bezwzględnie, a ona tak mnie wykpiła. Straciłem prawie wszystko, nie miałem swego miejsca, kompletnie nie wiedziałem, co z sobą począć.

Wsiadłem do pociągu z Kielc do Wrocławia. Miałem dość całej tej afery z wydaniem książki – w Górach Świętokrzyskich aż huczało. Uważano (z wyjątkami), że skałałem rodzinne gniazdo. I w sumie – była to racja. Wójt był wściekły, nasyłał na mnie policję. Nie mogłem pojawiać się w rodzinnych stronach, bo wszyscy się mnie czepiali. Kiedyś idę o 22.00 przez wieś, a wtedy zapaliła się jedyna lampa i mnie oświetliła. Drogę zastępują mi dwaj koledzy opisani w *Niech żyją wolność*, Szefo i Suchy. I pytają: „Ej, ty, masz jeszcze tę książkę?”. I niepewność: będzie mordobicie czy autograf? Na szczęście chcieli kupić książkę, żeby przeczytać, co o nich napisałem. Zastanawiałem się, po co mi to wszystko było? Cała ta literatura? Przez nią wszystko straciłem. W wieku 27 lat niektórzy wstępowali do „klubu 27” – odbierali sobie życie albo umierali, znudzeni życiem i sukcesami. A ja? Nie mógłbym wstąpić do tego klubu, bo nie miałem z czym. No bo gdzie mi było do Kurta Cobaina czy Jimiego Hendrixa? Niczego godnego uwagi nie osiągnąłem. Pomyślałem jednak, że co skoro powiedziałem „A”, to trzeba powiedzieć „B”. Wyciągnąłem notes i długopis. Droga z Kielc do Wrocławia trwa jakieś 5 godzin, więc jest czas, żeby robić notatki. Próbuje zrobić notatki z ostatnich wydarzeń, a tymczasem jedyny mój długopis przestaje pisać. Szukam ołówka – złamany. W pociągu pustka, bo środek tygodnia, nie ma od kogo pożyczyć czegoś do pisania. Za późno, żeby biec do kiosku, bo pociąg za chwilę rusza, no i te toboły, nie chciało mi się ich taszczyć. Pomyślałem: oto odpowiedź. Mam sobie dać spokój z pisaniem. Szukam odpowiedzi i znalazłem. Koniec z tym. Pora wyrosnąć z tego jak z kolejnego niespełnionego marzenia. Jeszcze jestem młody i mogę zmienić swoje życie. Mogę zostać handlowcem. Menedżerem piłkarskim. Może trenerem? A może jakiś sklep otworzyć? Warzywniak?

I wtedy otworzyły się drzwi do przedziału. Stał w nich około 33-letni mężczyzna, szczupły, średniego wzrostu, o pociągłej twarzy, z długimi prostymi ciemnymi włosami, krótką bródką i parodniowym zaro-

stem. Uśmiechnął się i położył długopis na moim notesie. Wyszedł z przedziału. Pierwsza myśl: „Przyszedł Jezus i dał mi długopis”. Zatem to jest odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Mam pisać! Potem pomyślałem, że to chyba jednak niemożliwe. No bo jakże to, Jezus przyszedł do mnie? Po chwili ten tajemniczy facet wrócił. Okazało się, że to głuchoniemy, który sprzedaje długopisy, żeby sobie dorobić do swej renty inwalidzkiej. Chciał za długopis 4 złote. Dałem mu ostatnią dychę, tak byłem uszczęśliwiony. Bo mimo wszystko uznałem to za znak, chociaż ktoś inny może to uznać za wariactwo. Jeżeli Bóg czy inne siły istnieją, to jak miałyby mi dać odpowiedź na moje pytanie? Chór Aniołów miałyby zaśpiewać: „Zbychu, pisz dalej?” Nie, to byłby taki właśnie wysłannik, który zapewne nie zdawał sobie sprawy z roli, jaką w tej chwili odgrywa. Umacnia pisarza w przekonaniu, że ma pisać.

2.

W maju 2010 roku (trwała kampania wyborcza po katastrofie smoleńskiej) złamałem swoją zasadę, by nie angażować się w polityczne przepychanki i wydałem książkę bardzo politycznie aktualną – nowelę filmową *Jezus na prezydenta!*. Opowiada o tym, że w Polsce pojawia się Jezus i startuje w wyborach prezydenckich. Jezus przybywa jako żebrak na Dworzec Centralny, potem trafia do aresztu. Chce kandydować na prezydenta Polski, bo założył się o to z szatanem (bardziej został do tego przez swego oponenta zmuszony). Skoro Polska to taki katolicki kraj, to niech Jezus udowodni, że wygra wybory. W jego kampanię wyborczą inwestuje polska mafia. W trakcie kampanii Jezus głosi tylko hasła, które znamy z Biblii. Zapytany o program wyborczy przez kontrkandydata, notabene polityka centroprawicowego, Mariana Świątlistego, odpowiada: „Wiara, Nadzieja, Miłość”. Jak zachowują się ci, którzy de facto powinni na niego głosować, a więc ludzie wierzący? Rozgłośnia Radio Maryja nazywa go oszustem, w najgorszym razie wariatem. I zakazuje głosowania na Jezusa. Podobnie reagują zbliżone kręgi. Zachowują się jak faryzeusze dwa tysiące lat temu: słowa tego, na którego czekają, nie trafiają do nich. Jezus ostatecznie wygrywa wybory, bo głosują na niego prości ludzie, którzy widzą w nim anarchistrę, luzaka i swojego chłopca. Ale też – prawdziwego Mesjasza. Niestety, wychodzi na jaw, że pieniądze na kampanię były nielegalne i Jezus trafia do aresztu, tam zostaje ukrzyżowany przez naślanych zbiorów.

Wydałem tę książkę i wybuchł prawdziwy skandal. W krótkim czasie ukazało się mnóstwo omówień, zwłaszcza w prasie prawicowej. Prawie wszystkie złe albo bardzo złe. Jeden z recenzentów, bodajże w „Gósciu Niedzielnym”, napisał, że to nie książka, a produkt książkopodobny. W pewnym sensie miał rację – była to nowela filmowa, a nie proza sensu stricto, rzecz bardziej z zakresu filmu niż literatury. Recenzenci wykazali przy tym spore niedouczenie w tej kwestii – zarzucili mi na przykład ubogość języka. A przecież w scenariuszu nie możemy napisać: „Uśmiecha się, odsłaniając perlistobiałe zęby”, piszemy jak najprościej: „Uśmiecha się”. Nadmiar środków literackich w scenariuszu jest błędem i to powinien wiedzieć każdy krytyk, nawet prawicowy.

Zmartwiło mnie tylko, że te emocjonalne zarzuty kierowali do mnie nie prości ludzie, „moherowe babacie”, ale ludzie, zdawać by się mogło, wykształceni, odcytani. Intelktualiści. Jak tylko wszedłem na ich podwórko, od razu obrzucili mnie fekaliami, nie dając nawet szansy na wyjaśnienie mojej postawy. O rozmowie nie mogło być mowy. Doszło do tego, że gdy miałem promocję książki w jednej z bibliotek na Mazurach, ludzie tak się zbulwersowali, iż dyrektorka biblioteki musiała mnie wyprowadzić bocznym wejściem, żebym uniknął pobicia. A ja przecież tylko usiłowałem odpowiedzieć w mojej książce na pytanie – co by było, gdyby Jezus przyszedł naprawdę? Przecież obiecał, że Paruzja (Drugie Przyjście) się dokona. Niekoniecznie w Izraelu. Może właśnie nad Wisłą? Jak by na to zareagowali ci, którzy codziennie biją pianę na ten temat, chcą nawet koronować Jezusa Królem Polski? Moja nowela nie była wymierzona w Jezusa – miała tylko charakter antyklerykalny. Bo w siłę kosmiczną, którą możemy nazwać Bogiem, Jezusem, Allahem albo Manitou wierzę – w kapłanów już nie. Zbyt dobrze znam historię, w szczególności w historię

religii, żeby ufać szamanom. Wydając książkę, chciałem sprowokować dyskusję dotyczącą rzeczywistego stanu polskiej religijności (pamiętajmy, że 93 % Polaków deklaruje katolicyzm), nie szydziłem z Jezusa. Po niezbyt merytorycznych reakcjach odniosłem wrażenie, że ta wiara, jeżeli rzeczywiście istnieje, jest strasznie powierzchowna, oparta na kilku sloganach wyniesionych z domu i lekcji religii. Nawet wśród krytyków literackich. W mojej obronie stanęło tylko „NIE”, które porównało książkę do *Mistrza i Małgorzaty*.



Romea i Julki

tragedia prawdziwa

Jedną z ulubionych form scenicznych, lansowaną od zarania istnienia kabaretu, były parodie znanych dzieł literackich. Parodia w pewien sposób nobilituje publiczność, bowiem zakłada, że widz przynajmniej pobieżnie zna treść dzieła, którego karykaturalną wersję prezentuje kabaret. Jeremi Przybora napisał prześmiewczą wersję *Hamleta* w roku 1956, a ja zachwyciłam się nią w roku 1969, gdyż wówczas obsadzona zostałam w roli Maci-królowej w szkolnym spektaklu kabaretowym. Dużo później, bo dopiero w roku 2011 zdecydowałam się na napisanie własnej prześmiewczej wersji szekspirowskiego dramatu *Romeo i Julia*. A oto treść tego dramatu pokazana w krzywym zwierciadle mojej wyobraźni.

Autorka:

„Słuchajcie ludziska, niechaj nikt nie ziewa,
oto jest tragedia Julki i Romea!”
(*Uderzenie w gong. Na scenę wchodzi Romeo.*)

Romeo:

Julia Capuletti – całkiem niezła laska!
Lecz cóż – nasze rody od lat tkwią w niesnaskach.
A chciałbym ja kiedyś takiej chwili dożyć,
by z tą Capuletti ciut pocudzołżyć...
Lecz któż to tu zmierza? Markucjo, mój druhu!

Markucjo:

Romeo, dlaczego zażywasz dziś ruchu
u wrót Capulettich, odwiecznego wroga?
O, widzę twarz twoją ścięta jakaś trwoga...

Romeo:

Nie trwoga, Markucjo, wyznam ci kolego -
z Julką Capuletti mam chęć na... ten-tego...

Markucjo:

Romeo, odpowiedz patrząc mi wprost w oczy:
jest sens w tej kałuży swego kija moczyć?
Wszak ci Capuletti to dranie i dziady,
warchoły, szantrapy, żłoby bez ogłady
Chcesz łamać niezłomne nasze obyczaje?
Na widok dziewcz innych jakoś ci nie staje
dość chęci, by z nimi wywijać kadryle?

Romeo:

Cóż mi inne dziewczki, Julki chcę – i tyle!
Julka – rączki w mańdryk, dziób w ciup, gładkie
liczko...

Markucjo:

Ale tej hałustry jest też zawodniczką!
Przecież z Rosalindą jesteście po słowie
– zacną, piękną, dobrą, mądrą – co się zowie!
A ta Julka przecież trochę zezowata,
a jej matka, ojciec...

Romeo:
...otóż Julki tata,
jej papcio, Markucjo, dzisiaj bal wydaje,
na który w tej oto masce się udaję
a w moim umyśle myśl mi oto błyska
aby cudną Julkę poznać lepiej z bliska!
Więc zmierzaj, mój druhu, w odwrotnym kierunku
bez rad twych mam ja i tak dosyć frasunku.

(*Markucjo wychodzi*).

Romeo:
O, gwiazdy! Świećcie jak piegi na nosku
uroczej Julietty. Mógłbym dziś po włosku
wyśpiewać co czuję ja do tej kobiety!
Cóż, brak mi talentu, cholera, niestety...
Lecz jeśli sprawicie cud, szlachetne bogi,
to dziś pieśń spod serca cisnę jej pod nogi!
A jeśli uznacie, że Julka niewarta
jest moich zalotów, to pójdę do czarta,
to zstąpię do piekieł! Tam talentu krzynekę
wybągam, bo muszę zdobyć te dziewczynkę!
Oj, czuję, że z gardłem moim coś się dzieje...
Jak pragnę zakwitnąć – ja śpiewam! Ja pieję!

(*Tu leci z playbacku włoska aria, Romeo odwrócony tyłem do widzów „śpiewa” ją, tzn. wykonuje gesty adekwatne do linii melodycznej. Gdy kończy*):

Romeo:
A otóż i ona – westchnień moich pani!
Dobrze, żem ciut wcięty – na leciutkiej bani.
(*Wchodzi Julia tanecznym krokiem, podśpiewując piosenkę Drupiego na la, la, la*)
Julietto, stój piękna, azaliż pozwolił
na zbytki i ze mną ciutkę poswawolisz?

Julia:
Poczekaj młodzieńcze na uboczu troszkę
bo muszę poprawić opadłą pończoszkę.
Tańczyłam moc tańców z młodzieńców watahą,
lecz widzę, że tyś jest smakowitsze ciacho,
więc tańczyć chcę z tobą tango i kadryla.
O, jakże urocą jest ta właśnie chwila!

(*Romeo i Julka tańczą tango i kadryla do melodii Drupiego*)

Romeo:
Mogę z tobą co dzień chadzać na balety,
lecz dziś potrzebuję ciut większej podniety,
więc pozwól ust pakiem musnąć twoje liczko,
– ech, ty turkaweczko, sikorko, perliczko!
Dla ciebie jam gotów znieść wszelkie katusze,
lecz (*tu kicha głośno*) sorrki, mam katar i nos wy-
trzeć muszę. (*Wyciera nos*)
Widzisz, Julka, jakim na cię napalony?
Tańczę, chociaż ciurkiem spływa mi pot słony
poczawszy od karku wzdłuż po kręgosłupie
a kończy on bieg swój o tu, tu (*bierze Julię za rękę*)
na...

Julia (*rozanielona*):
Jakże zwą cię piękny młodzieńcze nieznanu
w sexi czarną maskę hecnie przyodziany?

Romeo :
Julietto, przekłęci będziemy na wieki...

Julia:
Mów – ktoś ty!

Romeo:
O, Julio... Romeo Monteki!

Julia:
Monteki?! Wszak wszyscy Monteki to dranie,
ladaca, szantrapy, psubraty! Mój panie,
czy ja dobrze słyszę? O, ja nieszczęśliwa!
Trzym mnie, bo na głębę runę jak nieżywa!

Romeo:
O, czymże jest imię? Kwiaty zwane różą
i pod inną nazwą zapachem odorują,
a ja, nim tę nockę brzask zgasi skowronkiem
stanę się dla ciebie najzwyczajszym Romkiem
i powiem ci jeszcze – nadstaw, miła, uszko –
– mogę być dla ciebie jaszczurką, ropuszką,
czymkolwiek, boś piękna, jak anioł na niebie!

Julia:
O kurde, młodzieńcze, mam ja wyjść za ciebie?

Romeo:
No... dobrze, lecz z ciebie przecież małolata!

Julia:
A co tam, to pestka, lecz co powie tata,
gdy dowie się wreszcie, że w nasz ród na wieki
wdał się w randze zięcia przeklęty Monteki?...
Hm..., pomysł mam zacny, o mój ukochany:
postawmy go wobec faktów dokonanych
i ślub bierzmy szybki – trzask-prask i tralala!

Romeo:
Dziewczyno, dziewczyno, twój spryt mnie zniewala,
lecz któż stułą zwiąże me z twymi rączętą?

Julia:
Znam ja zakonnika, który mnie pamięta
dziecięciem, bo ochrzcił mnie kiedyś, niebogę,
więc dalej, Romeo, ruszajmy już w drogę!

(R. i J. ruszają w drogę w takt melodii Drupiego).

Romeo i Julka:
Stuk puk, stuk puk!!!

Ojciec Laury:
Kto tam?

Julia:
To ja, ojciec, Julka!

Laury:
Z karczmy „Pod Prosiakiem” przysłana damulka?
Dziś nie mam ochoty na twoje masaże,
więc wracaj, skądś przyszła, ja ci drogę wskażę!

Julia:
Ojciec, czyś ty głuchy? Jam nie masażystka!

Laury:
Co? Nie masz na sobie figowego listka?!
Kysz, nieczysta duszo, kysz, zjawo ułudna!

Julia:
Ojciec, jam Julietta, niewinna i cudna!

Laury:
Julia Capuletti? Sorrki, kiepsko słyszę,
ale czemu mącisz mą nabożną ciszę?

Julia:
Wybacz-że mi, ojciec. Oto mój wybranek,
dajże ślub nam szybki, nim nadejdzie ranek.

Laury:
No dobrze, ślub szybki wam, dzieciaki, daję
(daje im ślub trzask-prask tralala)
i dalej nabożnym modłom się oddaję,
lecz spytać kim mąż twój chyba mi wypada?...

Romeo:
Romeo Monteki.

Laury:
O, biada mi, biada!
Wieści wam przekazać muszę ja ponure...
Tyś to Tybaldowi wykarbował skórę,
za co cię nasz książę, co jest nam jak tata,
skazał na banicję na całe trzy lata,
więc uchodź, młodzieńcze, gdy ci życie miłe!

Romeo:
Julietkę opuścić mam-że ja mieć siłę?
Nigdy, pierwej spocznę w zimnym, ciemnym grobie!

Julia:
Chcę z tobą figlować, nie płakać po tobie,
więc uchodź, Romeo! My coś wymyślimy
i co dalej – wkrótce cię powiadomimy.
(Romeo wybiega)

Laury:
Julietto, twój ojciec był dziś u mnie rankiem,
on chce uszczęśliwić cię innym wybrankiem...

Julia:
O, ojciec Laury, zaliż chciałby tata,
by się bigamistką stała małolata?

Romkowi oddałam i ciało i duszę,
lecz któż chęć ma na mnie – dowiedzieć się muszę...

Laurenty:

To Parys – młodzieniec mądry i przystojny,
nieskory burd wszczynać ni nijakiej wojny...

Julia:

Dobrze, więc odmowę przyjmie z godną miną,
a ty mu nagadaj, że mam mieć bambino,
czy coś tam...

Laurenty:

Czyż zasad dziś już żadnych nie ma??!

Julia:

Daj spokój, Laurenty, bambino – to ściema.
Ty ziół znasz bez liku, więc sporządź miksturę,
po której rodzice moi stracą córę
na godzin czterdzieści. A gdy zmartwychwstanę,
to mi wszystko ujdzie i wówczas zostanę
żoną prawowitą! Oto dla cię kiesa!
Ja puszczam Romkowi zatem esemsa!
(*W kierunku publiczności*):
Wu Szekspir tragedię naszą miałby z głowy
gdyby znano wówczas gadzet komórkowy!

(Julka chichocząc puszcza sms Romkowi, ale po kilku kliknięciach wybiera numer na komórce, rzuca sakiewkę Ojcu Laurentemu, który łapie ją w locie, i papie do słuchawki: Ty, Romek, załatwione, postuchaj itp... Ojciec Laurenty wysypuje zawartość sakiewki na dłoń i przelicza, kierując się za kulis, również za kulis wychodzi Julia. Scena pustoszeje, zza kulis dochodzi melodia Drupiego. Na jej tle):

EPILOG

Autorka:

Hepiendem trąci historia ta znana...
Azaliż – hepiend? O, nie proszę pana!
Z historii tej płyną dość gorzkie nauki,
które chce przedłożyć wam autorka sztuki.

Spytacie – czyż Szekspir to była kobitka?
Tak mówią. I ponoć nieładna – ciut brzydka.
Lecz nie Szekspir w sztuce tej na pierwszym planie,
lecz dwoje kochanków, panowie i panie!

W Weronie jest balkon Romea i Julki –
firaneczki w oknach, kwitnące prymulki.
Lecz zajrzyjmy w okna te za lat trzydzieści...
Słyszycie? Cholera, w pale się nie mieści!
(*Zza kulis dochodzą odgłosy tłuczonego szkła.*)
Wybaczcie, ciut szorstką jest ich nowo-mowa;
Panowie i panie – scena balkonowa!
(*Autorka wychodzi.*)

Julia (*wbiega na scenę w papilotach i szlafroku*):
Romek, w policyjne zajrzyj kartoteki,
co drugie przestępstwo to sprawka Montekich!

Romeo (*wchodzi z butelką po winie w ręce*):
A ty, Julka, zerknij czasem w jakieś lustro-
-wierny portret „mamci”! (Stukilowe „bóstwo”...)
Włosów nie rwij z głowy, bo staniesz się łysa!

Julia:

O, czemuż nie wysłałam kiedyś za Parysa,
Parysa, co kochał i wielbił mnie szczerze?!

Romeo:

Wynocha z chałupy! Daję trzy pacierze,
abyś spakowała swoje fatałachy
i – *adieu!* (On kochał... Ech, ubaw po pachy!)
Co mnie siekło żem się ochajtał z tą pindą?!
Miałem się ożenić przecież z Rosalindą...

Julia:

Cooo?! Z tą , co swe wdzięki na lewo i prawo
rozdaje pół darmo? Brawo, Romciu, brawo!

Romeo:

Nie grzech grzeszyć gdy ma się czym mężczyzną
nęcić
– widać ma wciąż sprawny damski instrumencik,
a nie to z tobą: „Tu strzyka, tam boli,
dzisiaj nie, przyjdź jutro...”

Julia:
...Powoli, powoli,
czemuż mnie obarczasz za to wszystko winą?
I czemuż spać chadzasz z pełną butelczyną
po wypiciu której już cię nic nie rusza,
bo trafiasz w objęcia bożka Morfeusza!

Romeo:
Basta, basta! Pakuj, Julka, swoje ciuchy!
Finito! Bo wyjmę noża z za pazuchy!

(Romeo goni Julię z nożem, oboje znikają za kulisami.)

Autorka:
I tak się napawa małżeńskich scen chwilą
podpity Romeo z kłótliwą Julią.
O ich dniu codziennym nikt pieśni nie śpiewa
I TO JEST TRAGEDIA JULKI I ROMEA.

Wzajemnych ich wyzwisk więcej nie wymienię...
Kończę hamletowsko – reszta jest milczeniem...

(Autorka kłania się, ale nie schodzi ze sceny. Na scenę wchodzi Romeo, Julka, Markucjo, Laurenty i śpiewają na melodię autorstwa Drupiego):

Nie zawsze tak się kończy *love story*, która łączy
gorące nierozważne serca dwa,
gdy miłość w nich się żarzy, to czasem się przydarzy
że cud *bambino* w darze Bóg im da.

A potem to ich sprawa jak płynie im zabawa
którą niektórzy *matrymonium* zwa,
wszak życie – nie *canzona*, lecz on jest i jest ona,
więc dobrze, gdy on kocha właśnie ją.

Ref.:
Nie drzyj dzioba na Romea, Julio miła,
nawet kiedy między wami złość się skrzy,
i ty Romku odpuść złość swą – cóż, tak bywa,
machnij ręką zamiast z trzaskiem wyjść za drzwi.
x 2 refren

2. Rozgrzeszmy panią Krysię, gdy jej Romeo śni się
choć ślubny mąż na imię Zdzicho ma
i sprawił jej komórkę, a także syna, córkę,
w kominku pali i sam rąbie drwa.
Rozgrzeszmy także Zdzisia, gdy w jego snach
ta Krysia

urocze, cudne imię Julia ma,
nie on tu jest ladaco, tu winny jest *ragazzo*,
co świat go pod nazwiskiem Szekspir zna!

Ref:
Nie drzyj dzioba na swą Krysię panie Zdzisiu,
choć cudna Julia nocą ci się śni,
także ty, kłótliva, wredna żono Krysiu
w Zdzisia uszko szepnij czule: „*Bel ami...*” .
x 2 refren

22 listopada 2012



Katarzyna Krysińska

Świat Sybiru w lubuskiej pamięci

(na podstawie wspomnień zatytułowanych *Sybirackie losy*)

Sfotografowany ma odcienie szarości. Gdyby przedstawić go na tkaninie, byłaby ona z pewnością szorstka i chropowata. Jego dźwięki to męczący stukot kół wagonu i głucha cisza bezsilności. Smak głodu, zapach upokorzenia, dotyk zimna.

Sybir – ponura przeszłość represji, katorgi, prześladowań, zniewolenia, martyrologii. Synonim roz-

ległej krainy ucisku i cierpienia, położonej między Uralem na zachodzie a Oceanem Spokojnym na wschodzie, rozciągającej się od Oceanu Arktycznego na północy aż po stepy Kazachstanu i Mongolii na południu. Do tego świata prowadzi szlak bezimiennych krzyży, usłany ciałami niewinnych ludzi! „Nieludzka ziemia”, „dom niewoli”, „ziemia przekle-

1 Por. słowa z hymnu Sybiraków: „Mogiłami i bezimiennymi krzyżami znaczyliśmy polski trakt”, [w:] *Sybirackie losy. Wspomnienia osób deportowanych do ZSRR*, red. R. Łuczkiwicz et cons., Zielona Góra 2007, zeszyt 3., s. 44.

Cytowane w tym artykule fragmenty książki opatrywać będą następującymi skrótami zapisywanymi w nawiasach wraz z numerem strony, z której pochodzi cytat: *SL – 1 Sybirackie losy. Wspomnienia osób deportowanych do ZSRR*, red. R. Łuczkiwicz et cons.,

ta", „ziemia milczenia i grozy", „krajina powolnego konania", „ziemia wiecznych śniegów i wiecznej tęsknoty", „lodowate piekło" to nazwy określające rzeczywistość, w której przyszło żyć Sybirakom².

Pamięć, przez wiele lat tłumiona i tabuizowana, zabiera dziś głos w literaturze faktu, podejmującej różne wątki życia na zesłaniu. Od pewnego czasu dokonuje się proces nobilitacji świadectw, które okazują się bardziej przekonujące niż beletrystyka, ze względu na ukierunkowanie na docieranie do prawdy. Jacques Le Goff uważa, że „pamięć jest pierwiastkiem budującym historię. Mentalna, oralna czy pisemna jest zbiornikiem, z którego czerpią historycy"³. W badaniach literackich dostrzec można zainteresowanie ludzkimi „mikrohistoriami", które tworzą „polifonię pamięci"⁴. Artur Hutnikiewicz, opisując młodopolską literaturę faktu zwraca uwagę, że jej powodzenie wiąże się ze swoistą dwuznacznością walorów: „z jednej strony wiarygodne dokumenty, rejestry faktów, z drugiej swoista spowiedź, świat niby rzeczywisty, ale ukazany w zwierciadle przeżyć i doświadczeń konkretnego człowieka, a więc jednostki o jedynej i niepowtarzalnej osobowości"⁵.

Tego rodzaju świadectwem czasów wojny i totalitaryzmu są *Sybirackie losy. Wspomnienia osób deportowanych do ZSRR*, książka wydana w trzech zeszytach (2002, 2004, 2007) przez Gimnazjum Nr 1 w Zielonej Górze, zredagowana przez pasjonata historii Romana Łuczkiwicza wraz z zespołem uczniów. Dwadzieścia siedem opowieści, opatrzone komentarzem, ilustrującym historyczny i polityczny kontekst, składa się na dokumentalną całość o walorach poznawczych i edukacyjnych. Posiadają one także niezwykle wartość emocjonalną, będąc nie tylko żywą lekcją historii, ale i wrażliwości.

Nie sposób przejść obojętnie wobec sybirackich losów. Powtarzalność pewnych wątków, która świadczy o wiarygodności i prawdziwości przekazów, nie zmienia faktu, że każda historia jest wyjątkowa i godna wysłuchania. Autorzy opowieści doświadczyli okrutnej rzeczywistości jako dzieci, osoby młode, ale obraz, który przedstawiają po latach jest wszechstronny i pełen szczegółów. Wspomnienia zapisane zostały w słowach prostych, potocznych. Byli zesłańcy nie starają się o efekty estetyczne, są one kwestią poboczną. Ich intencją jest przede wszystkim ukazanie świata autentycznego, przekaz prawdy o życiu, na miarę możliwości obiektywne odwzorowanie realnej rzeczywistości, nawet przy nieuniknionych odcieniach subiektywizmu.

Wśród motywów poruszanych w opowieściach niektóre wydają się szczególnie mocno zakorzenione w ludzkiej pamięci. Sybiracy często wracają myślami do czasu sprzed zesłania, do dobrych wspomnień o rodzicach, dziadkach, panującej w ich domach rodzinnych miłości i szacunku, które wzmocniły siłę charakteru i wolę przetrwania syberyjskiej katorgi, które nauczyły też doceniania wartości życia i tęsknoty za Ojczyzną. Odwołują się do zapamiętanych z beztrudnego jeszcze dzieciństwa radosnych chwil codzienności, do smaku czereśni, zapachu bzu, róż i łąkowych kwiatów, śpiewu ptaków, szumu drzew i strumyków.

Nad tymi „słonecznymi" akcentami dominują jednak ponure wspomnienia wydarzeń i sytuacji, do których niełatwo wracać. Autorzy opowieści wspominają postępowanie bolszewików wobec Polaków, zachowania pełne agresji, tyranii totalitaryzmu, okrucieństwa. Mówią o napadach na dom, rewizjach, grabieżach, zastraszaniu, a wręcz celowym wzbudzaniu trwogi i przerażenia. Przypominają

Zielona Góra 2002, zeszyt 1; *SL – 2 Sybirackie losy. Wspomnienia osób deportowanych do ZSRR*, red. R. Łuczkiwicz et cons., Zielona Góra 2004, zeszyt 2; *SL – 3 Sybirackie losy. Wspomnienia osób deportowanych do ZSRR*, red. R. Łuczkiwicz et cons., Zielona Góra 2007, zeszyt 3.

2 Por.: Bazuń D., Kaźmierczak-Kałużna I., Pokrzyńska M. przy współpracy Związku Sybiraków – Oddział Zielona Góra, Koło nr 8 – i Romana Łuczkiwicza, *Matki Sybiraczki – losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR*, Zielona Góra 2012, s. 9.

3 Le Goff J., *Historia i pamięć*, przekł. A. Gronowska, J. Stryczyk, wstęp P. Rodak, Warszawa 2007, s. 26.

4 Por. R. Traba, *Polifonia pamięci*, w: *Przeszłość w teraźniejszości. Polskie spory o historię na początku XXI wieku*, Poznań 2009.

5 Hutnikiewicz A., *Młoda Polska*, Warszawa 2002, s. 376.

sobie hałas kolb karabinów łomoczących w drzwi. Tylko niektórzy dostrzegają „nieco człowieczeństwa” wśród aktywistów NKWD, podpowiadających zrozpaczoną matkom, pakującym w popłochu rzeczy, co zabrać w daleką podróż.

Już sama wyprawa na Sybir w różnych historiach zgodnie opisywana jest jako droga przez mękę. Godziny w saniach na mrozie i śniegu, a potem dni, tygodnie, a nawet miesiące w bydłych wagonach – taki był początek, zwiastujący koszmar, który trwał nierzadko latami. Załadunek odbywał się wśród płaczu, jęków, głośniejszych modlitw i złorzeczeń, którym towarzyszył wrzask rozszoszczonych bolszewików-poganiaczy. Zesłańcy cierpieli z powodu głodu, pragnienia, braku higieny, zimna, a zarazem duchoty. Wywożono po kilkadziesiąt osób, stłoczonych w jednym wagonie, w którym za toaletę służył otwór w podłodze. Nocami włosy przymarzały Sybirakom do ścian. Zamrożone trupy z pędzących wagonów wyrzucano na pobocze w śnieg. Wielu ludzi straciło życie już w trakcie transportu – umierali z głodu, wycieńczenia, mrozu. „Dwa razy w tygodniu (!) – opowiada Helena Kremens – dostawaliśmy tzw. zupę i chleb z łubinem – chleb gorzki jak piołun, jak to życie, które nas czekało” (SL – 2, s. 17).

Nieludzkie warunki panowały także tam, gdzie Polaków deportowano. Najczęściej mieszkali oni w drewnianych barakach lub ziemiankach. Spali po kilka osób, na półkach przykrytych słomą, czasem prześcieradłem. Za kołdrę służyło co popadło, najczęściej jakiś płaszcz. Brakowało ciepłych ubrań i obuwia. Codziennością były wszy, pluskwy i inne insekty. Dzieci marzyły o tym, by najeść się do syta. Aby oszukać głód, zesłańcy do minimalnych racji żywieniowych próbowali dodać zdobyte na własną rękę pożywienie: chodzili po śmietnikach, by znaleźć kartofle lub chociaż obierki czy skórkę chleba, latem zbierali pokrzywy i lebidę i z tego gotowali strawę, jedli młode pędy sosny, kiszony czosnek, korzenie rzepu, liście osiki – suszone i tłuczone w móżdżerzu, a następnie pieczone jak placki, brzożową korę, kaszę kukurydzianą, placki smażone z mąki, a także gryzki po zjedzonych jabłkach i gorzkie ziarenka waty.

Miary cierpienia dopełniała katorżnicza praca. Towarzyszyły jej skrajnie niskie lub wysokie tempe-

ratury, obowiązki ponad siły ludzkie. Zatrudniano zesłańców do kołchozów, sowchozów, kopalni, do prac na roli i wielu innych zadań. Nadludzki wysiłek i nieludzkie warunki życia powodowały liczne choroby, których nie leczono właściwie, ze względu na brak leków, a także nierzadko z powodu niechęci wobec Polaków. Mnożyły się tyfus, zapalenie płuc, malaria, kurza ślepotą, zapalenie stawów kolanowych, owrzodzenia, szkorbut, gruźlica.

Wśród takich cierpień Polacy usiłovali zachować godność i polskość, której ostoją była katolicka wiara. Kościół był miejscem łączącym ludzi na wspólnej modlitwie, gdzie śpiewano po polsku pieśni religijne. Jednak i w te najgłębsze dla zesłańców wartości, uderzano. Mieczysław Podgórski opowiada, jak już po 17 września 1939 roku funkcjonariusze NKWD burzyli pomniki pamięci narodowej. „Zniszczono pomnik nieznanego żołnierza. Nocą ścięto krzyże przydrożne. Kamieniami rozbito figurę Matki Bożej. Zdarzały się odosobnione przypadki profanacji kościoła. Umundurowani funkcjonariusze NKWD wchodzili na nabożeństwa w czapkach, z papierosem w ustach. Zabroniono używania dzwonów cerkiewnych i kościelnych” (SL – 2, s. 83).

Zadaniem szkoły na Sybirze było wychowanie uczniów na dobrych komsomolców. Zakazywano mówienia o Polsce, obchodzenia polskich świąt, noszenia medalików, modlitwy. Pani Zakrzewska, która zorganizowała w konspiracji harcerstwo, uczyła patriotycznych piosenek, polskich wierszy i pacierza, a także przygotowała wraz z dziećmi „polską Wigilię” z opłatkiem „na niby”, kołędami i choinkowym drzewkiem pełnym kolorowych ozdób, została skazana na 5 lat za „wywrotową działalność”. Natomiast gdy szkoła urządziła bal przy choince na Nowy Rok, polscy uczniowie musieli udawać, że znają pieśni śpiewane przez dzieci rosyjskie: o cioci Krupskiej, dziadku Kalininie i Stalinie.

Wielu Sybiraków podkreśla rolę pamięci o katolickich świętach podczas pobytu na Sybirze, a także znaczenie wiary w Boga, która dawała nadzieję i siłę przetrwania. Piotr Miechowicz z rozrzewnieniem wspomina nieforemne kostki cukru – prezent od Świętego Mikołaja, święteczną modlitwę i cienki placuszek z mąki, którym jego rodzina podzieliła się

jak opłatkiem. Czuł wtedy radość, nie rozumiał szlachu matki. Przypomina również sobie wielkanocny przysmak – gorące ziemniaki w mundurkach okraszone masłem. Opowiada:

W Barnaule nie było kościoła, chociaż już wówczas było to miasto, w którym zamieszkiwało ponad 500 tysięcy ludzi. Udział we mszy nie był więc możliwy. (...) Zbieraliśmy się wokół stołu. Nim jednak zabraliśmy się do konsumpcji, młodsi klękali, dziadkowie, którym nie starczało sił, opierali się o stół. Mama lub jeden z wujów, którzy potrafili czytać, odczytywali na głos kilka modlitw, a my za nimi powtarzaliśmy. Na środku stołu ustawiliśmy krucyfiks z ukrzyżowanym Chrystusem, który zabraliśmy z naszej rodzinnej wioski. Towarzyszył nam podczas całego pobytu na tej nieludzkiej ziemi i wraz z nami dotarł do Krosna Odrzańskiego, gdzie teraz mieszkamy. Śpiewaliśmy różnego rodzaju religijne pieśni. Każda modlitwa i każda pieśń była dla nas wielkim przeżyciem, dodawała otuchy i wiary na przetrwanie (SL – 2, s. 74).

Tadeusz Marcinkowski przywołuje natomiast pamięć o „kołchoźniku” – głośniku radiowym, z którego w czasie powitania gen. Sikorskiego w Moskwie w 1941 r. dał się słyszeć „Mazurek Dąbrowskiego”. Zebrani na transmisji Polacy wówczas wstali, a z ich oczu popłynęły łzy. Miłość Sybiraków do Ojczyzny i znaków polskości odzwierciedla się także w mówieniu o ojczystych książkach, takich jak choćby *Potop* Henryka Sienkiewicza, darzonych niezwykłą czcią.

Tematem poruszonym we wspomnieniach byłych zesłańców są również relacje międzyludzkie. W nieludzkich warunkach starano się wzajemnie wspierać, jednak nie było to łatwe, ponieważ każdy musiał walczyć o własne życie i przetrwanie. Dlatego przede wszystkim troszczono się o rodzinę, najbliższych. Siła więzi potrafiła pokonać wiele trudów.

Polacy wspominają także gesty solidarności, których doświadczyli podczas deportacji od swoich rodaków, ale także od Rosjan czy Ukraińców, przynoszących im trochę cukru czy mąki. Podkreślają człowieczeństwo silniejsze niż wprowadzone przez politykę podziały narodowościowe. Mieczysława Kurzawa mówi: „Sam naród rosyjski nie jest zły. My nie doznaliśmy żadnej krzywdy od ludności cywilnej. Niejednokrotnie pomagali nam. Zła była władza radziecka, która uciskała zarówno swój naród, jak i inne narody” (SL – 3, s. 77).

I wreszcie temat, który nie mógł zostać w opowieściach pominięty – powrót do Ojczyzny. Nadzieja stała się rzeczywistością. Nawet bydłące wagony nie były w stanie odebrać radości tym, którym udało się wrócić do Polski. Niestety wielu rodaków nigdy nie wydostało się z Sybiru – wśród nich ci, którzy podpisali narodowościową listę radziecką, ale przede wszystkim ci, którzy tam ponieśli śmierć w wyniku głodu, zimna, wyczerpania, chorób.

Do refleksji zmusza opowieść Jadwigi Tuczyńskiej, a nawet sam jej tytuł: *Świat zapomniany* (SL – 1, s. 39). Wspominanie okrucieństw przeszłości przychodzi Sybirakom z trudem. Jednak Bronisława Steczkowska i Zofia Hołodowska twierdzą zgodnie: „Jesteśmy przekonane, że należy o tym mówić, aby został ślad, aby pamięć o tych, co nie wrócili, a także o nas, przetrwała. To ważna sprawa w dziejach nie tylko naszej rodziny, ale i narodu. Niech pamięć wylanych łez przetrwa i będzie symbolem nie tylko męki, ale i zwycięstwa!” (SL – 3, s. 109) Ten cel realizują w pełni dzieła krajowe, takie jak *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego⁶, czy lubuskie publikacje. Wśród nich wymienić można choćby cytowane już *Matki Sybiraczki – losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR* autorstwa Doroty Bazuń, Izabeli Kaźmierczak-Kałużnej i Magdaleny Pokrzyńskiej przy współpracy Związku Sybiraków – Oddział Zielona, Koło nr 8 – i Romana Łuczkiwicz, *Wspomnienia z wywózki i pobytu na Sybirze w latach 1949-1946* Rodrycjusza B. Gerlacha⁷, *Syberia: poza*

6 Czapski J., *Na nieludzkiej ziemi*, Warszawa 1990.

7 Gerlach R. B., *Wspomnienia z wywózki i pobytu na Syberii w latach 1940-1946*, Lubsko 1998.

życiem. *Relacje, przeżycia i pamiętniki witnickich Sybiraków*, pod red. Macieja J. Dudziaka⁸.

Jan Paweł II w książce *Pamięć i tożsamość*, będącej pewnego rodzaju szukaniem Bożej głębi dla całej, również tragicznej historii, napisał, że „zła doznanego nie zapomina się łatwo. Można je tylko przebaczyć. A co to znaczy przebaczyć? To znaczy odwołać się do dobra, które jest większe od jakiegokolwiek zła. Ostatecznie takie dobro ma swoje źródło tylko w Bogu”⁹. Mieczysław Podgórski przyznaje, że ciężko jest wykreślić z pamięci zniewagi i krzywdy. Pozostały myśli o „głodzie, wstrętnych potrawach, polarnej zamieci, zimnie przechodzącym przez łąty w ubraniu, północnej grobowej ciszy, pracy ponad siły” (SL – 2, s. 108). Autor tych wspomnień, jak i wielu innych Sybiraków, przeszedł przez piekło śledztw, cierpień więziennych, obozowych, fizycznych i duchowych. Jak mówi: „Czas okazał się mądrzejszy. Zadane rany i sińce zagoiły się. Pozostały blizny przypominające okres nasilonego terroru, pogardy, nienawiści” (SL – 2, s. 105). On sam nie zapomniał, lecz podczas swojej pielgrzymki do Sankt Petersburga, stanąwszy przed ikoną Chrystusa Zba-

wiciela dokonał symbolicznego aktu przebaczenia, modląc się słowami:

Boże Wszechprawosławnej Rosji, przebacz Twym wyznawcom i nieuznającym Ciebie, którzy w trakcie mego pobytu na Syberii i w innych miejscowościach zadawali wiele mąk, poniewierali, głodzili, poniżali, karmili pomyjami, nie uznawali za człowieka, pogardzali...
...odpuść mi winy, jako i ja im odpuszczam (SL – 2, s. 108).

Dziś, na skwerze przy Placu Kolejarza w Zielonej Górze stoi pomnik Matki Sybiraczki. Jest on symbolem doznanych krzywd i cierpień narodu polskiego, patriotycznym znakiem pamięci narodowej o poniesionych ofiarach w walce o niepodległość oraz świadectwem historii. Rzeźba przedstawia dumną matkę, która chroni swoje dzieci – chłopca i dziewczynkę – przed syberyjskim wiatrem i mrozem. Może także przed okrucieństwem nieludzkiego człowieka. „Aby nigdy nie powtórzyło się takie barbarzyństwo” (SL – 3, s. 55).



8 *Syberia – poza życiem. Relacje, przeżycia i pamiętniki witnickich Sybiraków*, pod red. M. J. Dudziaka, Witnica 1999.
9 Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przełomie tysiącleci*, Kraków 2005, s. 24.

SYLWETKI



Agata Buchalik-Drzyzga 45 lat pracy twórczej

Studia:

PWSSP/ASP Wrocław, Grafika i Sztuka, Dyplom w Pracowni Grafiki u prof. Stanisława Dawskiego – 1967.

Praca twórcza:

Grafika warsztatowa i użytkowa, tkanina artystyczna, malarstwo sztalugowe, sztuka papieru, ekslibris.

Wybrane wystawy indywidualne:

Małe formy tkackie, Kopenhaga (Dania), 2001; *Wystawa tkaniny*, Achim (Niemcy), 1999; *Różnice i podobieństwa*, Wrocław, 1998/1999; *Tkanina i papierowe obrazy*, Jelenia Góra/Kowary, 2002; *Rysunek, grafika, sztuka papierowa*, Muzeum Gorzów, 2002; *Papierowe obrazy*, Kostrzyn nad Odrą, 2003; *40-lecie pracy twórczej*, Zielona Góra, 2007; *Podróż w czasie*, WiMBP Zielona Góra,

Wybrane wystawy zbiorowe:

10 x Tak, Textilkunst aus Polen, Tübingen (Niemcy), 1994; *Małe formy tkackie*, Praga (Czechy), 1995; *Ogólnopolska wystawa tkaniny unikatowej*, Łódź, 1996; *Malarstwo, grafika, obiekty*, Lipsk (Niemcy), 1998; *Biennale sztuki sakralnej*, Gorzów, 1994-2002; *Dzieła, projekty, propozycje*, Zielona Góra – Guben (Niemcy), 2001; *Sztuka na granicy*, Kostrzyn nad Odrą, 2003; *Grafika – malarstwo*, Antwerpia (Belgia), 2004; *Obszary wyobraźni. Impresje morskie*, Szczecin, 2008; *40-lecie Grupy Tkackiej 10 x Tak*, Wrocław, 2012.

Prace znajdują się w zbiorach:

Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta w Gorzowie Wlkp., Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze, SBWA w Warszawie, BWA w Gorzowie Wlkp., BWA w Zielonej Górze, BWA w Jeleniej Górze, Galeria Miejska w Cottbus (Niemcy), Galeria Miejska w Pszczynie, Muzeum Wojskowe w Drzonowie oraz w wielu instytucjach i zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.

Nagrody i wyróżnienia:

Biennale Sztuki Sakralnej w Gorzowie Wlkp. (nagroda i wyróżnienie); *Międzynarodowe Wystawy Sztuki Włókna* w Jeleniej Górze, Wrocławiu (nagrody za tkaninę eksperymentalną); *Konkurs na Grafikę i Rysunek* w BWA w Zielonej Górze (I i II nagroda za grafikę); *Ogólnopolska Wystawa ART-STILON* w Gorzowie (wyróżnienie za tkaninę eksperymentalną).

Odnaczenia i medale:

Złoty Krzyż Zasługi, Medal za Zasługi dla Miasta Zielona Góra, Lubuska Nagroda Kulturalna Miasta I stopnia, Zasłużony Działacz Kultury, Odznaka Honorowa za Zasługi w Rozwoju Województwa Zielonogórskiego, Lubuska Nagroda Kulturalna Miasta II stopnia; stypendystka Ministra Kultury i Sztuki; Nagroda Prezydenta Miasta Zielona Góra (2007), Nagroda Miasta Zielona Góra (2010).

Dramaturgia papieru

W bogatym i zróżnicowanym dorobku twórczym Agaty Buchalik-Drzyzgi szczególne miejsce zajmują prace powstałe z ręcznie czerpanego papieru. Artystka „odkryła” to medium dla siebie w roku 1992 na plenerze plastycznym w Buku, mając już wówczas za sobą liczne doświadczenia na polu grafiki, rysunku, malarstwa oraz tkaniny unikatowej. Pierwsze próby wiązały się przede wszystkim z poznaniem specyfiki własnoręcznej produkcji papierowego tworzywa. Niczym czeladnik w starej papierni zgłębiała tajniki sporządzania masy celulozowej, dodając do niej rozmaite komponenty. Czasem była to preparowana kora z egzotycznego krzewu kozo, niekiedy rodzimy tatarak, płatki kwiatów, mielone liście drzew. Nauczyła się formować i odsączać uzyskaną mieszaninę, która po wysuszeniu stawała się delikatnym, papierowym opłatkem. A właściwie gotowym już obrazem uzyskanym bez udziału farb. Mógł on funkcjonować jako samoistne, skończone dzieło lub też jako elementy większej kompozycji.

Lata 90. Były dla niej okresem absolutnej fascynacji papierem, związanej z opanowaniem jego wielorakich możliwości kreatywnych. Sprzyjał temu udział w międzynarodowych konferencjach i plenerach skupiających twórców pracujących w tym tworzywie. Będąc uczestniczką pleneru w nadmorskiej miejscowości Hanshagen w Niemczech, zrealizowała całą serię prac inspirowanych tamtejszym krajobrazem. Większość pejzaży utrzymana jest w oszczędnej gamie barwnej – od bieli do grafitowej

czerni. Autorka umiejętnie zróżnicowała natężenia tonu poszczególnych płaszczyzn, uzyskując znakomite efekty powietrzne i świetlne. Te niewielkie obrazy mają swoją dramaturgię. Możemy z nich niemalże odczytać stan morza, analizować zjawiska atmosferyczne. To prawie abstrakcja, a mimo to czujemy wspaniałość natury i potęgę żywiołu.

Ostatnio coraz częściej swoje prace buduje pieczołowicie z bardzo wielu fragmentów, metodą kolażu, z zastosowaniem rozmaitych rysunkowo-malarskich ingerencji. Potrafi doskonale wykorzystać szeroki arsenał środków artystycznych składających się na bogactwo faktur i kolorystyczne wysmakowanie. Na przestrzeni dwudziestu lat stworzyła własną, łatwo rozpoznawalną stylistykę. Jej rozbudowane struktury obrazowe łączą stałe wątki tematyczne. Na ich tle zielonogórska artystka snuje refleksje, ujawniając osobisty stosunek do otaczającego świata. Lubi pracować cyklami. Mają one charakter metaforycznych relacji odnoszących się do przeżyć i wzruszeń. To rodzaj wizualnego dziariusza, pamiętnika dotyczącego osób bliskich, odbytych podróży, rozważań o charakterze historycznym, postrzeganych przez pryzmat ludzkich emocji. Papierowe montaż Agaty Buchalik-Drzyzgi mówią też o przemijaniu. Są specyficznym zapisem utrwalonym w materiale, który – będąc z natury kruchym z czasem ulega stopniowej degradacji. Podlega procesom starzenia i zanikowi. Podobnie jak nasze życie...



Z cyklu *Album rodzinny*, technika własna, 2012





W przestrzeni – obiekt M, technika własna, 2011



"W PRZESTRZENI - OBIEKT W"

Agata Suchalik-Drzyzga 2011



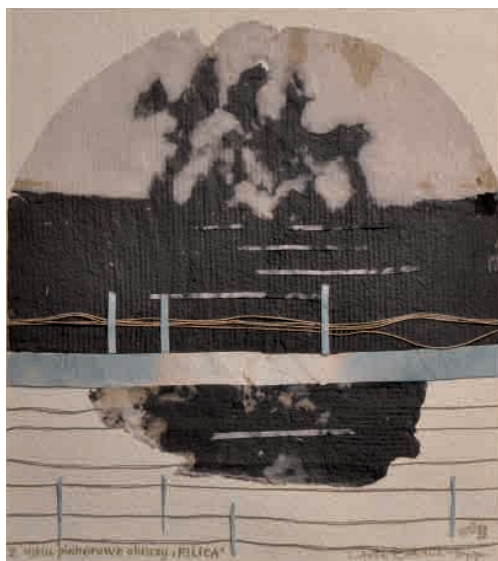
Magiczny ogród, technika własna, 2000



Impresja łagowska, technika własna, 2000



Łagowski las, technika własna, 2002



Z cyklu Plenerowe obrazy „Pilica”, technika własna, 2009

Artystka spełniona

Znamy się od 30 lat. Prowadząc galerię BWA w Gorzowie, mój kontakt z artystami, zwłaszcza województwa lubuskiego, był oczywisty. Tak poznałem Agatę, jedną z najbardziej aktywnych artystek Zielonej Góry. Doroczne przeglądy plastyki lubuskiej, plenery tkackie Art Stilon, potem Biennale Sztuki Sakralnej, prezentacje środowiska plastycznego w kraju i za granicą – wszędzie tu obecna była i jest Agata, ba, dostrzegana i wielokrotnie nagradzana. Artystka uniwersalna. Absolwentka PWSSP we Wrocławiu, uczelni wówczas tak znaczącej, tuż po studiach trafiła do Zielonej Góry. Przez wiele lat uczyła w Państwowym Liceum Plastycznym, była także wykładowcą w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Zielonogórskiego, przez cztery lata kierowała zielonogórskim Biurem Wystaw Artystycznych, działała w okręgu ZPAP, wielokrotnie była organizatorką plenerów malarskich w Łagowie i w Paradyżu, inicjatorką wielu akcji artystycznych.

Zawsze ją podziwiałem. Za żywiołowość, radość życia, aktywność, wszechstronność, nade wszystko za profesjonalizm, nieszablonowość, ciągłe poszukiwania na wielu obszarach sztuki.

Prace wielkich formatów (jak owa tkanina wisząca w gorzowskim BWA o średnicy prawie 4 metrów), obrazy i plakaty typowych formatów, fine-

zyjne miniatury – to ogromny dorobek i dowód pracowitości. Nieobce są Jej różne formy i techniki plastyczne – ogromne realizacje ceramiczne, obrazy olejne, tkaniny tkane tradycyjnie, częściej jednak aplikowane, klejone, zupełnie nowatorskie, znaki graficzne, scenografie, ilustracje książkowe, wreszcie subtelne i niezwykle pomysłowe ekslibrisy, Wykonała ich ponad 400, najczęściej dla bliskich przyjaciół. Miałem okazję przejrzeć je w dużej ilości. Finezyjny rysunek, wyszukane skojarzenia i profesjonalne wykonanie. Mistrzostwo.

Jakby tego wszystkiego było mało, Agata również pisze (sic!). Te Jej niebanalne przemyślenia ujęte w formę dzienników, wciąż czekają na oficjalne wydanie.

Niedawno dowiedziałem się, że Agata nie ogląda telewizji; w swym domu ani pracowni nie ma telewizora, świadomie, z wyboru. Kobieta, która nie ogląda seriali, kliwowych czy sensacyjnych filmów – to zaiste wyjątek! Pozyskany w ten sposób czas poświęca czytaniu i malowaniu. Ilość prac, które wycharowała głową i palcami liczona jest w tysiącach. Wiele z nich znalazło się w zbiorach muzealnych i galeryjnych, nade wszystko w dziesiątkach domów w kraju i za granicą, ciesząc oczy i ożywiając wnętrza. Być obecną w tylu miejscach – to dane jest tylko nielicznym. Sądzę, że czuje się artystką spełnioną.





Joanna Kapica-Curzytek

Milczenie

Poza granice języka

Komunikując się z innymi, koncentrujemy się przede wszystkim na słowach i wypowiedzianych zdaniach. Staramy się dobrać słowa, aby wyraziły możliwie jak najlepiej to co chcemy wypowiedzieć. Świat pełen jest słów, wypełnianie nimi pustki tylko dla samego mówienia jest cechą naszych dzisiejszych czasów. Przekaz medialny nie znosi ciszy, odzwyczajają nas od niej. Słowa toczą się łatwo i szybko, przez co tracą na swoim znaczeniu. Dlatego zbyt mało wokół nas i w nas milczenia. Coraz mniej jesteśmy z nim oswojeni. W ciszy coraz częściej czujemy się nieswojo, dlatego by ją przerwać – wolimy powiedzieć cokolwiek, by milczenie nam nie ciążyło i nie przeszkadzało. Rzadko też zastanawiamy się nad istotą i wartością milczenia. Nie zauważamy jego sensu i nie doceniamy siły jaką może ono mieć.

A przecież są także za pomocą milczenia kształtowany jest nasz język i określane są jego granice. Stajemy się ich świadomi, gdy tylko napotykamy mur milczenia. Dla Ortegi y Gassetta „Język jest ograniczony kordonem niewystowienia”. Także Ludwig Wittgenstein wskazywał na obecność milczenia wszędzie tam, gdzie czegoś wypowiedzieć się nie da. Milczenie dotyka granic języka, ale jednocześnie sprawia, że jesteśmy w stanie poza granice języka wyjść. Co zatem daje się wyrazić, gdy milczymy?

Obecność milczenia nie jest tylko prostym przeciwieństwem obecności słów, ich nie-zaistnieniem. Milczenie – z założenia pozbawione formy językowej – jest tak samo skomplikowaną kwestią jak wszystko, co związane z językiem i jego funkcjonowaniem w świecie. Milczenie dotyka pozajęzykowej rzeczywistości, dlatego ma więcej znaczeń i dociera o wie-

le głębiej, niż słowa. Jest formą pozawerbalnej komunikacji. Tak samo jak to, co wypowiedzane – ma swoje znaczenie i może być sposobem przekazania jakiegoś komunikatu. Z tego powodu, że milczenie wolne jest od ograniczeń języka, może nieraz wyrazić dużo więcej. Każdy z nas doskonale wie, że w wielu sytuacjach zamiast słów – lepszy i bardziej wymowny jest gest, dotyk, symbol. Często zdarza się, że milczenie zbliża bardziej, niż jakiegokolwiek z wypowiedzianych słów.

Przyczyny milczenia

Jeśli milczymy, nasze milczenie może mieć wiele powodów. Może to być świadome zamknięcie się w sobie, „wewnętrzna emigracja”, izolacja wobec otaczającego świata i rezygnacja z komunikowania się. W tej sytuacji decyzja: „wybieram milczenie” jest, podobnie jak mówienie, aktem intencjonalnym. Można w ten sposób wyrazić sprzeciw wobec otaczającego nas krzykliwego i hałaśliwego świata, zalewu słów bez pokrycia, paplaniny i gadulstwa gdzie wszyscy mówią o wszystkim bez zahamowań. Milczenie staje się wtedy barierą, za którą jesteśmy w stanie się ukryć. To mur obronny, wewnątrz którego chronimy nasze wnętrza. Milczenie pomaga nam je ocalić i zachować.

Milczymy też, bo nie wiemy co powiedzieć, nie jesteśmy pewni, czy będziemy w stanie dokładnie wyrazić siebie i swoje myśli. Czujemy, że żadne, nawet najstaranniej dobrane słowa nie będą odpowiednie. Boimy się kogoś skrzywdzić, obawiamy się nieporozumień i wyrządzenia komuś przykrości. To sytuacja, której doświadczają tylko ludzie wrażliwi, potrafiący wyobrazić sobie uczucia drugiej osoby. Ten rodzaj wrażliwości dzisiaj zanika. Sytuacje, gdy próbujemy znaleźć właściwe słowa i gdy decydujemy się na milczenie są do siebie podobne, bo w obu tych przypadkach trzeba umieć wczuć się z wrażliwością i wyobrazić w położenie drugiej osoby. Podobnie jak nasze słowa – również i milczenie może kogoś zranić lub ocalić. Zrujnować lub zbudować czyjś wewnętrzny świat. Odebrać lub uratować komuś życie. W każdym przypadku – radykalnie go zmienić.

Milczenie może być oznaką tego, że ktoś nie chce lub nie potrafi wziąć na siebie odpowiedzial-

ności za wypowiedziane słowa. Świadomość konsekwencji naszych ewentualnych słów może być w niektórych przypadkach trudna do udźwignięcia. Jak ujmuje to Pierre Beaumarchais: „Azylem dla prawdy niebezpiecznej jest milczenie”. Wolimy milczeć, omijać rzeczy dla nas niewygodne, bo tak jest dla nas bezpieczniej. Wolimy też milczeć, bo jesteśmy taktowni, pewnych rzeczy wypowiedzieć nam nie wypada albo nie wolno. W każdej kulturze jest takie symboliczne terytorium, na które nikt nie wstępuje: to tabu. Usankcjonowane odwieczną tradycją pole milczenia, które może się zamienić w wyspę zła i sprwadzić na nas nieszczęście, gdy naruszymy jej gorliwie chroniony obszar nieopatrznie wypowiedzianym słowem.

Wolimy też milczeć, bojąc się niezrozumienia i odrzucenia. Wycofujemy się w głąb siebie. Zranieni, strzeżemy swojego świata, nie życząc sobie, aby inni mieli do niego dostęp. Milczenie wyznacza więc ściśle granice naszej prywatności. Pomaga nam utrzymać autonomię i odrębność wobec otaczającego świata. Naszą osobność.

Bez oporów i ciągle mówić będą tylko ci, dla których słowa mają niewielką wartość, którzy nie przywiązują do nich wagi. Nie dostrzegają oni zależności między wypowiedzeniem słowa i dotrzymaniu go. Częściej milczą więc ci, którzy świadomi są znaczenia wypowiedzianych słów. Odczuwają obawę przed konsekwencjami ich wypowiedzania. Pamiętają o tym, że raz wymówione słowo jest nieodwracalne. Coraz rzadziej się o tym pamięta.

Gdy komunikujemy się z innymi w sferze publicznej, milczenie też ma swoistą wymowę. Lepiej jest milczeć na swój temat wobec obcych ludzi, bo przecież nie o wszystkim można i trzeba mówić każdemu. Jednak dzisiaj otwarte mówienie o sobie postrzegane jest jako zachowanie przystające do nowoczesnego, hałaśliwego świata, w którym inni też bez zahamowań mówią o wszystkim, sami przy tym zmuszając nas do mówienia. Złe się dzieje, gdy milczymy wobec napastliwości i zaborczości innych osób. Nie stawiamy im żadnych granic, pozwalając im wtargnąć w nasz świat, zawłaszczając go i niszczyć go nadmiarem słów, burzyć nie tylko naszą wewnętrzną równowagę, ale i zewnętrzny ład.

Mur milczenia

Nie w każdej sytuacji sprawdza się więc powiedzenie, że „mowa jest srebrem, a milczenie – złotem”. Nie zawsze tak bywa, że milczenie okazuje się lepsze od słów. Zdarza się, że odgradzanie się od innych murem milczenia może okazać się dużo bardziej dewastujące, niż jakiegokolwiek słowa. Źle jest milczeć wtedy, gdy zakładamy, że ktoś nasze milczenie zrozumie właściwie i domyśli się przyczyn naszego milczenia. To bodaj najczęściej popełniany błąd w komunikowaniu się z innymi, zwłaszcza bliskimi osobami. Tam, gdzie nie padają żadne słowa, gdy uporczywie unikamy komunikowania się, milczenie tworzy coraz bardziej nieprzekraczalną i gęstą barierę, odgradzającą nas od innych kordonem bolesnego nieporozumienia. Choć nie pada tu żadne słowo, rodzi się niepewność, po obu stronach narasta emocjonalne napięcie, które może nieodwracalnie zamienić się w otwartą wrogość. W tym miejscu rację ma Søren Kierkegaard, że „najpewniejszym z milczeń jest nie milczeć, lecz – mówić”. Dobrze jest wiedzieć na pewno, co kryje się za milczeniem drugiej osoby. Zbyt łatwo jest odczytać je błędnie i lepiej milczenie przerwać. Dopiero gdy dobrze poznamy przyczynę milczenia drugiej osoby – wtedy możemy zamilknąć i my.

Wspólna przestrzeń i kontemplacja

Maria Szyszkowska zauważa: „Trzeba czuwać nad zachowaniem proporcji między naszym światem wewnętrznym a językiem, który wyraża to, co w nas tkwi.” To jeden ze sposobów na ocalenie naszego wewnętrznego świata i naszej indywidualności. Zachowanie tych proporcji dotyczy także naszego milczenia. To trudne, szczególnie w sytuacji, gdy prawie nigdy nie jesteśmy pewni, kiedy można po-

wstrzymać się od słów, a kiedy coś powiedzieć. Często jest tak, że nie znajdujemy słów, aby wyrazić to, co dzieje się w naszym wewnętrznym świecie. Wtedy lepiej jest pozostać po stronie niewyraźnego – i milczeć.

Benedykt XVI zauważył, że „w milczeniu słyszymy i poznajemy lepiej samych siebie, rodzi się i pogłębia myśl, z większą jasnością rozumiemy to, co chcemy powiedzieć, albo to, czego oczekujemy od drugiego, dokonujemy wyboru jak wyrazić siebie”. A zatem milczenie porządkuje nasz świat wewnętrzny i zewnętrzny, pozwala nam lepiej go zobaczyć. Ucisza się chaos naszych myśli i łagodnie związane z tym poczucie zagubienia i niepewności. Dzięki milczeniu lepiej poznajemy samych siebie, a to zawsze jest źródłem naszej wewnętrznej siły. Milczenie pomaga nam także w zrozumieniu drugiej osoby i otaczającego świata. To zadziwiające, jak wiele rzeczy daje się zrozumieć nie tylko za pomocą bogatych w treść słów, ale także za sprawą milczenia, które jest nieodłącznym elementem komunikowania się.

Milczenie w komunikacji to także rodzaj swoistej kontemplacji, dzięki której jesteśmy w stanie zagłębić się w myśl drugiej osoby, a także spojrzeć głębiej we własne wnętrze. Aby móc słuchać – trzeba zamilknąć, wyciszyć się, otworzyć wewnątrz siebie swobodną, wolną przestrzeń. Staje się ona wspólną przestrzenią wzajemnego słuchania, przekształcającą się w przestrzeń spotkania. To umożliwiła pełniejszą i bogatszą relację międzyludzką, opartą na dialogu. Gdyby milczenie nie byłoby możliwe, nasza więź z innymi i otaczającym światem, budowana na słowie – byłaby niedoskonała i niepełna.

(esej jest kontynuacją eseju *Granice języka*, opublikowanego w „Pro Libris nr 1-2/34-35 w 2011 roku).

Andrzej Buck

Co się zdarzyło w Kargowej...

Kozzi Gangsta Film Festiwal 2012

Rok temu burmistrz Kargowej, Sebastian Ciemnoczołowski, rozmawiał ze mną o Festiwalu, który miałby być dedykowany Maćkowi Kozłowskiemu. To pomysł Ciemnoczołowskiego, Zbigniewa Hołdysa i Agnieszki Kowalskiej. Potem spotkaliśmy się w magicznym miejscu na Roztoczu – w Zwierzyńcu,



na tamtejszej Letniej Akademii Filmowej. Przechowuję w pamięci sms, jaki po zakończeniu Akademii otrzymałem od Sebastiana Ciemnoczołowskiego: *Nasz będzie lepszy!*, na który odpisałem bez wahania: *Powinien przede wszystkim być inny...*

Potem czas zaczął płynąć coraz szybciej, a my w gronie dosłownie kilku osób podjęliśmy wyzwanie. Pisaliśmy projekty, nie wszystkie – niestety – zakończone sukcesem. A jednak udało się zrobić imprezę w stu procentach ze środków pozabudżetowych. Podjęliśmy współpracę z Lubuskim Stowarzyszeniem Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT i Biblioteką Norwida w Zielonej Górze.

Opracowując formułę festiwalu, zastanawiałem się nad kluczową sprawą, jaką było znalezienie przestrzeni w mieście z jednym kinem, a właściwie... bez kina. Chodziło o kilka miejsc, które na czas Festiwalu stworzą miasteczko festiwalowe, wtopią się w przestrzeń miasta. I udało się! Stworzyliśmy świetne



miejsca prezentacji: GOK czyli Kino *Ojciec Chrzestny*, Ekran przy Ratuszu czyli Kino *Vabank*, Świątowid czyli Kino *Sherlock Holmes*, Sala Sesyjna czyli Kino





Gangsterzy i filantropi, Przystanek Teatralny: Stacja Agatha Christie.

Także na Rynku – *Cafe-Film*, kawiarnia, w której odbywały się spotkania z ludźmi Kina i Teatru. Szczególnie ważną okazała się nowa, postindustrialna scena na dworcu kolejowym. Stała się zaczątkiem tworzenia czegoś nowego, miejscem magicznym Kargowej. Stacja, przestrzennie usytuowany budynek w murach nieczynnego już dziś Dworca Kolejowego ale też scena GOK-u. To tu zagościły m.in. zaproszone teatry: Rampa z Warszawy, Teatr Modrzejewskiej z Legnicy czy Teatr im. J. Drobobycza z Ukrainy. Były też małe formy teatralne ze znakomitą aktorką Anną Seniuk, a także z Michałem Beckerem, Lechem Dyblikiem... Całkowicie nowatorskim wydarzeniem była etiuda multimedialna Adama Bałdycha i L.U.C.-a czyli Łukasza Rostkowskiego.



Równie ważną sprawą stało się wejście w lokalne środowisko, zaprzyjaźnienie się z mieszkańcami gminy Kargowa. Ten Festiwal organizowany jest przecież także dla nich.

Od początku pracy nad programem Festiwalu założyliśmy, że będziemy krok po kroku budować wydarzenie ważne dla gminy i jej mieszkańców, ale

też takie, które zostanie zauważone w województwie i kraju. Stąd konferencja w Teatrze Narodowym.

Umówiliśmy się, że będzie to coroczne wydarzenie kulturalne. Przyjmując założenie, że każdego roku będziemy czerpać sukcesywnie z dorobku Aktora, co pozwoli na „bycie” z Kozłowskim w długim dystansie czasowym.

Maciej Kozłowski pozwala budować tożsamość regionu, czerpać z dorobku, dokonań i biografii kogoś, kto urodził się w Kargowej, tu mieszkał i o Kargowej zawsze pamiętał.

Festiwal nasz zyskał wielu Przyjaciół. Są to przede wszystkim ludzie związani z Maciejem Kozłowskim, ludzie, których spotykał na swej drodze artystycznej. Te osoby dobrze Go pamiętają, wierzą, że nadal jest z nami. Noszą w pamięci jego filmy



i spektakle, w których grał. Osobą najważniejszą w ich przywołaniu jest niestrudzona Agnieszka Kowalska, żona Maćka. Nazwaliśmy ją Ambasadorem Festiwalu i Gościem Honorowym.

Zadbaliśmy także o to, by znaleźć przyjaciół w środowisku międzynarodowym. Sprzyja nam Film Festiwal Cottbus, Staatstheater Cottbus i Międzynarodowy Festiwal Brunona Schulza w Drobobyczu. A także ich dyrektorzy: Roland Rust, Martin Schuller i Grzegorz Józefczuk, którzy gościli na naszym Festiwalu.

W edycji 2012 ostatecznie obowiązywały takie oto nurty tematyczne Festiwalu:

Przegląd filmografii Maćka Kozłowskiego, Przegląd twórczości teatralnej Maćka Kozłowskiego (we współpracy z Teatrem Narodowym w Warszawie), Klasyka gatunku kina gangsterskiego, Polskie kino kryminalno-sensacyjne *Na czarnej taśmie*, Kino aktorskie: gość specjalny Mariusz Bonaszewski, Polskie

kino akcji *Nasza prowincja*, Film Festival Cottbus poleca..., Piotr Łazarkiewicz *Retrospektywa*.

O ile obecność filmów Maćka Kozłowskiego jest w tym programie czymś naturalnym, to *Retrospektywa filmów Piotra Łazarkiewicza* wymagała zdania wyjaśnienia. Podobnie jak Kozzi, Łazarkiewicz to przedwcześnie zmarły twórca, od zawsze w wirze pracy teatralnej i filmowej (nota bene związany z Lubuskim Teatrem, gdzie zrealizował krótko przed śmiercią przedstawienia: *Spuścizna* i *Pokropek* autorstwa Ireneusza Koziola). Ostatecznie o nim mówił Wiesław Komasa.



Ważny i dominujący był też cykl filmów kina akcji, pokazujący polską mentalność i etos polskiej prowincji.

Odbyły się ponadto imprezy towarzyszące: wystawa *Niemiecka powieść kryminalna* z Instytutu Goethego, warsztaty teatralne prowadzone m.in. przez Macieja Wojtyszkę i Michaela Beckera (Staatstheater Cottbus).

Cóż to byłby jednak za Festiwal bez filmowego konkursu, a przede wszystkim nagrody!? Dlatego corocznie Kozzi Gangsta przyznawać będzie Statuetkę Kargowskiego Lwa. W roku 2012 do Jury Festiwalu zaproszono m.in.: **Macieja Wojtyszkę**, reżysera filmowego, profesora Akademii Teatralnej (przewodniczący Jury), **Rolandę Rusta**, dyrektora artystycznego Film Festival Cottbus, **Jakuba Łysakowskiego**, krytyka filmowego i kulturoznawcę oraz autora poniższego tekstu, dyrektora artystycznego Kozzi Gangsta Film, krytyka teatralnego. Organizatorzy mieli szansę przyznania również po raz pierwszy drugiej Statuetki Kargowskiego Lwa za wybitne kreacje aktorskie drugiego planu.

Rozstrzygnięto też konkurs na film amatorski o laur: Lwi Pazur.

Tak więc toczyły się rozmowy w Cafe-Film, odbywały się prezentacje filmów oraz przebiegały wydarzenia teatralne. Gościem specjalnym Festiwalu był m.in. Łukasz Maciejewski (przyjechał wprost z Karlovych Varów), jeden z najzdolniejszych kryty-



ków filmowych młodego pokolenia. Festiwalowi goście mieli okazję posłuchać go w interesującej rozmowie, którą przeprowadził wspomniany wcześniej Jakub Łysakowski. Mnie natomiast przypadło w udziale prezentowanie wydarzeń teatralnych i filmowych.

Wreszcie przedstawmy filmy, które uczestniczyły w konkursie: *80 milionów*, reż. Waldemar Krzystek 2011; *Chrzest*, reż. Marcin Wrona 2010; *Daas*, reż. Adrian Panek 2011; *Dwa Ognie*, reż. Agnieszka Łukasiak 2010; *Kołysanka*, reż. Juliusz Machulski 2010; *Księżstwo*, reż. Andrzej Barański 2011; *Krzysztof*, reż. Dariusz Twaróg 2010; *Lincz*, reż. Krzysztof Łukasiewicz 2010; *Matka Teresa od kotów*, reż. Paweł Sala 2010; *Mistyfikacja*, reż. Jacek Koprowicz 2010; *Róża*, reż. Wojciech Smarzowski 2011; *Sala samobójców*, reż. Jan Komasa; *Trick*, reż. Jan Hryniak 2010; *Uwikłanie*, reż. Jacek Bromski 2011; *W imieniu diabła*, reż. Barbara Sass 2011; *Weekend*, reż. Cezary Pazura 2010; *Wygrany*, reż. Wiesław Saniewski 2011; *Wymyk*, reż. Grzegorz Zgliński 2011; *Zwerbowana miłość*, reż. Tadeusz Król 2011; *Ki*, reż. Leszek Dawid 2011.

Ta istna uczta dla kinomanów okraszona została trzema tytułami, które zaproponował dyrektor artystyczny Film Festival Cottbus w cyklu *Film Festival Cottbus poleca*. Były to filmy: *Robert Mitchum*

nie żyje, reż. Olivier Babinet, Fred Kihn, *Crulic / Droga na drugą stronę*, reż. Anca Damian, *Kriegerin / Combat Girls*, *Krew i Honor*, reż. David Wnendt.

Wśród gości festiwalowych znaleźli się: **Agnieszka Kowalska** – malarka, żona Maćka Kozłowskiego, **Zbigniew Hołdys** – muzyk, pomysłodawca nazwy Festiwalu, **Roland Rust** – dyrektor artystyczny Film Festiwal Cottbus, **Martin Schüler** – dyrektor Staatstheater Cottbus, **Jacek Głomb** –



reżyser filmowy i teatralny, dyrektor Teatru Modrzejewskiej w Legnicy, **Maciej Wojtyzsko** – reżyser filmowy i teatralny, przewodniczący jury, **Zbigniew Masternak** – prozaik (na podstawie jego *Trylogii* powstał obraz Andrzeja Barańskiego *Księżstwo*), **L.U.C** (Łukasz Rostkowski) – współautor projektu multimedialnego Festiwalu, **Adam Bałdych** – skrzypek, współautor projektu multimedialnego Festiwalu, **Anna Seniuk** – aktorka, profesor Akademii Te-



atralnej, **Łukasz Maciejewski** – krytyk filmowy, **Mariusz Bonaszewski** – aktor, gość specjalny Festiwalu, **Lech Dyblik** – aktor, **Wojciech Tomczyk** – scenarzysta, dramaturg, **Andrzej Schymalla** –

historyk, archeolog, **Iwona Schymalla** – dziennikarka telewizyjna, **Dorota Landowska** – aktorka, **Beata Fudalej** – aktorka, **Arkadiusz Janiczek** –



aktor, **Wiesław Komasa** – aktor, reżyser, **Janusz Chabior** – aktor, **Michael Becker** – aktor i reżyser, **Mykoła Hnatenko**, dyrektor Lwowskiego Akademickiego Obwodowego Teatru Artystycznego im. Jurija Drohobycza, **Andreas Stein** – dyrektor Film Festiwal Cottbus, **Adam Wojtyzsko** – reżyser, scenarzysta.

Przeżywanie festiwalu... Odczuć magię Kargowej i Festiwalu może tylko ten, kto przyjedzie tutaj na cztery dni. Wydarzenia odbywają się tutaj od 9 rano do północy, i to simultanicznie.

Po zakończeniu tegorocznego Kozzi Gangsta Film w rozmowie z burmistrzem Ciemnoczołowskim zgodnie stwierdziliśmy, że impreza na stałe wrasta w pejzaż Kargowej i należy rozpocząć przygotowania do kolejnej edycji w 2013 roku.



Roland Rust, dyrektor artystyczny Film Festiwal Cottbus napisał do mnie i do Krzysztofa Polusa, szefa organizacyjnego Festiwalu Kozzi Gangsta Film list z podziękowaniami i gratulacjami za pierwszą

edycję. Rust jest wymagającym partnerem, ale docenił projekt artystyczny i przestrzenny Festiwalu, program, katalog, zestaw zaproszonych gości ze



świata filmu, teatru i krytyki oraz organizację imprezy. Cieszy mnie, że udało się uzyskać zaufanie i partnerstwo Rolanda Rusta i Andreeasa Steina dla naszego Festiwalu. Nie bez znaczenia jest także zainteresowanie festiwalem naszego przyjaciela ze Staatstheatre z Cottbus Martina Schüllera.

W podobnym tonie brzmiały wypowiedzi Jacka Głomba, Witolda Mazurkiewicza, Macieja Wojtyszko czy Łukasza Maciejewskiego, i innych gości festiwalu. Zauważyli oni, że nasz start programowy zakładał dbałość o poziom artystyczny czyli przyjęcie założenia, że proponujemy wydarzenia artystyczne, teatralne i filmowe na wysokim poziomie. Nie tylko gwiazdy.

Znakomicie sprawdziły się nowe przestrzenie miasteczka filmowego. Szczególnie Cafe-Film na



Rynku przy Ratuszu (miejsce ważnych spotkań i dyskusji) oraz Przystanek Teatralny: Stacja Aghaty Christie. Tu odbył się dwukrotnie koncert nieobliczalnego artystycznie Lecha Dyblika. Michael Becker

zaczarował warsztatem zarówno publiczność festiwalową, ale przede wszystkim młodych adeptów teatru, którzy przyjechali do Kargowej na cztery dni i dali się uwieść niepowtarzalnej atmosferze tego uroczego miejsca.

Przy czym powtarzam raz jeszcze: zrozumieć Kargową, zrozumieć pomysł na Festiwal to oznacza przyjechać tam na cztery lipcowe dni, być tam i uczestniczyć w wydarzeniach, dziejących się jednocześnie od godzin porannych do wieczornego koncertu o północy.

Pokazaliśmy w Kargowej około pięćdziesięciu filmów. Kiedy razem z reżyserem Jackiem Głombem zapowiadaliśmy w Kinie Światowid ostatnią projekcję festiwalu, obraz zatytułowany *Operacja Dunaj*, wychodząc z kina uświadomiłem sobie, że przecież za rok tego kina w mieście czekolady już nie będzie. Powstanie tu nowoczesna multimedialna Mediateka, co prawda z możliwością projekcji filmów, ale jednak to już nie ten zapach i smak kultowego kina PRL-u.

W Kargowej dobrze udały się dyskusje ludzi kina i teatru prowadzone przez dobrą krytykę filmową i dziennikarzy.

Frekwencja dopisała podczas dyskusji *Portret Aktora. Maciej Kozłowski*. O innym bohaterze retrospektywy Piotrze Łazarkiewiczu wspominał Wiesław Komasa. Można było więcej, ale zabrakło dni. Tak jak zabrakło czasu na wspomnienia Iwony i Andrzeja Schymallów o pracy Maćka Kozłowskiego przy kręceniu *Ogniem i mieczem*.

Jak pisałem wcześniej Kargowa ma swoje nagrody: Kargowskie Lwy i Lwi Pazur. Jestem bardzo zadowolony z pracy jury pod przewodnictwem reżysera Macieja Wojtyszko. Film *Lincz*, aktor Wiesław Komasa to nasi laureaci. No i Janusz Chabior. Wiem już, że pomysł z nagradzaniem aktorów wybitnych ról drugoplanowych stanie się podstawą budowania programu festiwalu w przyszłym roku. Musi być rozwinięty.

Takie filmy jak: *Dwa ognie* Agnieszki Łukasziak, *Księżstwo* Andrzeja Barańskiego czy *Lincz* Krzysztofa Łukaszewicza wyznaczają poetykę naszego myślenia o kinie. Zresztą podobnie jak te zaproponowane przez dyrektora artystycznego Film Festiwal

Cottbus: *Robert Mitchum nie żyje*, reż. Olivier Babinet, Fred Kihn, *Crulic / Droga na drugą stronę*, reż. Anca Damian, *Kriegerin / Combat Girls, Krew i Honor*, reż. David Wnendt.

Usłyszałem również opinię, że najważniejsze dla mieszkańców Kargowej były te punkty programu, które proponowały spotkania z aktorami i twórcami na żywo: Rampa z Warszawy, Teatr Modrzejewskiej z Legnicy czy Teatr im. J. Drohobycza z Ukrainy, małe formy teatralne ze znakomitą aktorką Anną Seniuk, Michaeliem Beckerem, Lechem Dyblikiem i... całkowicie nowatorskie wydarzenie – etiuda multimedialna Adama Bałdycha i L.U.C.-a czyli Łukasza Rostkowskiego.

Zaczęliśmy nawet rozważać wariant formuły przyszłorocznego festiwalu w proporcjach: film – 50 procent i teatr – 50 procent. Tak jak działo się w biografii artystycznej Maćka Kozłowskiego. Jest jeszcze sporo czasu do następnego festiwalu, a więc – do czerwca 2013 roku.

Poniżej prezentujemy werdykt Jury:

Kozzi Gangsta Film Festiwal Filmu i Teatru im. Maćka Kozłowskiego w Kargowej

Protokół z posiedzenia Jury Konkursu w dniu 7.07.2012 r.

W posiedzeniu uczestniczyli:

Przewodniczący: Maciej Wojtyzsko, przewodniczący, reżyser, profesor Akademii Teatralnej

Członkowie: Andrzej Buck, dyrektor artystyczny Festiwalu, krytyk teatralny, Jakub Łysakowski, krytyk filmowy, kulturoznawca

Sekretarz: Marta Puchalska

Jury spośród zaproszonych filmów postanowiło przyznać

statuetkę Kargowskiego Lwa:

Krzysztofowi Łukaszewiczowi za film „Lincz”, który w odczuciu Jury – w ramach gatunku kina akcji – jest oryginalną i wyróżniającą się propozycją spośród zaprezentowanych na Festiwalu produkcji. Reżyser otrzymuje nagrodę w wysokości 3 tys. zł.

Jury przyznało także, zgodnie z regulaminem,

Główną Nagrodę Aktorską

Wiesławowi Komasi za kreację w filmie *Lincz*, która swoim kunsztem wybija się nad inne role w produkcjach prezentowanych podczas Festiwalu.



Janusz Chabior został laureatem **Kargowskiego Lwa dla Najlepszego Aktora Drugiego Planu.**



Jury spośród zaproszonych filmów postanowiło przyznać **Lwi Pazur:**

Łukaszowi Nowickiemu za film *55*, który poruszył Jury swoją oryginalnością oraz niekonwencjonalną fabułą.



Dorota Kaczmarek

II Festiwal Literacki Proza Poetów w Norwidzie

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze, Dyskusyjne Kluby Książki oraz Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT zorganizowały w dniach 20-23 listopada br. II Festiwal Literacki Proza Poetów 2012. Patronat honorowy imprezy

przyjął Prezydent Miasta Zielona Góra Janusz Kubicki, zaś patronat medialny - Radio Zachód, TVP Gorzów Wlkp.

Poniżej prezentujemy program imprezy oraz sylwetki artystów, literatów oraz aktorów, którzy uczestniczyli w Festiwalu.

Spotkanie z Łukaszem Maciejewskim, krytykiem filmowym

Rozmowa o książkach: *Aktorki, Wszystko jest lekko dziwne*

Prowadzenie: red. Konrad Stanglewicz

20 listopada, godz. 18.00, WiMBP Sala Dębowa

Spotkanie z Alfredem Siateckim, prozaikiem, publicystą

20 listopada, godz. 10.00, Filia nr 4, ul. Podgórna 45

Zielonogórski Salon Poezji. Gospodarz Salonu Andrzej Buck

Bóg pisze prosto na liniach krzywych...

Spektakl słowa na podstawie tekstów K. Wojtyły, Z. Herberta, C. Norwida, J. Wittlina,

J. Twardowskiego, R. Brandstaettera w wykonaniu **Wiesława Komasy, aktora, reżysera**

21 listopada, godz. 18.00, WiMBP Sala Dębowa

Spotkanie z Barbarą Konarską, poetką, red. naczelną kwartalnika „Inspiracje”

oraz **wernisaż wystawy fotograficznej.**

Prowadzenie: Ewa Kwaśniewicz

21 listopada, godz. 17.00, Filia nr 1, ul. Ptasia 32

Spotkanie z Zofią Kucówną oraz promocja książki *Szara godzina*

Prowadzenie: red. Elżbieta Wozowczyk-Leszko

22 listopada, godz. 18.00, WiMBP Sala Dębowa.

Spotkanie z Krzysztofem Koziółkiem, prozaikiem, dziennikarzem
22 listopada, godz. 17.00, mediateka Szklana Pułapka

Towarzysze czas wstawać! – piosenki Aleksandra Galicza, Jurija Wizborowa, Włodzimierza Wysockiego w wykonaniu **Lecha Dyblika, aktora**
23 listopada, godz. 17.00, WiMBP Sala Dębowa.

Spotkanie z członkami hip-hopowej grupy Pokahontaz
23 listopada, godz. 17.00, mediateka Szklana Pułapka, Zielonogórska Palmiarnia

Promocja Lubuskiego Pisma Literacko-Kulturalnego „Pro Libris” nr 3/40/2012
23 listopada, godz. 18.00, Klub Pro Libris



Ł. Maciejewski

Łukasz Maciejewski – absolwent filmoznawstwa w Instytucie Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Krytyk filmowy, autor szkiców krytycko-literackich, esejów, reportaży i felietonów.

W jego twórczości ważne miejsce zajmują wywiady z ludźmi kultury. Ma na koncie setki artykułów opublikowanych m.in. w „Filmie”, „Tygodniku Powszechnym”, „Teatrze”, „Notatniku teatralnym”, „Krakowie”, „Kwartalniku Filmowym”, „Dekadzie kulturalnej”, „Dzienniku”, „Machinie”, a także na portalu „Filmweb”. Od 1999 roku w Mościckim Centrum Kultury (aktualnie Centrum Sztuki Mościce) prowadzi kino Millennium. Ponadto jest autorem cyklu pod hasłem Goście Łukasza Maciejewskiego. Jest ekspertem telewizji HBO Europe oraz komisji stałej Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W telewizji był pierwszym gospodarzem dnia filmowego w TVP Kultura. Prowadził krakowski magazyn filmowy Projektor w TVP3 oraz cotygodniowy magazyn Bilet do kina w kanale nFilm HD. Aktualnie współpracuje z TVP Kultura, Ale Kino i TVP Polonia.



W. Komasa

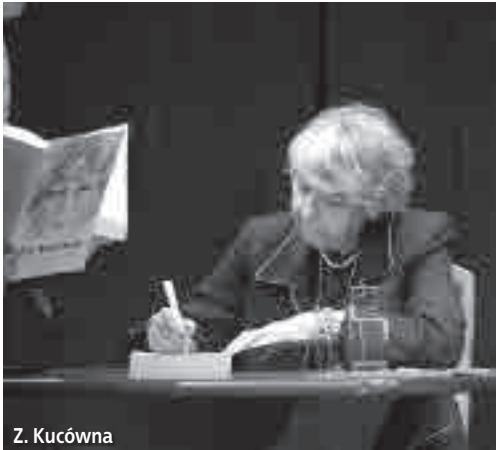
Spektakl słowa *Bóg pisze prosto na liniach krzywych...* w wykonaniu wybitnego aktora, reżysera **Wiesława Komasy**.

Była to kolejna odsłona Zielonogórskiego Salonu Poezji w ramach II Festiwalu Literackiego Proza Poetów. Gospodarz Salonu Andrzej Buck. Spektakl skoncentrowany był wokół utworów wybitnych polskich poetów i myślicieli, takich jak: K. Wojtyła, Z. Herbert, C. Norwid czy J. Twardowski. Tematycznym spoiwem łączącym wszystkie prezentowane przez artystę utwory był człowiek i jego relacja z otaczającym go światem – będącym od zawsze fascy-

nującym i zarazem niepokojącym fenomenem. Spektakl ten to próba przekazania i wyrażenia ogólnego ludzkiego doświadczenia Tajemnicy - objawiającej się pod postacią Boga i nierozzerwalnie związanego z Nim bytu - człowieka. Poprzez poetyckie niezwykle sugestywne wizje wielkich twórców aktor starał się odnaleźć uniwersalny mianownik ludzkiej

duży. Niezwykła siła wybitnego aktorstwa skupiona w osobie Wiesława Komasy, uznanego za mistrza sztuki aktorskiej, rozświetla na „moment” wnętrza człowieka - zagubionego w otchłaniach własnego jestestwa i wciąż próbującego odczytać znaki Boskie umieszczone na krzywych liniach oddanego mu w zastaw życia.

Biblioteka Norwida gościła 22 listopada w ramach II Festiwalu Literackiego Proza Poetów jed-



Z. Kucówna

Kryminalna zbrodnia w kuchni, czyli przepis na kryminał nieco mocny, mocno krwisty, a zarazem topograficzny.” Mediateka Szklana Pułapka zaprosiła na spotkanie z lubuskim prozaikiem i dziennikarzem **Krzysztofem Koziółkiem**. Spotkanie, dotyczące kryminału polskiego i skandynawskiego, odbyło się w ramach II Festiwalu Literackiego Proza Poetów 22 listopada, o godzinie 17.00.

Krzysztof Koziółek w 2007 r. zadebiutował powieścią sensacyjną „Droga bez powrotu”, w 2009 r. wydał kryminał skandynawski „Święta tajemnica” (nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego), w 2010 r. ukazała się powieść sensacyjno-przygodowa „Miecz zdrady”. Za tę ostatnią autor został zgłoszony do Paszportu Polityki 2010 i nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2011 roku Krzysztof Koziółek otrzymał Lubuską Nagrodę Lite-

nią z najwybitniejszych polskich aktorek **Zofię Kucównę**.

Spotkanie prowadziła redaktor Elżbieta Wozowczyk-Leszko.

Zofia Kucówna ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. Zadebiutowała w 1955 roku w krakowskim Teatrze Młodego Widza. Występowała na deskach teatrów: im. Juliusza Osterwy w Lublinie, Ateneum, Powszechnego i Narodowego w Warszawie. Od 1986 r. związana z warszawskim Teatrem Współczesnym. Zagrała kilkadziesiąt ról w Teatrze Telewizji, z którym rozpoczęła współpracę w 1959 roku. Ma na swoim koncie wiele ról filmowych. Jest autorką czterech książek: *Zatrzymać czas*, *Zdarzenia potoczne*, *Zapach szminki* oraz *Szara godzina*. Tę ostatnią, której premiera miała miejsce w maju br., będzie promowała w Zielonej Górze.

racką dla najbardziej obiecującego lubuskiego pisarza. W tym samym roku ukazały się kolejne książki: thriller „Premier musi zginąć” oraz „Trzy dni Sokoła”.



K. Koziółek



A. Siatecki

Spotkanie autorskie z **Alfredem Siateckim** w Filii nr 4 – na temat dziejów naszego regionu, czyli opowiadania z cyklu „klucze do bramy” oraz o ostatnio wydanej książce zatytułowanej „Szajbus”. Uczestnikami spotkania ze znanym dziennikarzem, autorem powieści, opowiadań, słuchowisk i bibliografii pisarzy lubuskich byli licealiści z LO nr V w Zielonej Górze.

Towarzysze czas wstawać! – koncert Lecha Dyblika



L. Dyblik

Biblioteka Norwida gościła 23 listopada br. o godz. 17.00 w Sali Dębowej Lecha Dyblika na koncercie ballad Aleksandra Galicza, Jurija Wizborowa,

Włodzimierza Wysockiego w wykonaniu Lecha Dyblika, aktora

Lech Dyblik urodził się 30 sierpnia 1956 roku w Złocięncu. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie na wydziale aktorskim. Ukończył ją w 1981 roku, a dyplom uzyskał dwa lata później. W listopadzie tego samego roku zadebiutował na deskach warszawskiego Teatru Narodowego. Występował tam do 1987 roku. Na wielkim ekranie po raz pierwszy pojawił się w 1982 roku w filmie fabularnym „Noc poślubna w biały dzień” w reżyserii Jerzego Gruzy. Sympatię widzów zyskał m.in. dzięki wyrazistym kreacjom głównie drugoplanowym w takich filmach jak: „Kroll”, „Ogniem i mieczem”, „Człowiek wózków”, „Wtorek”, „Zemsta” i „Wesele”, czy też w serialach „Boża podszewka”, „Sukces” i „Wiedźmin”. Jego drugą pasją jest śpiewanie i granie na gitarze. W 2010 roku wydał płytę pt. „Bandycka dusza”.



B. Konarska

Barbara Konarska na II Festiwalu Literackim (Halina Maszner)

21 listopada br. Filia nr 1 WiMBP przy ul. Ptasiej gościła Barbarę Konarską, poetkę, redaktor naczelną kwartalnika „Inspiracje”, pasjonatkę fotografii. B. Konarska spotkała się z przybyłymi gośćmi w podwójnej roli, jako autorka zdjęć prezentowanych w holu biblioteki, w tzw. Galerii na Ptasiej (wystawa „Malowanka jesienna”) oraz jako poetka. Podczas rozmowy z prowadzącą Ewą Kwaśniewicz pani Barbara ujawniła także inne pasje, w których się reali-

zuje: muzyka, górskie wędrowanie, turystyka. Warto dodać, że bohaterka wieczoru, mimo wycofania się z pracy zawodowej, jest wciąż aktywna - od 2004 roku prowadzi grupę literacką „Oksymoron”, jest

także członkinią klubu fotograficznego FOTOOKO. Ma w swym dorobku trzy tomiki poetyckie (*Ocalone śmy czyli moje wędrowanie*, *Malowanka jesien**na*, *Osty w fiole**tach*).

Promocja 40 numeru kwartalnika „Pro Libris”

Równoległe z koncertem Lecha Dyblika trwało spotkanie promocyjne 40 numeru pisma „Pro Libris”, poświęcone w dużej mierze postaci niedawno zmarłego (11 lipca 2012 r.) Andrzeja K. Waśkiewicza.

Była okazja by powspominać nieodżałowanego poetę, krytyka literackiego, autora ponad 30 książek, zbiorów wierszy, prac krytycznych, bibliograficznych i publicystycznych. Człowieka, który wszędzie był

wielki i ceniony, zawsze zafrapowany literaturą, będącą sensem Jego życia. Jako redakcja mieliśmy zaszczyt i wielką przyjemność z Nim współpracować, podobnie jak niektórzy przybyli na spotkanie goście, miłośnicy literatury i autorzy. Ten wieczór wspomnień był tym bardziej klimatyczny, gdyż A.K.Waśkiewicz sprzyjał idei ukazywania się w Zielonej Górze pisma o charakterze literacko-kulturalnym i współdziałał z „Pro Libris” nieomal od początków funkcjonowania pisma.



Ewa Mielczarek

Finał III Konkursu „Debiut poetycki Pro Libris”

Biblioteka Norwida po raz trzeci przeprowadziła Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”, mając na celu zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu oraz stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez debiut wydawniczy.

Podobnie jak w ubiegłych latach Konkurs spotkał się ze sporym zainteresowaniem młodych poetów, a poziom nadesłanych przez nich wierszy był różnorodny.

Do organizatorów wpłynęło 14 zgłoszeń, spośród których Jury 31 listopada 2012 r. wybrało laureata. Został nim **Konrad Krakowiak** (godło Good Will). Laureat wywodzi się z Lubuska, rocznik 1979. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Jest dziennikarzem TVP Info i prezydentem programu „Raport z Polski”. Jako poeta debiutował w 2001 r. w antologii *Wszędzie jest środek świata*, wydanej przez Zielonogórski Ośrodek Kultury i lubuskie „Nadodrze”. W świecie, który jest dla niego zbieżnością przeciwieństw, poszukuje wspólnych praw, zachowań i uniwersalnego języka, dzięki którym byłoby możliwe wzajemne, pełne zrozumienie rzeczy.

To poeta nieba zaczytany w poezji życia, artysta pełen ciszy i krzyku. Może dlatego jest mu tak bliska myśl Carla Sandburga, że poezja to pisanie dziennika przez istotę morską, mieszkającą na ziemi i pragnącą latać.

Wyjątkowo ceni twórczość Wisławy Szymborskiej, Julii Hartwig czy Tadeusza Różewicza, ale też

amerykańskich poetów: Walta Whitmana, Emily Dickinson, Roberta Frosta.

Nagrodą w konkursie jest publikacja wierszy w formie tomiku poetyckiego, wydanego przez oficynę Pro Libris w nakładzie 200 egzemplarzy. Na kolejnych stronach publikujemy wybrane utwory uczestników Konkursu.



K. Krakowiak

Balansując

Balansuję jak linoskoczek
na linii rozpiętej między styczniem 1979 roku a...

Z jednej strony już nic,
z drugiej jeszcze nic.

Spacer zachwycający,
ale pełen lęku.

Pośród chmur
stawiam kolejny krok,
małą myśl

(może opadnie kiedyś z deszczem,
zmyje komuś twarz).

Nie obawiam się potknięcia,
marnej kondycji ciała.

Niepokoi tylko niewiadoma celu
i zgarbiona postać przy linie.

W ręku ma nożyce,
na twarzy uśmiech trudny do rozgryzienia.

Konrad Krakowiak (godło Good Will)

Ciekawość

Na biurku w klasie model DNA
Kolorowe łańcuchy
Drabinki
Mostki

Tu adenina
Tam tymina
Guanina i cytozyna w szczerym uścisku

Z tego będą dołki w polikach
Z tamtego zielone oczy
Rude włosy i pieprzyk na ramieniu

Są niewidoczne zmarszczki
I proste plecy
Rekord na sto metrów
I piątka na świadectwie

Zamiast skrzeli
Płuca
Zamiast płetw
Dwunożność
Fałdy nad oczami przegrały z gładkim czołem

Model z dwustu kolorowych klocków
Prosty
Stabilny
Doskonały
Aż kusi by wyjąć jeden element

Mirosława Szott (godło zatrudnię mistyka)

granica

psycholog wytrwale diagnozuje
tłumaczę
od kilku lat nie odróżniam snów od wierszy
nie dlatego że tym pierwszym
spodobało się objawiać
stroficznie

mają ten sam zwyczaj
znikać w towarzystwie
rannych ptaków

Zamek

*Któregoś dnia
rozgrzebaliśmy gniazda snów nad rzeką.*

Tomasz Różycki

baliliśmy się o panią Różę
przychodziła jako geometra
była tu wczoraj przed świtem
w aksamitnej granatowej bluzce
zlecono jej drobne pomiary
drzwi i okien Zamku
z pachnącej jak różaniec cegły

Mirosława Szott (godło zatrudnię mistyka)

projekt

czasami zastanawia mnie
czy w ramach projektu
mniej błędów mniej krzywd
można by
tuż po urodzeniu
usuwać chirurgicznie
narząd mowy

sierpień

mają zbyt wiele wspólnych książek
żeby się rozstać
razem uważają że sierpień jest natarczywy
przejście fazowe między nim a nią
wywołuje deszcz
czytają wiersze w których
trener uczuć
głosuje na partię gołębi
idą dalej przez duszny las
a drzewa obejmują się nieśmiało

lęk

Annie Tokarskiej

na ulicy ciemno
spotkałam poetkę
kupowała róże w środku dnia
nie zapytałam co słyhać
bo kot przyglądał się nazbyt lękliwie
powrót do siebie
miał coś z umierania

Iustitia

Ukryta w głębinach
Rozświećła mroki oceanu.
Osiadła na dnie duszy
Roztacza dobro z niewidzialnego
Jak perła, której poszukujesz.
Zamknięta w muszli,
Ta, o której wiesz, że jest
Nie wiedząc gdzie.
Sprawiedliwość
Jak szum wzburzonych fal,
Którego nie zagłuszysz
W sztormową noc.

Łzy aniołów

Anielskie łzy spadają
Na mieszkańców ziemi
jak ryż na szczęście
młodej pary,
jak płatki dzikiej róży
tańczące jeden raz,
nim spoczną.
Myślisz – deszcz,
Lecz nie,
To tajemnica niebios,
gdzie spadnie łza
wyrasta z serca
szlachetny krzew
- niebieski da.
Virtus.

Monika Elżbieta Murańska (godło ariel)

Kontemplacja

Cień moich palców
Na niezgrabnej kartce

Pióro jest tylko
przedłużeniem palców

Atrament jak krew błękitna
Szlachetnie ścieka z pióra

Czysta karta zapełnia się
Od niechcenia
Pejzażem atramentowych strug

Nagle wypisany deszcz
broczy błądy pergamin palców

Życie to okrąg
Pełen przypadków

Laboratorium

Świat Twój Panie w jednej kropli zamykają
W fiołce metalowych wspomnień
Kapsułkę szczęścia między oczy wciskają
Trują chemicznymi prawdami

Z zakłamanym uśmiechem mówią
o postępach swej pracy
By na nowo złożyć ofiarę
W imię Rozwoju – nowego boga

Zakładają białe rękawiczki z gumy
Łudząc się że ręce pozostaną czyste
A wszystko po to by ulepszyć
to co doskonałe

Maciej Maciejewicz (godło Gustawson Maciejewicz)

* * *

Siedzisz patrząc znudzony
W szare lustra okien
a za nimi
tani film codzienności

Wykrzywione aktorki jak lipy
odsłaniają nagie ramiona
odwykłe od uwagi
przywykłe do pożerania
wzrokiem ich intymności

Ospali aktorzy jak dęby
odsłaniają sękaty torsy
odwykli od godności
przywykli do rozdierania
pazurami ich piękna

Zszarzała scena jak trawa
odsłaniająca żdźbła desek
odwykła od pieszczot
przywykła do twardych kroków
aktorów bez pasji

Siedzisz patrząc znudzony
W szare lustra okien
a za nimi
tanie porno codzienności

Maciej Maciejewicz (godło Gustawson Maciejewicz)

2. NOCNA IMAGINACJA

M. K. – dedykuję

Mglistej nocy ścianę
muskam opuszkami palców
kreując pejzaże imaginacji
improvizując światy wyobraźni
na szorstkiej tapecie gwiazd

Promień latarni podwórza
co przez szpary firanki
sitem oczek przesiany
boskie refleksy oknem oka wpuszcza
w głąb jaźni nocnej
marzeń co śpią za dnia
Sowy pierzaste umysłu

I muskam twe włosy
delikatnie ustami dłoni
i słodkie dźwięki harfy
płyną nam w uszy serca
wtuleni w pięciolinię własnych ciał
podnieceni akordem oddechów
na przemian szybko-wolnych
jak w zakazanej wariacji

Skazani na siebie
w cierpieniu dłoni splecionych
muskamy mglistą nocy ścianę
improvizując szaleńczo
Małą Miłość
skazaną na Wielką Klęskę

Aleksandra Biela (godło Królowa Śniegu)

* * *

brakuje mi słów
nie potrafię nazwać własnych
uczuć
przelać natrętnych myśli
na papier
nie pomaga grzebanie
w zakamarkach umysłu
ani pociąganie za język
nawet na jego końcu
nie czai się
nic konkretnego
serce niczego nie podpowiada
rozum też jakby o mnie
zapomniał
(i tak nie byłoby tu
dla niego miejsca)
chyba kiepska ze mnie
poetka
skoro nie znam
słów które opisałyby
pustkę

Aleksandra Biela (godło Królowa Śniegu)

* * *

chcę żyć w zgodzie
z ludźmi
dlatego
z pokorą przyjmuję
wszystkie złe słowa
znoszę
uderzenia
rzucanych kamieni
nadstawiam drugi policzek
czując jeszcze dziwne pieczenie
na pierwszym
nie odpieram ataków
nie bronię się
pozwalam dmuchać sobie w kaszę
wysłuchuję wszelkich zastrzeżeń
które potem
w nieskończoność brzmią w moich uszach
i dopiero wieczorem
przykładając zbyt ciężką głowę
do poduszki
uśmiecham się cierpko
przez łzy

Rzewność przedletnia

Kiedy zachód płacze,
toną jabłonie bez kwiatów
w kroplach rozpaczy.

Dni mijają powolnie,
treli nie słycać prawie,
smutek podcina żyły.

Kołyszą się drzewa,
lekko tańczą z wiatrem,
pijane.

A małe stawy na ulicach,
od lewej do prawej
przelewają
melancholii czarę ciężką.

Dna druzgocące biją po twarzy,
dotkliwie rzeźbiąc rany
na nowo.

Persona z wątlej pozytywki

plastrem miodu wciąż wyraźnym
byłeś podzielonym na tysiące słów,
choć nie czuję tego głodu,
czarnym palcem zapisuję znak.

zmęczonym okiem wykrzykuję
jak przysięgę poznany trend, któremu jestem
posłuszna,
na niezgodę haustem zagłuszam
uniżne wołanie.

z oddali nuty szeleszczą pomyślnie,
zatrwożona bywam mniej i więcej
zależnie od sezonu na rodzaj łąz.

Andrzej Jaczewski (godło Szekspir)

Puste pole, las w oddali.
Wołam, może ktoś usłyszy.
Nikt nie słyszy, serce pali.
Sam jedyny pośród ciszy.
Nikt nie słyszy, puste pola.
Echo się wśród pól tych niesie.
Jaka w życiu moja rola?
Co wołanie mi przyniesie?
Nikt nie słyszy, tylko las.
Stać i wołać, ile mogę?
Nic to nie da, leci czas.
Pora mi wyruszyć w drogę.
Będę szedł w stronę lasu.
Głucha cisza mnie poniesie.
Będę szedł choć mało czasu.
Co mnie czeka w tamtym lesie?
Las zielony mnie pochłonie.
Między drzewa się skryje.
Nie ma pustki, serce płonie.
Już wiem po co żyję.

Naprzeciw bestii stanął dzielny rycerz w zbroi.
Miecz dźrzy w dłoni i tarczę przy boku.
Choć smok straszny i wielki, on się go nie boi.
Spojrzał mężnie na niego i rzekł: Walcz smoku!
Poczwara oczami przewróciła ze złości,
Ogniem siarczystym strzeliła w wojownika.
Rycerz stał za tarczą pełen gotowości.
Poczuł jak ciepło przez tarczę przenika.
I ruszył hamując płomień gorące,
Ruszył pełen wiary, nadziei i męstwa.
Niebo było czyste i świeciło słońce,
Znak dla wojownika, znak dla zwycięstwa.
Gdy smok zobaczył, że ogień nic nie wskóra,
Wykonał skok na zbrojnego bohatera.
Czas jakby się zatrzymał, załśniła smocza skóra.
Wojownik był pewien, że oto już umiera,
Lecz szybko oprzytomniał i uskoczył na bok.
Zgubił tarczę, lecz miecz trzymał w dłoni.
Wstał prędko na nogi i wykonał skok.
Zadał cios potężny, tuż po bestii skroni.
Stwora aż zaćmiło to nagłe uderzenie.
Wojownik walnął ponownie w kark, aż gruchło.
Zamglone smocze oczy, na pysku zdumienie.
Rycerz dumnie stoi, a obok smocze truchło.

Sebastian Obszański (godło Jaki Many)

Baśń o którą prosisz

Prosisz mnie o starożytną baśń, chcesz ją usłyszeć.
Lecz ja znam ich wiele, zbyt wiele, by Ci opowiedzieć.
O bohaterach którzy marnie skończyli...
o wielkich miłościach gasnących w ciągu jednej chwili...
oraz te w których wszyscy długo i szczęśliwie żyli
Znam te o wielkich bohaterach,
którzy mając przed sobą niejedną przeszkodę szli dalej,
i kusili los aż w końcu dopełnili swój żywot.
Za życia w chwale, w śmierci zapomniani, umierali sami.
Znam te o gorących miłościach jakich nie znał zwykły świat.
O wielkich kochankach których imiona zna tylko wiatr.
O namiętnościach jakie przeżywali.
O próbie czasu, wierności którą przegrali.
Znam też o prostym człowieku, który podążając za marzeniami,
Zaufał sercu i jego wymysłami.
Choć przez innych odrzucony, niechciany
Osiągnął to czego wszyscy inni od życia żądali.
Znam też tę historię innym nie znaną
O prostym człowieku który spełniając marzenia
Spotkał kobietę z sennego wyśnienia
Lecz nie znam jeszcze jej zakończenia ...

My młodszy z końca XX w.

My młodszy rocznika 90.
My nie wstydzimy się Jezusa
walczyliśmy z laikami, wyznawcami Zeusa.
My co w naszych życiach widzimy terror.
My tak często walczyliśmy o krzyż,
i twierdzą nam każdy próg
ale pomagają nam Bóg.
Pniemy się w wierze wzwyż.
Uczymy się Kochać.
Szukamy prawdziwej miłości,
samotny krzyk to nie dla młodości.
My nie chcemy w pustce szlochać.
Nie pragniemy cywilizacji śmierci
eutanazja i aborcja to słabszych morderstwa
to najciemniejsza grzechu warstwa.
W naszych sumieniach dziurę wierci.
My chcemy być dobrzy, szczerzy, prości
nie chorzy, bezduszni, kłamliwi, sami
przez szatana w życiu omotani
My przeżyjemy życie z Bogiem w radości.

Wojciech Wojnar (godło dysztych)

Limeryk ichtiologiczny

Ichtiolożka na wczasach w Angorze
swawoliła raz z morskim węgorzem.
Chociaż zapach węgorza
trochę klimat psuł łoża,
długie ciało działało niezgorzej.

Limeryk żywiołowy

Żyje śmiałek w pobliżu Pasłęka,
co żywiołów się żadnych nie lęka.
„Czymże bowiem” – powiada –
„są powodzie, tornada,
przy mej żony humorach i jękach.”

Esencja

Ziarna piasku
przesypują się
energicznie i wytrwale

przewijają się przez życie
ludzie
i różne stworzenia

ludzie upadają
powstają
o własnych siłach

dzień noc
poranek wieczór
cisza i wiatr

z glinianego kubka gorącej herbaty
leniwie wypływa mgła
i znika w przestrzeni

Bartosz Konopnicki (godło Falco)

Słowa

zanurzona w miękkim fotelu
nie goni za lawiną słów

używa ich z ciepłem
wycuciem

opowiada o wypiekach
Starsza Kobieta
o składnikach
o słodkim finale

rozdaje naokoło wspomnienia
fotografie pamięci
rozsiewa ziarna słów z przeszłości
które wykiełkują w przyszłości

Starsza Kobieta
z lekkim zdziwieniem obserwuje ludzi
którzy gonią za chwilą
wylewając potok niepotrzebnych słów

Starsza Kobieta żyje chwilą

Do pokoju na świecie

Kiedy cię na świecie braknie,
solidarność ludzka blaknie,
wszyscy ludzie się mordują,
chore poglądy manifestują.
Za chleb odbierają życie,
tylko ciebie pragną skrycie..
Twój brak jest wynikiem wojen,
ludzie tracą wiarę, w istnienie twoje.
Bez ciebie nie ma cywilizacji,
bez ciebie nie ma tolerancji.
Choć odchodzisz od ludzi
coraz większym krokiem,
choć jesteś coraz dalej
z każdym nowym rokiem,
to ja wierzę że nigdy nie zanikniesz,
i do totalitarnych krajów wnikniesz,
że ludzie docenią wagę twego istnienia,
że nie dojdzie do twego unicestwienia.

Marika Sobczak (godło LIRA)

* * *

wącham Zieloną Górę
niemiecka cegła wita zapachem stęchłej zieleni

kto sadził grusze w ogrodzie w środku miasta
przybysz czy pośpieszny uciekinier
czyj to smak
nie wiem

a co to za motor
to drzazga czy fetor spaliny

biały kot

nasza miłość przesiaduje na tarasie
bez nas
pije kawę w dwóch filiżankach
ostatnio częściej słodzi
próbuję osłodzić gorycz rozstania
nie odzywa się do nas żadnym słowem

strzeliła focha

na wypłowiłym fotelu sąsiadów
siedzi biały kot

Świt radości

Radosna jest wiosna co roku
przegania mroźną zimę,
która zabawia się w malarza
i tworzy mnóstwo krajobrazów,
ale każdy mi to powie,
że wiosenna aura jest o wiele
piękniejsza budzi całą przyrodę,
która zaklina każdy dzień, aby przybył świt.

Beata Matyasik (godło Beacia)

Dziadek

Wielkie pokolenie pamięta
swoje dzieciństwo z czasów
drugiej wojny światowej
nie ma już rodziców i został sam
przez lata uczy się od obcych
poznaje ukochaną i powstaje
drzewo pokoleń przychodzą
wnuki, prawnuki a Jemu pozostają
same przyjemne chwile wspomina
na ławce w ciszy pierwszych oznak
wiosny zabawy w towarzystwie
nie swoich dzieci, które poszły w świat
a w podziękowaniu ma młodzieńcze
pokolenie, które rozjaśnia jego szary
dzień wie, że to jest jakiś nowy początek na lepsze jutro.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Głęboko w sercu – Eckehardt Gärtner

Wystawa zorganizowana w Filharmonii Zielonogórskiej dla uczczenia trzydziestu lat pracy charytatywnej honorowego obywatela Zielonej Góry na rzecz mieszkańców Zielonej Góry.

Rokrocznie w drugiej połowie września obchodzimy w Zielonej Górze Winobranie. W tym roku wśród licznych imprez kulturalno-sportowych przed uroczystym koncertem w dniu 13. września 2012 roku, w Filharmonii Zielonogórskiej otwarta została przez Prezydenta Zielonej Góry Krzysztofa Kaliszu-



Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Tief im Herzen – Eckehardt Gärtner

Jedes Jahr findet in der zweiten Septemberwoche in Zielona Góra/Grünberg das Weinfest statt. In diesem Jahr unter den zahlreichen Sport- und Kulturveranstaltungen wurde in der Stadtphilharmonie vor dem Festkonzert am 13. September eine ganz besondere Ausstellung: „Tief im Herzen Eckehardt Gärtner“ durch den Stadtpräsidenten von Zielona Góra Krzysztof Kaliszuk eröffnet. Die, von der Stadt mit Hilfe des Zentrums für die deutsche Sprache und Kultur der Universität Zielona Góra organisierte Ausstellung hatte die Losung: „Tief im Herzen“ Die Gäste begrüßte Herr Czesław Fiedorowicz, Präses der Euroregion Spree – Neiße - Bober. Über die ersten Kontakte mit der alten Heimat von Herrn Gärtner sprach sein großer Freund Pralat Konrad Herrmann, eine Laudatio hielt ebenfalls seit Jahren mit Herrn Gärtner befreundeter Direktor des Militärmuseums in Drzonów Herr Dr. Włodzimierz Kwaśniewicz.

Mit der Ausstellung und mit dem Konzert wollte man den Jubiläumstag der von Herrn Eckehardt Gärtner eingeleiteten deutsch-polnischen Aktivitäten zum Vorschein bringen.

Alles begann vor 30 Jahren als Herr Gärtner, selbst ein Grünberger (Jahrgang 1925) nach Zielona Góra/Grünberg kam. In Polen war der Kriegsstand. Es mangelte an vielen Sachen: u.a. an Medi-

ka bardzo interesująca wystawa pod tytułem *Głę-boko w sercu – Eckehardt Gärtner*. Organizatorem wystawy był Urząd Miasta oraz Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ.

Gości powitał Czesław Fiedorowicz, prezes Euroregionu Sprewa-Nysa Bóbr. O pierwszych kontaktach pana Gärtnera ze swoją starą ojczyzną, Grünbergiem, mówił długoletni przyjaciel pana Gärtnera, ks. Prałat Konrad Hermann.

Laudację na cześć Jubilata wygłosił zaprzyjaźniony od lat z panem Gärtnerem Dyrektor Muzeum Wojskowego w Drzonowie, dr Włodzimierz Kwaśniewicz.

Wystawa miała na celu ukazanie rozlicznych polsko-niemieckich akcji charytatywnych pana Gärtnera, które zaczęły się przed 30 laty, gdy Eckehardt Gärtner (urodzony w 1925 roku w Grünbergu) przyjechał do Zielonej Góry. W Polsce trwał wówczas stan wojenny. Brakowało wszystkiego; m.in. lekarstw, strzykawek jednorazowych, materiałów opatrunkowych, odżywek dla dzieci itp. Pan Gärtner dostrzegł wielkie potrzeby „moich współobywateli”, jak potem mówił o mieszkańcach Zielonej Góry i zdecydował się na zorganizowanie dla nich pomocy materialnej.

W Soltau, w swoim nowym miejscu zamieszkania zwrócił się o pomoc do przyjaciół. Byli to lekarze, farmaceuci, i wszyscy ludzie dobrej woli. Do pracy zdołał pozyskać też Niemiecki Czerwony Krzyż. Szczerze mówiąc, nikt nie odmawiał - wspomina Gärtner po latach. I tak zaczęły się comiesięczne transporty do Zielonej Góry. Łącznie było ich 333. Ale to Panu Gärtnerowi nie wystarczyło! Po pewnym czasie Pan Gärtner postanowił skontaktować ze sobą mieszkańców Soltau i Zielonej Góry: strażaków, wojskowych, artystów, muzyków, muzealników, urzędników, seniorów i uczniów. W Soltau i Zielonej Górze organizowano koncerty, spotkania, wystawy, imprezy sportowe itp.

Wśród licznych dokumentów prezentowanych podczas wystawy znaleźć można było: listy, certyfikaty, wyróżnienia, prośby i podziękowania, całe mnóstwo zdjęć i medale, które otrzymał Pan Gärtner. Były wśród nich następujące odznaczenia:



kamenten, Einwegspritzen, Verbandmaterial, Nahrungsmitteln u.s.w. Herr Gärtner sah die Not der Stadteinwohner, „meiner Mitbürger“, wie Herr Gärtner sie dann nannte und entschloss sich ihnen zu helfen.

Herr Gärtner sprach die guten Bekannten in seiner neuen Heimatstadt Soltau an:

es waren Ärzte, Apotheker, das Deutsch Rote Kreuz, und alle Menschen des Guten Willens. „Eigentlich sagte niemand ab“...erinnerte sich Herr Gärtner nach Jahren. Die Transporte mit Arzneimitteln, Süßigkeiten, Kuscheltieren, Nahrungsmitteln gingen jeden Monat nach Zielona Góra ab, insgesamt 333 Fahrten.

Aber es war für Herrn Gärtner nicht genug!

Herr Gärtner begann die Menschen aus Soltau und Zielona Góra in Kontakt zu bringen: Feuerwehrleute, Soldaten, Künstler, Musiker, Sportler, Muse-





Medal za zasługi dla Województwa Zielonogórskiego w 1990, Honorowe Obywatelstwo Zielonej Góry 1993, Bundesverdienstkreuz od Prezydenta Niemiec Richarda Weizsäckera w 1993, Krzyż Kawalerski od Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego 2000, Złote Serduszko od Hospicjum w Zielonej Górze 2004.

Pan Gärtner bardzo ceni sobie wszelkie dowody wdzięczności od instytucji, osób prywatnych, muzeów, szpitali i hospicjów, grup folklorystycznych, artystów, sportowców. Pan Gärtner wyznaje: – Czy jesteś Polakiem, czy Niemcem wszyscy jesteśmy ludźmi, i mamy tylko jedno życie, zróbmy więc w nim coś dobrego.

Pan Eckehardt Gärtner ma istotny wkład w dobru sąsiedzkie polsko-niemieckie kontakty. Wszyscy jesteśmy Mu bardzo wdzięczni.

umsleute, Beamte, Senioren und Schüler. Es wurden Konzerte, Begegnungen, Ausstellungen, Feste, Sportveranstaltungen, Aktionen auf beiden Seiten organisiert.

Die zahlreiche Dokumentation: Briefe, Zertifikate, Bitten, Danksagungsbriefe, Diplome, Presseauschnitte, Privatkorrespondenz, Geschenke, Auszeichnungen und Medaillen und jede Menge Fotos sind in den Vitrinen und Poster-Rahmen zu bewundern, darunter: die Verdienstmedaille der Woiwodschaft 1990, Ehrenbürgerschaft seiner Heimatstadt Zielona Góra 1993,

das Bundesverdienstkreuz am Bande vom Bundespräsidenten Richard von Weizsäcker 1993,

das Kavalierskreuz des Verdienstordens der Republik Polen vom Staatspräsidenten Aleksander Kwaśniewski 2000,

das Goldene Herz von dem Hospiz in Zielona Góra 2004.

Es sind allerlei Beweise von Institutionen, Privatmenschen, Museen, Krankenhäusern, Hospizen, Musikern, Sportlern, Folkloregruppen, wie sie Herrn Gärtner zu schätzen wissen.

„Ob Deutscher, ob Pole, wir alle sind Menschen und wir haben nur ein Leben, machen wir daraus etwas Gutes“ diesem Gedanken folgt Herr Gärtner.

Herr Eckehardt Gärtner hat seinen wesentlichen Anteil an der Verbesserung der deutsch-polnischen Beziehungen.

Wir alle sollen Herrn Gärtner dankbar sein.

Übersetzung von Barbara Krzeszewska-Zmyślony



Barbara Krzeszewska-Zmyślony

X Dni Niemieckie na Uniwersytecie Zielonogórskim. 12-18 października 2012

„Wspólnie w Europie
– gemeinsam in Europa“

X Dni Niemieckie na Uniwersytecie Zielonogórskim 12-18 października 2012, jak co roku, zainicjowało Centrum Kultury i Języka Niemieckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego (CKiJN UZ) przy udziale: Urzędu Miejskiego Zielonej Góry, Wydziału Artystycznego UZ, Polsko-Niemieckiego Centrum Promocji i Informacji Turystycznej w Zielonej Górze, Polsko-Niemieckiej Orkiestry Młodzieżowej z Frankfurtu/O i z Zielonej Góry, Zespołu Szkół Europejskich w Zielonej Górze dr. Rahn w Zielonej Górze, Zespołu Szkół Ekologicznych, Gimnazjum nr III, oraz LO nr V w Zielonej Górze, przedszkoli zielonogórskich, a także WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

W obchodach X Dni Niemieckich wzięło udział około 700 osób z Polski i 100 gości z Niemiec.

Honorowy Patronat nad X Dniami Niemieckimi objął Marszałek Województwa Lubuskiego.

Hasłem tegorocznych Dni brzmiało „Wspólnie w Europie - gemeinsam in Europa“.

Obchody rozpoczęła jak co roku „Akcja Jabłuszko”. Przeprowadzona została w mieście w dniu 12. października przez młodzież szkół średnich. Podczas tej akcji młodzież roznosiła jabłka z polskimi i niemieckimi mini-flagami do najważniejszych instytucji w mieście. W tym dniu w Polsko-Niemieckim Centrum Informacji i Promocji Turystycznej miał

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Bericht über den Verlauf der X. Deutschtage an der Universität Zielona Góra 12-18. Oktober 2012

„Wspólnie w Europie
– gemeinsam in Europa“

Die X. Deutschtage an der Universität Zielona Góra initiierte, wie jedes Jahr das Zentrum für Deutsche Sprache und Kultur der Universität Zielona Góra. An den X. Deutschtagen nahmen teil:

Stadtamt, die Kunstfakultät der Universität Zielona Góra, Deutsch-Polnisches Zentrum für touristische Förderung und Information, Deutsch-Polnisches Jugendorchester Frankfurt/O und Zielona Góra, Europäische Schulgruppe Dr. Rahn in Zielona Góra, Gemeinschaft Ökologischer Schulen in Zielona Góra, Gymnasium Nr.3 und Lyzeum Nr.5 in Zielona Góra, Kindergärten der Stadt Zielona Góra, Woiwodschafts- und Stadt Bibliothek namens C. Norwid in Zielona Góra.





miejsce wernisaż wystawy „Świat wycinanki Pani Eriki”. Pani Erika Schirmer, ur. w 1926 roku w Nettkow/Nietkowie koło Zielonej Góry. Pani Schirmer jest uznaną artystką, autorką piosenek i tekstów literackich dla dzieci. Obecnie mieszka w Nordhausen. Autorka, wraz z gronem przyjaciół była obecna na wernisażu i podczas warsztatów z udziałem uczniów z rodzinnego Nettkow/Nietkowa.

X Dni Niemieckie na dwa tygodnie przed wydarzeniami reklamował Plakat X Dni Niemieckie; wybrany został spośród 27 prac nadesłanych przez studentów UZ na Konkurs, który to został ogłoszony już w maju br. przez Instytut Sztuk Wizualnych Wydziału Artystycznych UZ. Nagrody pieniężne za trzy pierwsze miejsca w Konkursie na Plakat X Dni Niemieckich ufundował JM Rektor UZ prof dr hab. Tadeusz Kuczyński.

Plakaty wraz z katalogiem wernisażu „X Dni Niemieckich”, notesami i zaproszeniami na wystawę „Świat wycinanki Pani Eriki” zostały rozesłane do szkół i instytucji kulturalnych w mieście, a także do: ambasady RFN w Warszawie i RP w Berlinie, do redakcji „Schlesien heute” w Görlitz i Biura Promocji Turystyki w Cottbus, do Konsulatu RFN we Wrocławiu i Biblioteki w Peitz, do redakcji pisma „Dialog” w Berlinie i klubu „Kiwanis Frankfurt/O”.

15 października miał miejsce uroczysty koncert Niemiecko-Polskiej Orkiestry Młodzieżowej ze szkół muzycznych we Frankfurcie/O i w Zielonej Górze pod dyktando Hannesa Metzke z Musikschule Frankfurt/O i prof. Macieja Ogarka, oraz pana Bartłomieja Stankowiaka pracowników Instytutu Muzyki UZ.

An den Deuschtagen nahmen etwa 700 Gäste aus Polen und 100 Gäste aus Deutschland teil.

Die Schirmherrschaft über die X. Deuschtage nahm die Marschallin der Woiwodschaft Lubuskie über.

Ein Einstieg zu den Deuschtagen war die schon zum 10. Mal durch die Schulen am 12. Oktober durchgeführte „Apfelaktion”. Während der Aktion verteilten die Schüler Äpfel mit den deutschen und polnischen Mini-Fähnchen an die wichtigsten Institutionen in der Stadt. An dem Tag fand die Vernissage der Ausstellung: „Welt der Scherenschnitte von Frau Erika” statt. Frau Erika Schirmer wurde im 1926 in Nettkow/Nietków neben Zielona Góra geboren. Frau Schirmer aus Nordhausen ist eine anerkannte Künstlerin und Autorin von Liedern und Texten für Kinder. Nach Zielona Góra kam sie mit ihrer Familie und Freunden. Sie nahm an dem Workshop für Schüler aus ihrer Heimat Nettkow/Nietków teil.

Der Wettbewerb für ein Plakat für die X. Deuschtage wurde noch im Mai ausgeschrieben. Das beste Projekt, von den 27 Arbeiten, die die Studenten entworfen haben, wurde gedruckt. Die Geldpreise für die ersten drei Plätze hat der Rektor der Universität Prof. Dr. habil. Tadeusz Kuczyński gestiftet.

Plakate, Kataloge der Vernissage „Plakat der X. Deuschtage”, Notizhefte und Einladungen zur Ausstellung von Frau Schirmer wurden verschickt an: Schulen und Kulturinstitutionen in der Stadt an die Botschaft der BRD nach Warszawa und an die polnische Botschaft nach Berlin, an die Redaktion Schlesien heute in Görlitz, an das Touristik Büro in Cottbus, zum Konsulat in Wrocław, an die Bibliothek in Peitz, an die Redaktion des „Dialogs” in Berlin und zum Kiwanis Klub Frankfurt/O.

Am 15. Oktober fand in der Aula der Universität unter der Schirmherrschaft des Rektors der Universität Zielona Góra Konzert statt. Es spielte das Deutsch-Polnische Jugendorchester aus Frankfurt O. und Zielona Góra unter der Leitung von den Herren Maciej Ogarek, Bartłomiej Stankowiak (Zielona Góra), und Hannes Metzke (Frankfurt/O).

Das Konzert wurde dem deutsch-polnischen 15. Jahrestag des Kulturvertrags gewidmet. Die

Koncert poświęcony był XV rocznicy popisania „Umowy kulturalnej między RFN i RP”.

Wiersze podczas koncertu w języku polskimi niemieckim interpretowali uczniowie z Zespołu Szkół Europejskich dr. Rahm w Zielonej Górze. Koncert dodatkowo uświetnił chór Zielonogórski „Cantemus Domino”.

Przed Koncertem w hallu budynku UZ odbył się wernisaż prac nadesłanych na Konkurs na Plakat X Dni Niemieckich.

Na wernisażu obecni byli autorzy projektów „Konkursu na Plakat X Dni Niemieckich”, oraz prac nagrodzonych, goście z Niemiec, prezes Euroregionu S-N-B, a także gromadzący się goście udający się na koncert inauguracyjny X Dni Niemieckie. Wśród gości obecni byli prorektor ds. studenckich, prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski oraz profesor UZ Radosław Czarkowski z Wydziału Artystycznego.

W tym samym czasie otwarta też została wystawa „15 lat Centrum Kultury i Języka Niemieckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego” (CKiJN UZ).

Na koncercie obecni byli: prezes Euroregionu Sprewa – Nysa – Bóbr Czesław Fiedorowicz , prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski, rodzice młodzieży występującej z obu stron granicy, pracownicy Uniwersytetu, honorowy obywatel Zielonej Góry Ekehardt Gärtner oraz liczni mieszkańcy Zielonej Góry i okolic. Prof. W. Strzyżewski wręczył studentom, laureatom nagrodzonych prac Konkursu na „Plakat X Dni Niemieckie” w imieniu JM. prof. dr hab. Tadeusza Kuczyńskiego dyplomy.

Dnia 16 października przed południem Zespół Szkół Ekologicznych zorganizował konferencję: „Ucz się języka sąsiada”. Podczas konferencji odbyły się warsztaty dla nauczycieli z Cottbus i z Zielonej Góry. Uczestnicy zaapelowali o większe zwrócenie uwagi na konieczność wsparcia nauki języka sąsiada w naszym rejonie.

Przed południem w hallu Campusu B odbył się wernisaż wystawy „Życie muzyczne Dolnego Śląska na przestrzeni dziejów” z udziałem przedstawicieli Instytutu Muzyki w osobach prof. Macieja Ogarka, prof. dr.hab.Andrzeja Tuchowskiego, dr. Bartłomieja Stankowiaka, i dr. R. Ciesielskiego.



Schüler von der Dr. Rahm Schulgruppe haben die Gedichte auf Deutsch und auf Polnisch interpretiert. Zusätzlich sang der Kirchenchor „Cantemus Domino”.

Vor dem Konzert gab es Vernissage des Plakats. Gleichzeitig wurde die Ausstellung „15 Jahre des Zentrums für deutsche Sprache und Kultur der UZ” eröffnet.

Unter den Gästen des Konzertes waren anwesend: Prorektor der Universität Prof. Dr. habil. Wojciech Strzyżewski und Prof. Radosław Czarkowski - Kunstfakultät, Ehrenbürger der Stadt Zielona Góra Ekehardt Gärtner, Präses der Euroregion Spree – Neiße -Bober Czesław Fiedorowicz , Gäste aus Frankfurt/O und viele Stadteinwohner.

Prof. Dr habil.Wojciech Strzyżewski überreichte den Studenten (den Preisträgern) die Festschritte.

Am Dienstag in der Gemeinschaft Ökologischer Schulen wurde Konferenz „Lerne die Sprache des





Wystawę otworzył prorektor ds. Nauki i Współpracy z Zagranicą prof. dr hab. Janusz Gil. Po wystawie regionalista Wojciech Jachimowicz wygłosił wykład na temat zbiorów muzycznych we dworze Szyba. W wykładzie wzięli udział studenci i pracownicy Instytutu Muzyki. Dla wszystkich omawiane zbiory Pana Jachimowicza (szczególnie stare rękopisy nutowe) okazały się prawdziwą sensacją.

W środę, 17 października br., w Gimnazjum nr 3 miała miejsce akcja „Czy znasz to przysłowie?” W LO nr V odbył się turniej znajomości niemieckich zwrotów idiomatycznych.

W WiMBP im. C. Norwida we wtorek, środę i czwartek (16, 17, 18 października) miały miejsce po raz dziesiąty „Zabawy Językiem Niemieckim” dla przedszkolaków uczących się języka niemieckiego.

Wzięła w nich udział blisko setka dzieci z Przedszkola nr 3, z Przedszkola nr 11, z Przedszkola nr 6 i Niepublicznego Przedszkola Hukuna Matata.



Nachbarn kennen“ mit mehreren Workshops für die Fremdsprachenlehrer aus Cottbus und Zielona Góra organisiert.

Im Campus B wurde die Ausstellung „Musikleben in der Geschichte von Niederschlesien“ durch den Prorektor der Universität Prof. Dr. habil. Janusz Gil eröffnet. Dabei waren präsent die Vertreter des Musikinstituts der Universität: Prof. Maciej Ogarek, Prof. Andrzej Tuchowski, Dr. Bartłomiej Stankowiak und Dr. Ryszard Ciesielski. Herr Wojciech Jachimowicz, Autor der Ausstellung sprach über seine musikalischen Objekte, die er in seinem Haus in Szyba angesammelt hatte. Seine Informationen über die alten Notenbücher waren für die Zuhörer - Musikstudenten ganz besonders sensationell.

Am Mittwoch dem 17. Oktober gab es im Gymnasium Nr.3 eine Aktion nach dem Motto:

„Kennst du dieses Sprichwort?“. Im Lyzeum Nr.5 wurde Sprachturnier organisiert..

In der Woiewodschafts- und Stadtbibliothek namens C. Norwid fanden am 16, 17, und am 18 Oktober Veranstaltungen für die Vorschulkinder „Spiele mit der deutschen Sprache“ statt.

An den Spielen nahmen etwa 100 Kinder aus drei Kindergärten teil.

Im Rathaus wurde eine Ausstellung über die 15 Jahre der Kontakte der Kindergärten aus Frankfurt/O und Zielona Góra eröffnet.

Die Baustudenten sahen sich einen Dokumentarfilm: „Pakete der Solidarität“ an. Am Abend fand die Filmvorführung des Dokumentarfilms: „Leise gegen den Strom“ im Deutsch-Polnischen Zentrum für touristische Förderung und Information statt.

Alle Veranstaltungen während der Deutschtage waren für die Stadteinwohner zugänglich.

Die PR Spezialisten der UZ haben einen vierminütigen Dokumentarfilm über die Veranstaltungen der X. Deutschtage gedreht.

Informationen über die geplanten X. Deutschtage haben im September Ausgabe des Bulletins der UZ (2012), das Grünberger Wochenblatt, und die Studentenzeitschrift „UZetka“ gebracht.

Die Lokalsender: Radio Zachód, Radio Zielona Góra und die lokale Fernsehstation haben sechs Sendungen zum Thema der X. Deutschtage übergeben.

W czwartek w Polsko-Niemieckim Centrum Promocji i Turystyki została otwarta wystawa o 15-letniej współpracy Przedszkola nr 3 z Zielonej Góry z Przedszkolem Eurokita we Frankfurcie/O.

W ten sam dzień studenci Wydziału Budownictwa obejrzeni film dokumentalny „Paczki Solidarności”; po filmie odbyła się dyskusja. Wieczorem zaś odbył się w Polsko-Niemieckim Centrum Informacji i Promocji Turystycznej pokaz filmu dokumentalnego „Cicho pod prąd”. Wszystkie imprezy X Dni Niemieckich miały charakter otwarty.

Ponadto powstał 4-minutowy film TV nakręcony przez Dział Promocji Uniwersytetu Zielonogórskiego o wybranych imprezach tegorocznych X Dni Niemieckich.

Informację o planowanych X Dniach zamieściły: miesięcznik „Biuletyn UZ” (numer wrześniowy z 2012 roku), Grünberger Wochenblatt oraz „UZetka”.

Lokalne stacje radiowe: Radio Zachód i Radio Zielona Góra oraz lokalna TV wyemitowały w sumie sześć relacji na temat odbywających się X Dni Niemieckich.

W celach propagowania idei imprezy wykonane zostały: plakaty, katalogi na wernisaż plakatu X Dni Niemieckich, notesy z okładką plakatu X Dni Niemieckich, zaproszenia na Koncert i zaproszenie na wystawę „Świat wycinanki Pani Eriki”, plakaty zaprojektowane do 3 wystaw („Życie muzyczne Dolnego Śląska na przestrzeni dziejów”, „Świat wycinanki Pani Eriki”, „XV-lecie Centrum Kultury i Języka Niemieckiego”) oraz długopisy w kolorach flag: niemieckiej i polskiej. Przedmioty te zostały rozdane uczestnikom i gościom imprez podczas X Dni Niemieckich.

W podsumowaniu warto podkreślić korzystny wpływ tradycji organizowania „Dni Niemieckich” na rzecz współpracy z instytucjami kształceniowymi (przedszkola i szkoły) i kulturalnymi po obu stronach granicy: Polsko-Niemieckiej Orkiestry Młodzieżowej ze Szkół Muzycznych Zielonej Góry i Musikschule Frankfurt/O, Zespołu Szkół Europejskich dr. Rahn z Zielonej Góry Gymnasium Neuzelle oraz przedszkoli zielonogórskich..

Sponsorem X Dni Niemieckich był Euroregion Sprewa-Nysa-Bóbr i Uniwersytet Zielonogórski.

Als Werbematerial wurden vorbereitet: Plakat, Katalog für Vernissage des Plakats der X. Deutschtage, Notizhefte, Einladungen zum Konzert und zur Ausstellung Welt der Scherenschnitte von Frau Erika, drei Plakate: Musikleben in der Geschichte von Niederschlesien, Welt der Scherenschnitte von Frau Erika, 15 Jahre des Zentrums für die deutsche Sprache und Kultur der UZ. Dazu gab es Kugelschreiber und Aufkleber. Die Werbematerialien wurden an die Teilnehmer der Veranstaltungen verteilt

Zusammenfassend sollte die günstige Kooperation der Universität mit anderen Bildungs- und Kultureinrichtungen der Stadt und Region betont werden.

Es sind: das deutsch-polnische Jugendorchester von den Musikschulen Frankfurt/O und Zielona Góra, Schulgruppe Dr. Rahn und das Gymnasium Neuzelle, die Kindergärten aus Zielona Góra mit Deutschunterricht Nr.3, 6, 11 die mit Kindergärten in Brandenburg kooperieren.

Der Hauptsponsor der X. Deutschtage war die Euroregion Spree – Neiße- Bober.

Übersetzung von Barbara Krzeszewska-Zmyślony



Zbigniew Kulik

Tadeusz Różewicz w Górach Olbrzymich

Tadeusz Różewicz – poeta i dramaturg od wielu lat jest związany z Karkonoszami. Początki więzi poety z Karpaczem, niewielką górską miejscowością położoną u podnóża Śnieżki (1.602 m), najwyższego szczytu tych gór, sięgają lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Wtedy to, jako gość miasta, przyjmowany był po raz pierwszy przez ówczesne władze miejskie. A miało to miejsce w czasie odwiedzin u Henryka Tomaszewskiego, twórcy Wrocławskiego Teatru Pantomimy, który wówczas tutaj mieszkał. Spotkania te zaowocowały powstaniem pięknego wiersza *W gościnie u Henryka Tomaszewskiego w Muzeum Zabawek*.

(...)

Starych artystów dwóch – aktor i poeta –
spotkali się pod koniec wieku i mówią
o zabawkach milczą o człowieku(...)

Obaj wielokrotnie się tutaj spotykali. Poeta o tym mówił:

– Znamy się mało, ale dobrze. Od wielu lat myśleliśmy o współpracy. Ale nie mogliśmy się spotkać, zbyt zajęci własnymi warsztatami.

Kiedyś, po zwiedzeniu Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, Różewicz został poproszony o wpisanie się do pamiątkowej książki honorowej. Wertując ją, znalazł wpis wybitnej polskiej himalaistki Wandy Rutkiewicz. W roku 1979 muzeum zorganizowało wystawę czasową „Polka na szczycie



T. Różewicz

świata”, podsumowującą działalność wspinaczkową najwybitniejszej polskiej himalaistki, której ukoronowaniem działalności sportowej było wejście w dniu 16 października 1978 roku na najwyższy szczyt świata Mount Everest (8.848 m n.p.m.), jako pierwszej Europejki i trzeciej kobiety świata. Pamiątką po wystawie pozostał ten wpis:

Dziękuję za miłe uhonorowanie
mojego wejścia na Mt. Everest
wystawą, która przygotowana została
tak bardzo serdecznie przez Muzeum Sportu
i Turystyki

Wanda Rutkiewicz

Zainspirował on poetę do napisania utworu *Ga-węda o spóźnionej miłości*. Mistrz pióra pisał:

(...)

na uliczce prowadzącej do
Muzeum Sportu i Turystyki

w Karpaczu
trafiłem na ślad Wandy
ślad jej stopy
ślad jej ręki
ślad uśmiechu
(...)

Sam poeta o tym poemacie w czasie spotkania autorskiego w dniu 5 września 1997 r. w amfiteatrze przy Muzeum Sportu i Turystyki powiedział:

Zainteresowałem się skałami, roślinnością i historią. Natknąłem się na wpis Wandy Rutkiewicz i na jej fotografię. Na poemat składa się bardzo wiele elementów; krajobraz, elementy przyrody i oczywiście mojego stosunku do tego miejsca. Była ona tu, zdaje się tylko jeden raz. Stała się w jakiś sposób przez swoją śmierć osobą, która zaginęła i weszła do mitu. W jakiś sposób została wniebowzięta. Muszę powiedzieć, że choć Wanda Rutkiewicz mieszkała i chodziła do szkoły we Wrocławiu przez wiele lat osobiście jej nie poznałem. Byłem bardzo zafascynowany jej osobą. Była dla mnie, jako dla człowieka równiny, czymś niezwykłym. Była dla mnie zagadkową, niezwykłą istotą, choć była podobno bardzo zwyczajna. Włączyłem również wątek nieosobisty, bo jak mówię nie znałem jej i jak gdyby wprowadziłem jej postać w ten krajobraz już po jej śmierci. Zresztą to była operacja dość skomplikowana, poemat nazywa się *Gawędą o spóźnionej miłości*. Nie jest to spóźniona miłość do W. Rutkiewicz, ale do Karkonoszy, do krajobrazów, do roślin. Wanda Rutkiewicz występuje w tle, ale jest główną osobą tego poematu.

Rzeczywiście, Tadeusz Różewicz był prawdziwie zafascynowany Karkonoszami. We wstępnej części tego utworu poeta pisał:

liczę sobie
75 lat
i wypisz wymaluj
zakochałem się w Karkonoszach
które mają

około 450 milionów lat
zakochałem się w Górach Olbrzymich
(...)

Tą miłością poety do Karkonoszy zaskoczony był nawet przewodniczący Krajowej Rady Bibliotecznej, który zapraszając poetę na odczyt autorski do Biblioteki Narodowej w Warszawie, musiał podziwiać wielkie uczucie wieszczu do tych gór. Był zdumiony, ponieważ wcześniej Tadeusz Różewicz górami specjalnie nie interesował się. A proszony o napisanie wstępu do antologii wierszy o polskich górach, odmówił, oznajmiając, że one go nie obchodzą. W tym też okresie powstała humoreska *Dziwna i nieprawdziwa historia o spotkaniu z Ruebezahllem, czyli Janem Liczyrzepą w Karpaczu*.

Od 1996 roku po dzień dzisiejszy Tadeusz Różewicz przyjeżdża regularnie do Karpacza. Niechętnie udziela wywiadów, unika dziennikarzy. Bywało, że podczas kolejnych pobytów prosił o dyskrecję i o nienagłaśnianie jego obecności, by móc czuć się tutaj swobodnie. Na początku 2001 roku zrodziła się idea organizacji pierwszej wystawy w muzeum w Karpaczu, zdjęć dokumentujących górskie wizyty artysty pt. *Tadeusz Różewicz – poeta i dramaturg w Karkonoszach z okazji jubileuszu 80-lecia jego urodzin*. Potem były kolejne wystawy, a ostania zorganizowana została w 90-rocznicę jego urodzin w 2011 roku. Z tej też okazji został wydany album fotograficzny *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach* mojego autorstwa.

Dzisiaj w karkonoskim Muzeum Sportu i Turystyki urządzona jest duża witryna z najważniejszymi pamiątkami poety: trzy nobilitacje do nagrody Nike (1998, 1999, 2000) oraz sama nagroda Nike 2000 roku wraz ze „Srebrnym piórem i atramentem” w etui – nagroda czytelników w tym konkursie, cały szereg odznaczeń i wyróżnień, w tym Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”, „Berło Kultury Polskiej”, „Złoty Wawrzyn Olimpijski” przyznawany przez Polski Komitet Olimpijski i wiele innych bardzo cennych pamiątek.

Warto więc, będąc w Karkonoszach, odwiedzić Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, które zgromadziło i prezentuje pamiątki związane z tym wybitnym twórcą kultury polskiej.

RECENZJE I OMÓWIENIA

Powrót do pramaterii

Jacek Żeromski, *Szary kamyk*, Organon, Zielona Góra 2012, s. 32.

Dzisiejszy „rynek poetycki” nastawiony jest na ilość i tempo, zmuszony do wystawiania na sprzedaż czegoś, co zostało napisane wczorajszej nocy. Na wortalach poetyckich twórcy prześcigają się w publikowaniu tekstów. Ponadto każdy posiada głos eksperta. Jacek Żeromski pisze wiersze od około dwudziestu lat. *Szary kamyk* to jego debiut książkowy (wcześniej debiutował na łamach „Pro Libris”). Ta swoista powściągliwość może świadczyć o zdystansowaniu się wobec aktualnego wyścigu i dojrzałym traktowaniu poezji.

Świat poetycki Żeromskiego jest nieustannym przechodzeniem od mikro- do makroskali, a zarazem sytuuje się w obu tych wymiarach jednocześnie. Refleksja nad molekułą wody jest równolegle kontemplacją Wszechświata („Molekuła wody mnie przerasta i przygniata/ (...) Molekuła mnie opanowuje/ Dołącza do innych”). Poeta wręcz obsesyjnie powraca do kształtu kuli i koła (będących symbolami doskonałości). Wyraża się to w obrazach kamieni, kropel, szklanych kul i słońca. Koło oznacza także idealny ruch, który z kolei implikuje zmienność. Fluktuacja rzeczywistości nie odbiera jej harmonii, ale jest dowodem na doskonałą konstrukcję.

Minęła chwila
mikrocząstki przestrzeni
ułożyły się w nowy wzór
(...)

To co było wcześniej na skraju dwóch światów
stało się częścią harmonii krajobrazu

Rzeczywistość jest strukturą. Chcąc ją dogłębnie poznać, poeta zawiesza swoją wiedzę o świecie („Zanurzam się w wieczności/ jak dziecko patrzę z niska”). Poznawcze bariery wydają się warunkiem *sine qua non* poezji Żeromskiego. Powodują, że związek człowieka i rzeczywistości staje się doskonały. Koncepcja odczarowania świata Maxa Webera została wzięta w nawias i dzięki temu odbiorca może być świadkiem tajemniczych rytuałów („Dziś jest dzień tajemnych rytuałów/ zstępujący Anioł/ niosący na skrzydłach słońce i księżyc/ budzi życie”) i może też spotkać niezwykle postaci (mędrców, fauna, Anioła).

Inną właściwością świata poetyckiego jest kruchość i podatność na rozbicie, które wydobywają „szklane” epitety: „szklane grobowce”, „szklane drzewa”, „szklany ptak”, „szklane niebo”, „szklany świat”, „szklane organy”. Tak skonstruowanej rzeczywistości często towarzyszy echo („a białe chmury uderzają z echem o ziemię”), którego źródłem jest być może pustka („Pusty czas”). Czy szkło jest oznaką delikatności świata? Czy jednocześnie nie stanowi nieprzepuszczalnej tafli, która przed czymś chroni? W tym kontekście można zastanowić się jak wyglądałyby teksty Żeromskiego spoza tego hermetycznego zamknięcia.

Żeromski powraca do pramaterii na różne sposoby. Po pierwsze wyraźnie eksponuje żywioł wody. W wierszach przyjmuje ona postać wszechobecnej wilgoci spowodowanej deszczem, mgłą, obecnością morza lub jeziora („To miejsce wiatrem nawiedzane/ jest przygniatane wilgocią”; „wędrujemy za wilgocią/ za kroplami dżdżystego deszczu”). Innym sposobem powrotu do źródeł jest sięgnięcie po figurę kamienia („Człowiek w skupieniu/ potrafi uchwycić nieskończoność/ tak właśnie wraca do kamienia”). Motyw ten uruchamia bogate spektrum możliwości, ewokuje takie skojarzenia jak: nieskończoność, pamięć, przyczyna, milczenie, harmonia, mądrość i wiele innych¹. Właściwie wszystkie z przytoczonych znaczeń pojawiają się w tej poezji. Trzeba też podkreślić związek motywu z wcześniej przywołaną wodą („i tylko kamyk żyje póki co intensywnością/ kropel zimnej wody strumyka”). Ze studni w jednym z wierszy wydobywa się nie wodę, ale „kolorowe kamyki”, dzięki którym ludzie „będą dobrocią się obdarzać”. Kamień jest mędrcem, milczącym obserwatorem ludzkości („leży głaz tysiącletni/ mchem pokryty jak mędrzec”).

Teksty zielonogórskiego poety są astronomiczne. Można przez nie obserwować jak przez teleskop odległe gwiazdy i galaktyki. Słychać w tych wierszach

muzykę jakby Wszechświat nie był niczym innym tylko muzyką właśnie („Jestem w środku molekuly kropli/ i słyszę cichą muzykę”), która tłumaczy nieskończoność („Transkrypcje dźwięków tego świata/ składają się na tryptyk wieczności”). Wiadomo, że istnieje możliwość usłyszenia fal grawitacyjnych w kosmosie. Żeromski posiada wrażliwość, która pozwala mu odbierać te szepty. Inspiruje się – jak sam przyznaje – muzyką elektroniczną takich twórców jak Steve Roche, Klaus Schulze, Alio Die. Warto zauważyć, że utwory zebrane w tym arkuszu poetyckim nie posiadają tytułów. Wydają się przez to bardziej abstrakcyjne, rozpoznawalne tylko poprzez incipity. To odbiorca nazywa te teksty i ma dzięki temu okazję uczestniczyć w odkrywaniu Wszechświata.

Debiut Żeromskiego jest ciekawy i nie można go przemilczeć. Zdarzają się w tych wierszach patetyczne sformułowania i spiętrzone metafory, ale, wskazując te braki, trzeba docenić interesującą wizję świata, którą poeta przedstawia własnymi niezapóżyczonymi słowami. Oby dalej pytał i dalej nie znajdował odpowiedzi.

Mirosława Szott

Wolnym krokiem słów

Czesław Sobkowiak, *Powieść ze snu*, Aprint, Zielona Góra 2012, 84 s.

Powieść ze snu to najnowszy z kilkunastu dotąd wydanych książek poetyckich Czesława Sobkowiaka. Trochę ponad osiemdziesięciostronicowy tomik zawiera całkiem pokaźny zbiór wierszy i ukazał się w Zielonej Górze w 2012 roku.

Autor książki pisaniem zajmuje się od lat. Urodził się w roku 1950, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim, a jego debiut poetycki miał

miejsce w 1967 roku na łamach „Nadodrza”. Od tamtego czasu niemal nieprzerwanie zajmuje się poezją, prozą i krytyką literacką. W latach 1977-92 był członkiem Związku Literatów Polskich, od 1992 roku należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jego utwory niejednokrotnie były nagradzane w różnych konkursach, a zaznaczyć należy, że formy, jakimi operuje Sobkowiak, są niemal nieograniczone. Pisze

¹ W. Kopaliński, *Słownik symboli*, Warszawa 2006, s. 136.

zarówno poetyckie miniatury, jak też dłuższe teksty o charakterze opisowym bądź narracyjnym, nieobce są mu utwory o charakterze kolokwialnym. Ma na swoim koncie też wiele recenzji, omówień, wstępów do antologii i książek poetyckich, esejów i felietonów radiowych.

Bogactwo tych artystycznych doświadczeń przekłada się na każdy kolejny tomik Czesława Sobkowiaka. Każdy z nich jest dojrzalszy, odrobinę inny, po prostu lepszy. Najnowszy z nich – rzeczona *Powieść ze snu* to istna perełka. Starannie wydana, z Vermeer’owskim obrazem na okładce, aż woła, żeby wziąć ją do ręki i otworzyć. A wewnątrz również nie rozczarowuje. Jak to zwykle u Sobkowiaka bywa, wiersze zamieszczone w tym zbiorze składają się głównie z opisów rzeczywistości – tej najprostszej, tej, która otacza nas na co dzień. Taki obraz wyłania się choćby z pierwszych linijek utworu *Jest kwiecień*: *Jest miesiąc kwiecień piszę fragment życia / Piórem ręką na kartce na stole wieczorem. Bez zbędnych słów poeta rysuje nam obraz, który właśnie go otacza. Albo jak w wierszu *Jechaliśmy rowerami*: *Jechaliśmy rowerami przez las / Chwilami szybko / Koła podskakiwały / Łańcuchy zgrzytały. Tu nie trzeba się zastanawiać, rzeczywistość i wspomnienia podmiotu lirycznego opisywane są wprost. Ta poezja nie zadaje wielu pytań, nie ma w niej miejsca na przydługie filozoficzne refleksje. Czytając utwory Czesława Sobkowiaka, odbiorca nie musi się zastana-**

wiać, może chłonąć zarysowane lekkim piórem obrazy i przemyślenia. Nazwałabym je nawet konstatacjami, bo poeta sam w jednym z wierszy zauważa: *Napisałem zapach kartofli / I jaskółki nad wodą kanału (...). Doświadczyłem magii słońca wody obłoków drzew i słów / Ani jeden podmuch wiatru nie był pomyłką / Wyjaśniało się co można otrzymać / Tutaj doszedłem i zabrakło drogi (*Już*). Zatem, kiedy napisało się już to, co było do napisania, można poświęcić się spokojnej obserwacji i opisywaniu świata. To opowiadanie *wolnym krokiem słów*, jak pisał inny lubuski poeta, Marek Grewling. Taki właśnie „wolny krok słów” Sobkowiak opanował niemal do perfekcji.*

Poeta nieraz stosuje w swoich utworach dużo przymiotników, a jak mawiał Konstandinos Kavafis: „Przymiotnik osłabia wypowiedź i jest słabością”. Myślę jednak, że w przypadku Czesława Sobkowiaka jest to zabieg zamierzony, bowiem nie da się opowiedzieć, unikając przymiotników, a jak już wspomniałam wcześniej, wiersze tego twórcy są w dużej mierze opisami otaczającego świata.

Wszystko w tej książce jest dopracowane, okładka pasuje do zawartości, a nastrój panujący w wierszach udziela się ich czytelnikowi. Twórczość Czesława Sobkowiaka to znakomity przykład na to, że ilość i jakość mogą ze sobą współgrać.

Kinga Mazur

Na szczęście

Krzysztof Koziołek, *Instrukcja 0066, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2012, 358 s.*

Nowy rok zbliża się nieuchronnie stąd w każdym najmniejszym nawet przedsiębiorstwie, w każdej firmie i zakładzie nieustannie narady pracowników, zarządów i kierownictw, konferencje i posiedzenia, długie posiedzenia, referaty o wynikach minionego roku, odczytywanie wyników, wskaźników i prognoz; a wszystko to po to aby bilans roczny wypadł jak najkorzystniej

a wizje kolejnego roku nie straszyły kryzysem. Nic w tym dziwnego, jednak nie ma co ukrywać dla szeregowego pracownika zarządu jest to doświadczenie graniczące z traumą. Tak samo jest w moim przedsiębiorstwie. Siadam więc (jak zwykle od lat) w ostatnim rzędzie podczas ważnych narad KRC i... właśnie: „Co robić?” cytuję sam sobie Czernyszewskiego.

Krzysztof Koziołek jest autorem książki *Instrukcja 0066* wydanej w Manufakturze Tekstów. Pisarz choć młody wiekiem – już dał się poznać jako autor sprawnie napisanych sześciu powieści w kryminalno-polityczno-społecznych kontekstach. „Instrukcja 0066” ma jednak niezaprzeczalny atut. To powieść osadzona w realiach polskich do immentu. Dla lubuskiego odbiorcy smaczkiem jest osadzenie akcji kryminału na pograniczu polsko-niemieckim naszego województwa. Choć nazwy miejscowości zostały z premedytacją zmienione z obiektywnych powodów – jakże miło odkrywać jakie to miasta czy wsie odwiedzali policjanci i bandyci. Nie będę zdradzał czytelnikowi szczegółów intrygi, powiem jedynie, że Koziołkowi udało się nakłonić do zwierzeń byłego funkcjonariusza Policji Państwowej, który opowiedział o polskich drogach losu policjanta, który na własne nieszczęście postanowił być uczciwy i nieprzekupny. Reszty nie trzeba się domyślać – resztę warto po prostu przeczytać. Autor nie kusi amerykańskim „szczęśliwym końcem”. Tym razem nie w finale powieści pana Krzysztofa tkwi smak lektury jego dzieła. Otóż na pustyni prozy polskiej (do-

dajmy – z wyjątkami) pojawił się autor, który potrafi swoim dziełem przyciągnąć czytelnika. Nawet ten kto nie jest fanem kryminału przeczyta tę powieść z zainteresowaniem. Dla czytelnika z pożytkiem, dla krytyka z satysfakcją. Krzysztof Koziołek jest niewątpliwie chlubą lubuskiej prozy, a swoją ostatnią powieścią utrwalił pozycję lidera na tej niwie. A należy zaznaczyć, że niwa prozy jest trudna i wymaga opanowania warsztatu, narracji i zmysłu logicznego. To wszystko daje się u autora *Instrukcji 0066* dostrzec i docenić zarazem.

Zatem, gdy podczas wionących nudą narad i posiedzeń KRC siedzę sobie w moim ostatnim rządzie, nikt mnie pyta o zdanie nie zamierza bo wskaźniki i tak mają rosnąć a mądrzejsi bossowie wiedzą o tym lepiej ode mnie, przestają słuchać monotonnego recytowania urzędowych formuł. Zajmuję wygodną pozycję i biorę się za lekturę książki Krzysztofa Koziołka z Nowej Soli. Konferencja będzie długa. Na szczęście *Instrukcja 0066* liczy sobie 358 stron.

Marek Grewling

Zwyczajność odchodzenia

Jerzy Hajduga, *Powieki wieków*, Nowa Pracownia, Poznań 2012, 40 s.

Od pewnego czasu obserwuję przechodzącą przez poezje fale fascynacji śmiercią. Pisanie o śmierci zrobiło się modne i jakby wręcz obowiązkowe, jeśli wierszowi chce się przydać znamion wagi i powagi głosu. A czasami być nagradzanym. Co zrobić? Można tylko liczyć na to, że tego typu maniera kiedyś minie. Z drugiej strony, dający się odczuć klimat ewidentnego kończenia się dawnej epoki, dawnych pojęć, wartości, też wpływa na tego typu podejście do tworzenia. Pamiętamy zarazem, że rodzice wielu poetów po prostu umierają. Także koledzy i przyjaciele. I to boli. Jedną z reakcji jest wyrażenie w wierszu lub w całej książce tego skomplikowanego od-

strony emocjonalnej faktu. Który zawsze wyostrza widzenie świata. Wyrażenie żalu urasta do kategorii obowiązku. Tak też ma się rzecz w najnowszym zbiorze Jerzego Hajdugi, poety z Drezdenka, będącego zarazem osobą duchowną. *Powieki wieków* przynoszą sporą garść wierszy, w których wyraźnie zaakcentowaną dominantą tematyczną jest choroba i śmierć matki poety. Wokół tego zagadnienia i doświadczenia budowane są niemal wszystkie teksty. Podstawową formę stanowi notatka, urywek zdania, krótkość wypowiedzi. W ten sposób przywoływana jest „mama” w tych szczególnych, ostatnich sytuacjach. Przy tym bez zadęcia eschatologicznego,

patosu, ale zwyczajnie, bez poetyczności. Jest jednak tylko epizodycznie przywoływana, bez tła, szerszego rysu biografii, i kontekstu innych sytuacji i rekwizytów. To może dobrze. Ale czy na pewno? „Mama” Hajdugi, w wyniku wyselekcjonowania jej umierania z szerszego kontekstu, została jakby pozbawiona osobowości, matczyności, twarzy. I to zdaje się budzić wątpliwości, bo będąc synem, widzącym odchodzenie, w końcu śmierć, w gruncie rzeczy przyjmuje to wszystko, co się dzieje, dość oschle. I powierzchownie. Coś tu mi nie pasuje. Tu aż się prosi, aby ten obraz był bardziej wypełniony realiami, nasycony dramatem. Większą dawką wizualizacji. Oczywiście poeta stara się pokazywać niektóre detale, rzeczy - ów ręcznik, pościel szpitalną, klepsydrę, łóżko pod ścianą, trumnę, cmentarz. No i rysy swojego codziennego życia. Ale moim zdaniem zaprezentował raczej poetykę minimum, która nie jest w stanie udźwignąć tej niezwykłej zwyczajności umierania, która zdarza się w życiu człowieka tylko raz i nie jest nigdy powtarzalna. Oszczędność wyrazu, powstrzymywanie emocji z założenia słuszne, nie powinno zubożać tematu. Temat mógłby uderzyć, a nie uderza. Szkoda, że ta pożegnalna nuta nie zostaje tu głębiej rozwinięta, bo czasami jednak powinna. Dla poety priorytetem jest przemilczenie własnego bólu, synowskich odczuć. Zapewne za-

miarem było wzmocnienie wymowy przekazu. Tak chcę to rozumieć. Sytuacji mają sprostać ujęcia w rodzaju: „sięgnąć po ręcznik higienicznie / na sznurze / takie twoje odchodzenie” lub: „a ty jedyna / pod kołderką / na poduszce”. Dramat jest, gdzieś dalej jest, schowany w tle, w niedopowiedzeniu. Wymaga więc lektura tego tomiku pewnego wysiłku od czytelnika, bo sporo musi on sobie sam uzupełnić. Taki to jest zbiorek, jakby zapiski dni, zwięzłe przywołania, czynione na bieżąco, ale i z perspektywy czasu, gdy: „Rodzisz mnie po latach”. I jeszcze jedna rzecz. W tym zbiorze gdzieś od strony 29 został urwany temat „mamy”. Nagle dalej Hajduga помещa teksty nawet iście komiczne: „w krzakach babcia klozetowa leży”. Zgłaszam tu swoje kategoryczne czytelnicze „nie”. Taki zgrzyt nie licuje z powagą wcześniej помещonych utworów. Można odnieść wrażenie, że książeczka, niewielka zresztą objętościowo, została zredagowana pośpiesznie, jakby na siłę. I tego nie da się niczym przykryć. Okładka też mogła być ciekawsza plastycznie. Potwierdza się prawda, że złożenie dobrej książki z wierszami wiąże się z wielkim wysiłkiem artystycznym i myślowym. A to i tak nie zawsze gwarantuje jej docenienie i zaważenie.

Czesław Sobkowiak

Na krawędzi niepoznawalnego

Krzysztof Andrzej Jeżewski *Światłość u progu*, Sopot 2012, Biblioteka „Toposu”, T. 79, 72 s.

Wystarczy przeczytać notę „O autorze”, dotyczącą Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego, помещoną w najnowszym zbiorze wierszy *Światłość u progu*, by zdać sobie sprawę, że mamy do czynienia z bogatą, momentami dramatyczną biografią, tudzież z dużej miary dorobkiem twórczym. Widać, że podejmowana przez wiele emigracyjnych lat życia praca na polu literatury przyniosła znaczące dokonania eseistyczne, także w sferze przekładu ważnych

dzieł literatury polskiej (zwłaszcza dzieł Norwida) na język francuski, a także zaowocowała kilkunastoma autorskimi zbiorami poezji. Dodać trzeba, że poeta ten dołożył także swoją przekładową cegiełkę do dorobku lubuskiego poety. Z tego powodu nawet gościł w Bibliotece im. Norwida w Zielonej Górze na „czwartkowym” spotkaniu autorskim w maju 2005 roku. I jak to wyglądało niektórzy być może pamiętają. Jego żywioł twórczy i aktywność na wielu polach

kultury, zarazem erudycja, może budzić podziw. Za tym wszystkim stoi wytrwała praca. Poczucie misji do wypełnienia. Jeżewski jako poeta podąża ciągle ku czemuś nowemu. Rozwój poetycki, który można dostrzec, to zmierzanie do wyrażenia pełni swojego światopoglądu. Najpierw w wysokie regiony ducha zdawał się wkraczać poprzez treści czerpane z malarstwa i muzyki. Tam znajdował swoje duchowe niebo dla własnej poezji. Ale czytelnik z łatwością zauważy, że z tomu na tom poeta upodmiotowia swoją filozofię i przeżycie. To nie pozostaje bez wpływu na formę wyrazu jak i język. Można rzec, że zstępuje z piedestału wysoce symbolicznego obrazowania, ku treściom bliskim egzystencjalnie i zmysłowo. Podmiotowe doświadczenie przenicowuje w dyskurs intelektualny. Język przybiera bliższy tonacji języka mówionego oraz prozy. I jest to słuszniejsze, bo bardzo współgra z duchem czasu. Poeta wychodzi na pierwszy plan, nie ukrywa się za figurami stylistycznymi. Następuje przekonywujące połączenie indywidualnego życia z refleksjami lub wywodami natury ogólniejszej, do których stara się ciągle wracać. Do swojej metafizyki istnienia, dziejów, kultury oraz życia człowieka. Oczywiście te motywy stanowią dla niego niewyczerpane źródło. Na tych podwalinach wspiera się cała problematyka jego drogi artystycznej. Nie od rzeczy jest dodać, że filozoficznie nawiązuje do różnych postaw chrześcijańskiej myśli, różnych jej przedstawicieli, a w poezji zwłaszcza do tradycji romantycznej. A więc odwołuje się zwłaszcza widocznie do Norwida i Słowackiego, ale i Biblii. Już w tytule mamy „światłość” a nie światło. Akcent jest wyraźnie biblijny i mistyczny jednocześnie. Światło jest postrzegane, a ku światłości się dąży. Tu poeta nie pozostawia żadnej wątpliwości. Dążenie dotyczy przyrody, człowieka jak i dziejów – powiada poeta: „wznosisz ramiona ku słońcu / jak drzewo”. Człowiek nie jest samotny o ile to przeznaczenie i ten sens odgaduje. W mistycznym wtajemniczeniu jest w stanie dochodzić sekretów istnienia, ale przy pomocy narzędzi artystycznych takich jak: malarstwo, muzyka (ceniona najwyżej) i poezja, będących „urodą stworzenia”, zdolnych „uśmierzyć / moje pragnienie”, wszelkie osobiste niedosyty, lęki, itp. nadaje światu charyzmatyczny, najwyższy, możliwy do osiągnięcia

wyraz. Wyraz, który sygnalizuje niebagatelność otaczającej rzeczywistości. Sprzeciwia się współczesnemu nihilizmowi (*Nasze czasy, Bezdroża*) gdzie „pustynne manowce, / gdzie bezduszna głusza, / martwota”, „lodowate słońce / tłucze się po niebie”. Ma miejsce zaprzeczenie sensu i odejście od wartości czy hierarchii. Z ochotą trawestuje mickiewiczowski sprzeciw: „Nie ufaj swemu szkiełku i oku / Wierz tym, którzy mają wzrok drugi. / Którzy w Widzialnym / widzą / Niewidzialne”. Taka jest esencja – powiedziałbym – tej poezji. Jest w niej zawarta wiara w cel ostateczny stworzenia i dziejów człowieka, czyli w *Nieuniknione*. Bowiem świat nie błąka się „bezmysłnie”. Umocowany jest kosmicznie w nieodgadnionym. Można rzec, że Jeżewski polemizuje ze współczesnością, dla której priorytetem jest konsumpcja i materializm, utylitaryzm. Zawężenie obrazu. W poezji przeprowadza szeroką batalię przeciw ograniczeniom racjonalizmu. Sprzeciwia się sekularyzmowi okaleczającemu duchowość człowieka. Wiersz *Kartezjanie* nieprzypadkowo opatrzony został takim mottem Henri Michaux: „Trumna jego wiedzy ograniczyła mu rozum”. Stoi za tym istotny niepokój duchowy. Charakteryzujący przecież na różny sposób całą dwudziestowieczną literaturę. Swoistą czułość intelektualną manifestuje, gdy przywołuje swoje doświadczenia duchowe, mające źródło w spojrzeniu iście franciszkańskim. Wzruszający jest np. *Pogrzeb Mozarta*. Nie sytuuje się tedy poezja Jeżewskiego na anachronicznych pozycjach. Dotyka sedna spraw. Przywołuje sędziwego mędrca (*Moje drzewo chlebowe*) bądź tych, co „porzucili dom / aby wybrać drogę”. Nie jest na pewno jej żywiołem fascynacja destrukcją, opustoszeniem, wyjałowieniem, erozją. Wyjaśnia: „Wy chcecie go zniszczyć? / Ot tak, w jednej chwili.”. Chodzi o świat. Ma poeta świadomość zagrożeń, ale fascynuje i ożywia go wewnętrznie mentalne, emocjonalne, filozoficzne wychylenie się ku temu, co nieskończone i niepoznawalne, dobre i piękne. I wielkie w humanistycznych postawach. Wspiera się w tym celu wieloma mottami. To, co jest dla niego i przez niego gloryfikowaną, uniwersalną „światłością”.

Czesław Sobkowiak

Kunst i dynamika

Beata Patrycja Klary, *Zabawa w chowanego*, Wydawnictwo „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2011, 68 s.

Nazwisko Beaty Patrycji Klary dość często pojawia się w protokołach konkursów literackich, w relacjach z konkursowych podsumowań. I nie są to wyłącznie lokalne konkursy. Wystarczy przywołać „Czerwoną Różę” w Gdańsku czy „Połów Poetycki” w Gdyni. Wiersze tej dość młodej (rocznik 1976) poetki podobają się jurorom.

Witraże, Imaginacje, Szczekanie głodnych psów – już we wcześniejszych tomach poetka nawiązywała nie tylko do tradycji literackiej, ale i do filmu czy malarstwa. *Zabawa w chowanego* to według mnie książka dużo lepsza, dojrzalsza nie tylko od *Szczekania głodnych psów*, ale i od wcześniejszych tomików Klary. Poetka przeszła długą drogę: od czasem częstochowskich rymów i irytujących wielokropków do dojrzałego, poruszającego pisania na temat niezwykle trudny. Widać tę drogę również w wersyfikacji: od krótkich wersów *Witraży* przez dwa kolejne tomy aż do długich fraz królujących w *Zabawie w chowanego*.

W najnowszym tomiku Klary kontynuuje zakorzenioną w literaturze polskiej tradycję poezji funeralnej. Wskazuje na to już motto książki: cytat *Trenu X*. Do twórczości Jana Kochanowskiego Klary nawiązywała już we wcześniejszych tomikach, pisząc o lipie czarnoleskiej. Nietrudno więc dojrzeć w kunsztownie skomponowanej *Zabawie w chowanego* echo *Trenów* Mistrza z Czarnolasu. W *Zabawie w chowanego* zastosowana została kompozycja antyczna – poza ostatnią, dodaną przez autorkę, częścią, której odrębność wyraża się na różnych płaszczyznach: poprzez oddanie głosu zmarłemu (podmiotem lirycznym jest zmarły ojciec), w warstwie wizualnej (wyraźnie krótsze wersy). Długie frazy i wolne tempo kontrastują z dynamizmem ostatniej części książki.

Poetka nie tylko nawiązuje, ona podejmuje dialog z tradycją. Na konfrontację z Kochanowskim wskazuje podwójne motto, dwa kontrastujące ze sobą cytaty: cytat Kochanowskiego oraz autocytat. Klary wypowiedziała się w jednym z wywiadów, że *Zabawa w chowanego* miała być „dekonstrukcją

Kochanowskiego”. Z jednej strony silne nawiązanie przez zastosowanie klasycznej formy, z drugiej – demontowanie, przez indywidualny styl autorki, a także przez dodanie ostatniej części *transformatio* – przestoczenie. Dlaczego Kochanowski? Według Klary, układ trenów zastosowany przez Mistrza z Czarnolasu odpowiada procesowi żałoby po zmarłym.

Zabawa w chowanego. Kto nie rozszyfruje tytułu od razu, na tego czeka w *Trenie XVI* jego rozwiązanie: *Pochowałeś matkę, ja pochowałam ciebie, ktoś pochowa mnie*, które przypomina nieco dziecięcą wyliczankę. Czarne tło stron tytułowych poszczególnych części współgra i z tematyką wierszy, i z samymi tytułami cząstek kompozycyjnych tomiku (są zapisane po polsku i łacinie).

Kształt tomiku podyktowany został przez długość wersów. Podobnie było w przypadku debiutu Klary, gdzie z kolei teksty były zdecydowanie krótsze. Najnowsza książka formatem przypomina zeszyty nutowe.

Zabawa w chowanego przypomina mi Annę Agatę Tomaszewską i jej *Lokomotywy, wagony, sukienki*, w których poetka, podobnie jak Klary, w sposób powściągliwy i jednocześnie poruszający pisała o śmierci rodzica (u Tomaszewskiej były to opisy umierania matki). Jest różnica między tymi poetkami – w przypadku Klary śmierć nadeszła nagle, niespodziewanie; Tomaszewska opisuje właściwie nie śmierć, a właśnie umieranie, które jest powolnym procesem, przygotowaniem do śmierci.

Przyjrzyjmy się pierwszemu trenowi Klary. Ujęty on został w klamrę, tak jakby podmiot liryczny wiersza wiedział, że pod koniec owego dnia otrzyma telefon o śmierci ojca. *Zaczyna się dzień, w którym coś powinno się stać (...)* *Kończy się dzień, w którym coś powinno się stać*. Właściwie można by odpowiedzieć: Każdy dzień może być dniem, w którym coś powinno się stać. Wypełniają ten wiersz opisy powszechnych, prozaicznych czynności: zerkanie na barometr, a zaraz potem podglądanie Moniki Belucci na monitorze komputera. Pewni znajomi już

nie żyją – być może podmiot liryczny, wspominając ich, zadaje sobie w duchu pytanie: Kiedy przyjdzie czas na moich najbliższych? A na mnie? *Lepiej jest (...) umierać zimą*, stwierdza PL.

Warto pochylić się nad wersyfikacją pięciu pierwszych części *Zabawy w chowanego*. Układ sylab w wersach przykładowego trenu: *Tren XII: 25-26-30-26-6-16*. Przedostatni wers jest zdecydowanie krótszy od pozostałych. To zjawisko powtarza się w tomiku wielokrotnie. Czasem krótszy wers składa się zaledwie z dwóch sylab, czasem jest ich trochę więcej, ale zawsze kontrastują owe wersy z resztą wiersza. Operując długością wersu autorka chce być może wprowadzić ostry dysonans, mocne zaburzenie w długich, „płynących” frazach. I efekt ten Klary uzyskuje, spytać jednak można, czy nie uzyskuje tego w sposób zbyt nachalny? Zauważmy, że już w *Szczekaniu głodnych psów* środek ten jest stosowany. Czy nie jest on używany zbyt często, co osłabia jego działanie? Pozostawione w osobnym wersie słowo „cisza” aż krzyczy; czyż nie byłby to krzyk głośniejszy, gdyby nie powtarzał się on wielokrotnie w tomiku? Uwagi te kreślę ze znakiem zapytania, gdyż są one bardzo subiektywne.

Na tomik składa się sześć części, choć właściwie powinienam napisać „5+1”. Część ostatnia wyraźnie odcina się od pozostałych, można powiedzieć, że tomik składa się z dwóch części, a ta pierwsza – z pięciu odcinków, które dzielą się z kolei na poszczególne treny. *Wciąż mi się ręce trzęsą*, tak Klary kończy *assuesco* – przyzwyczajanie się, po czym następuje ostatnia część i – nowa numeracja trenów. Każdy rozpoczyna się teraz frazą *posągi są wszędzie*. Podmiotem lirycznym nie jest już córka, a zmarły ojciec. Snuje on opisy, wspomnienia, takie jak narodziny córki czy pierwsze trudne pytanie, jakie córka zadała ojcu – o miłość.

Zdecydowanie krótsze słowa w puentach wierszy Klary to zabieg stosowany przez poetkę już w *Szczekaniu głodnych psów*. Można się zastanawiać, czy wielokrotne użycie tego środka nie osłabiło jego oddziaływania na czytelnika, czy gdyby został zastosowany w jednym, góra dwóch wierszach *Zabawy w chowanego*, nie byłoby to dla tomiku korzystniejsze. Według mnie jest to jedyny minus najnowszego tomu Beaty Patrycji Klary.

Dorota Grzesiak

Wokół literackiej nagrody Nobla 2012

Mo Yan, 41 bomb; Klan czerwonego sorga; Kraina wódki; Obfite piersi, pełne biodra.

Jak co roku, w październikowy czwartek, o godz. 13.00 stały sekretarz Akademii Szwedzkiej (od czerwca 2009 roku jest nim prof. Peter Englund) ogłosił nazwisko laureata Literackiej Nagrody Nobla. Wybór akademików padł na chińskiego pisarza Mo Yana za „halucynacyjny realizm, który łączy w sobie ludowe podania, historię i współczesność”. Tym

samym Chiny zostały po raz drugi wyróżnione najwyższym literackim laurem. Pierwszy raz w 2000 roku, kiedy Nobla otrzymał Gao Xingjian „za dzieła o uniwersalnej wartości, gorzkiej wnikliwości i językowym geniuszu, które otworzyły nowe ścieżki dla chińskiej powieści i dramatu”². Jednak pisarz od 1997 roku jest obywatelem francuskim, a w kra-

1 Cyt. za J. Szczerba, M. Kruczkowska, *Nobel 2012: Mo Yan*, „Gazeta Wyborcza” 2012, nr 239.7665, s. 28.

2 [http://www.nobelprize.org/nobel_prizes/literature/laureates/2000/], [data dostępu: 14.10.2012 rok]. Xingjian znany jest polskimi czytelnikom przede wszystkim z powieści *Góra duszy*, przeł. W. Brydak, Poznań 2004.

ju został objętym całkowitym zakazem druku, więc chińskie media podały, że Nobel dla Mo Yana jest pierwszym literackim Noblem dla chińskiego pisarza.

Wybory Akademii są nieprzewidywalne i często zaskakujące (zresztą dobrze, bo w innym wypadku ta nagroda nie miałaby sensu, gdyby o laureacie najbardziej merytoryczne pojęcie miała firma bukmacherska Ladbrokes³). W tym roku jednak kontrowersji jest niewiele. Z wyboru akademików z pewnością zadowolony jest japoński noblista z 1994 roku Kenzaburo Ōe, autor głośnej *Sprawy osobistej*⁴, który przed ogłoszeniem werdyktu powiedział: „Gdybym to ja miał wybierać, Nobla przyznałbym Mo Yanowi”⁵. Yan jest prozaikiem znanym nie tylko w Chinach, ale również na świecie o czym świadczą liczne tłumaczenia na angielski, niemiecki, francuski, hiszpański i inne języki świata. Polski czytelnik do tej pory mógł zapoznać się z dwiema powieściami noblisty (*Kraina wódki*⁶ z 1992 roku; *Obfite piersi, pełne biodra*⁷ z 1996 roku) i jednym opowiadaniem (*Twoje postępowanie nas przeraża*⁸). Warto wspomnieć, że jego powieść *Klan czerwonego sorgo*⁹ została zekranizowana w 1987 roku przez Zhanga Yimou jako *Czerwone sorgo*. Film został nagrodzony Złotym Niedźwiedziem na festiwalu Berlinale.

Literaturoznawcy mają kłopot z klasyfikacją gatunkową twórczości Yana. Pojawiają się terminy: czarny komizm, groteska, ironia, satyra, surrealizm, realizm magiczny, fantastyka. Dylemat genologiczny świadczy tylko na korzyść tego pisarstwa. Gdyby nie istniał problem z klasyfikacją (zaszufladko-

waniem) utworów chińskiego noblisty świadczyłoby to o pośledniości artyzmu. Dzięki nierozstrzygalności kwestii gatunkowej czytelniczy mają do czynienia z oryginalną i wyjątkową prozą na mapie światowej literatury. Niektórzy krytycy zarzucają mu „nadmierne czarnowidztwo i pesymizm”¹⁰. Jednak warto przypomnieć słowa Czesława Miłosza, który pisał: „I myślę, że bez zgody na to co gorzkie, na samotność, na przegraną, nie ma prawdy pisanego słowa”¹¹. Yan pisze o sprawach gorzkich, o tym jak często zwykły człowiek przegrywa w obliczu Wielkiej Historii, ale także wobec przeciwności dnia codziennego. Sinolożka Katarzyna Sarek podkreśla, że „W odróżnieniu od innych pisarzy Mo Yan nie skupia się na analizowaniu bardzo obecnie modnej rewolucji kulturalnej, ale przede wszystkim pokazuje zwykłego człowieka wystawionego na różne życiowe próby”¹². Wielu krytyków wskazuje na pokrewieństwo tej prozy z utworami Franza Kafki, Williama Faulknera, Josepha Hellera, Gabriela Garcii Marqueza, Güntera Grassa¹³. *Twierdzenie takie wydaje się jednak złudne. Mo Yan jest po prostu Mo Yanem, nie potrzebuje etykietki „chińskiego Kafki”*.

Noblista postępuje się często parabolicznym i hiperbolicznym obrazowaniem. Świadczy o tym *Kraina wódki*¹⁴. Do odległej krainy Chin – Alkoholandii zostaje oddelegowany z Pekinu śledczy Ding Gouer w celu zbadania zagadki praktyk kanibalistycznych, których rzekomo dopuszczają się funkcjonariusze partyjni. Zostaje wplątany w intrygę miłosną i z cza-

3 Londyńska firma bukmacherska rokrocznie typująca 100 potencjalnych kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla.

4 K. Ōe, *Sprawa osobista*, przeł. Z. Uhrynowska, Warszawa 1974.

5 Cyt. za J. Szczerba, M. Kruczkowska, *op. cit.*

6 M. Yan, *Kraina wódki*, przeł. K. Kulpa, Warszawa 2006.

7 *Idem*, *Obfite piersi, pełne biodra*, przeł. K. Kulpa, Warszawa 2007.

8 *Idem*, *Twoje postępowanie nas przeraża*, przeł. M. Religa, [w:] *Węzły duszy. Chrestomatia współczesnych opowiadań chińskich*, oprac. L. Kasarełło, Warszawa 2005, s. 183-256.

9 M. Yan, *Red Sorghum*, trans. H. Goldblatt, New York 1993.

10 L. Strzyga, *Literacki Nobel w ręce Chińczyka Mo Yana*, „Gazeta Wrocławska” 2012, nr 239, s. 14.

11 C. Miłosz, *Słowo od autora*, [w:] *idem*, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada i inne wiersze*, Kraków 1980, s. 5.

12 Cyt. za J. Tomczuk, *Nobel dla chińskiego Kafki*, „Rzeczpospolita” 2012, nr 239, s. A13.

13 Zob. L. Bugajski, *Nobel, wódka, seks*, „Newsweek” 2012, nr 42, s. 103.

14 Szerzej na ten temat zob. L. Kasarełło, „Kraina wódki” („Jiuguo”) *Mo Yana. Karnawał, alegoria i śmiech*, [w:] *eadem*, *Chińska kultura symboliczna. Jej współczesne metamorfozy w literaturze, teatrze i malarstwie*, Warszawa 2011, s. 137-152.

sem przestaje odróżniać świat realny od świata snu. Czarny humor i charakterystyczne dla groteski przerysowanie pozwalają pisarzowi poddać krytyce źle zarządzany system gospodarczy i nadużycia władzy. Zabiegi te nie służą jednak prostemu krytykanctwu, a wynikają z troski o państwo, którego prozaik nigdy nie opuścił mimo problemów z cenzurą. Przypominają się słowa prof. Jacka Trznadla, który komentując twórczość Elfriede Jelinek znanej z ostrej krytyki austriackiego społeczeństwa, z okazji przyznania jej Nagrody Nobla w 2004 roku, powiedział: „Odwracamy się od czegoś, co jest głęboko w nas, co wydaje się nam podstawą. Gest protestu wobec czegoś jest zawsze gestem afirmacji, stwierdzeniem, że to coś jest istotne”¹⁵. Te słowa wydają się idealnie pasować również do prozy Mo Yana. Bunt wobec niedoskonałości systemu czy ogólniej rzecz ujmując krytyka rażącego w określonych historycznych momentach funkcjonowania państwa nie wynika z chęci krytyki dla krytyki, tylko z wewnętrznego przywiązania, miłości do kraju. Yan zdecydowanie różni się pod tym względem od wspomnianego już Xingjiana. Autor *Góry dusz* bezpośrednio dotyka materii, która nie odpowiada mu z przyczyn politycznych, etycznych, społecznych, filozoficznych. Najlepiej świadczy o tym dramat *Ucieczka*¹⁶ poświęcony masakrze na Placu Tiananmen z 1989 roku, drukowany na łamach miesięcznika „Dialog” i wystawiany w polskich teatrach.

Skłonności Yana do tworzenia rozległej panoramy historyczno-społecznej ukazuje powieść *Obfite piersi, pełne biodra*¹⁷. Tytułowymi cechami fizycznymi są obdarzone kobiety z rodziny Shangguan, mieszkającej w małej chińskiej wiosce. Od obfitych piersi i matczyne mleka uzależniony jest narrator powieści – jedyny syn, brat ośmiu starszych siostr. Losy rodziny ukazane są na tle wydarzeń historycz-

nych, począwszy od Powstania Bokserów z 1900 roku, poprzez upadek dynastii Qing, inwazję japońską, walki Kuomintangu z komunistami Mao Zedonga, „rewolucję kulturalną”, aż do reform gospodarczych Denga Xiaopinga. Życie na prowincji toczy się swoim rytmem. Egzystencjalne problemy głównego bohatera wydają się monetami absurdalne. I gdzieś obok tego spokojnego oraz groteskowego mikroświata toczy się Wielka Historia ze swoimi ofiarami, przywódcami, zwycięzcami, przegranymi itd. *Obfite piersi, pełne biodra* są również opowieścią o odwiecznej walce płci – o tym co męskie, a co żeńskie, o tym jak ludzie kierują się stereotypami i utartymi konstruktami dotyczącymi płciowości i seksualności. Yan nie szczędzi makabrycznych opisów, nie stosuje zabiegów upiększających, a zarazem wyraźny jest w tym utworze senny liryzm połączony z humorem, groteską i ciętą ironią. Przeplata się to wszystko jeszcze z ludowymi opowieściami oraz znakomitą próbą oddania chińskiego folkloru.

Jeżeli wokół nagrody dla Yana pojawiają się jakiegokolwiek kontrowersje to mają one podłoże polityczne. Pisarz jest członkiem Komunistycznej Partii Chin i wiceprezesem Stowarzyszenia Pisarzy Chińskich. Chociaż ideologicznie nie jest zbyt aktywny i w swojej twórczości poddaje krytyce chińską politykę, niektórzy nie mogą mu wybaczyć, że w 2009 roku podczas Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie odmówił spotkania z pisarzami-dysydentami czy tego, że w czasach młodości pełnił rolę oficera politycznego w chińskiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej. Lepiej jednak, żeby świat bardziej interesował się twórczością Yana, a nie tym jaką legitymację partyjną nosi w kieszeni. Powinno się to zresztą odnosić wobec wszystkich literackich noblistów. Na wypadek częstokroć stawianych zarzutów jakoby Literacka Nagroda Nobla miała charakter

15 *Literacka Nagroda Nobla 2004. Komentarze i reakcje*, [http://czytelnia.onet.pl/2,1193525,8,2440,rozne.html], [data dostępu: 14.10.2012 rok].

16 Zob. G. Xingjian, *Ucieczka*, przeł. T. Łubieński, „Dialog” 1994, nr 12, s. 68-90. Na temat twórczości dramatycznej noblisty zob. I. Łabędzka, *Teatr niepokorny*, Poznań 2003; L. Kasarekto, „Śnieg w sierpniu” („Bayue xue”) Gao Xingjiana, czyli buddyzm chan w operze, [w:] *eadem*, *op. cit.*, s. 156-188.

17 Szerzej na ten temat zob. L. Kasarekto, „Obfite piersi, pełne biodra” („Fengru feitun”) Mo Yana. W *gąszczu symboli nowej prozy historycznej*, [w:] *ibidem*, s. 123-136.

polityczny, warto przypomnieć fragment przemówienia wygłoszonego na cześć Harolda Pintera podczas wręczenia nagrody w 2005 roku. Członek Akademii Szwedzkiej prof. Per Wästberg mówił: „W wyborze laureata nagrody Nobla Akademia Szwedzka uznaje wyłącznie twórczą moc jednostki,

bez względu na narodowość, płeć i gatunek literacki”¹⁸. Zaś motto Akademii brzmi: *Snille och smak* (geniusz i smak). Nagroda dla Mo Yana z pewnością te słowa potwierdza.

Jakub Rawski

Do Zielonej Góry nogami

Magdalena Wosik, *Do Zielonej Góry nogami*, BWA w Zielonej Górze, 6–30 września 2012.

Nie od dzisiaj wiadomo, że dużo trudniejszym zadaniem twórcy (niezależnie od dziedziny) jest doprowadzić odbiorcę do śmiechu, niż do płaczu. A już szczególnie trudno wzbudzić u publiczności śmiech, który nie byłby prymitywnym rechotem, czy śmiechem zażenowania. Wielką rzadkością jest ostatnio śmiech szlachetny, wyrażający radość z obcowania ze sztuką twórcy, rozumiejącego doskonale, na czym opiera się tak zwany mądry dowcip. Taki, który nie zniża się (o zgrozo!) do skandalicznego „poziomu oglądalności”, a jednocześnie nie jest aż tak bardzo wydumany i wyniesiony na niedostępny dla większości poziom Wielkiej Sztuki, że aż wywołuje u odbiorcy niezdolność przyznania się - nawet przed samym sobą! - że właściwie nie ma z czego się śmiać.

Okazją, by spotkać się z taką inteligentną, pogodną, inspirującą do przemyśleń sztuką była wystawa wrocławskiej artystki Magdaleny Wosik „Do Zielonej Góry nogami” w zielonogórskim Biurze Wystaw Artystycznych od 6 do 30 września 2012. Zorganizowanie tej wystawy było nagrodą BWA przyznaną Magdalenie Wosik na XIV Otwartym Międzynarodowym Konkursie na Rysunek Satyryczny zorganizowanym przez Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut” i Wojewódzka i Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwi-

da w Zielonej Górze. Jego wiodący temat w tym roku to samolot – lotnisko – latanie.

Autorka wystawionych w BWA prac uważnie przygląda się otaczającemu światu i dostrzega w nim rzeczy dla nas zaskakujące. Magdalena Wosik poszukuje wśród codziennych, dobrze znanych widoków fizycznych podobieństw między drobnymi szczegółami, które – zamienione ze sobą – tworzą dowcipne pastisze rzeczywistości. Oto trzy tancerki: dwie w baletowych sukienkach, trzecia ma wokół bioder koło ratunkowe. Dwie flagi wywieszane przed domem, domyślamy się, że to święto narodowe. Ale obok nich wisi... wędka. (*Kim jest ten wędkarz-patriota? Jaką ideę chce wyłować?*)

Inny rysunek: nudne zebranie, a z krawata jednego z jego uczestników (na pewno teraz ma głos!) leje się na stół struga wody... Twarz więźnia – pozornie za kratami, ale te kraty są rozchylone na boki i związane ozdobnymi wstążeczkami, zupełnie jak zasłony w salonie. Autorka narysowała też taki dialog: mama nuci dziecku w wózeczk: „aaaaa-aaaaa”, a w komiksowym dymku z wózka dobiega odpowiedź: „@@@@@@@@”. Tak, rośnie nam cyfrowe pokolenie, od kołyski obeznane z nowoczesnymi technologiami – czy to nie świetny komentarz do naszej rzeczywistości?

18 P. Wästberg, [Przemówienie na cześć laureata], [w:] H. Pinter, *Dramaty*, t. 3, *W imię praw człowieka*, Sulejówek 2006, wewnątrz-na strona okładki.

Jest też na wystawie praca, dzięki której artystka otrzymała nagrodę BWA. Starszy pan siedzi na ławce i sypie ptakom okruchy. Widok znajomy większości z nas. Ale zamiast ptaków przy ławce lądują... samoloty.

Trudno oczywiście opisać w szczegółach każdą pracę z wystawy Magdaleny Wosik. Tematów i motywów nie brakuje, takich jak „szewska pasja”. Nostalgii budzą też ilustrowane motywy piosenek z Kabaretu Starszych Panów. Podobał mi się „rok Szopena”, ujęty w dwanaście rysunków, składających się na kalendarz.

Bardzo przekonuje mnie to umiejętne artystyczne przetwarzanie nawet najmniejszych szczegółów, poszukiwanie ciekawej, niebanalnej puenty, połą-

zione z żartobliwym dystansem do rzeczywistości. Magdalena Wosik szybko nawiązuje kontakt z odbiorcą, nie wymaga od niego długich rozmyślań w stylu „co artysta chciał powiedzieć”. Z drugiej jednak strony, jesteśmy też przez nią zmuszeni do pewnego wysiłku, do uważnego przyjrzenia się rysunkom i do zastanowienia się na czym polega ich idea. Bardzo miłe jest to budowane przez artystkę poczucie zaskoczenia, że właśnie tak, a nie inaczej można patrzeć na pozornie doskonale znany nam świat - z przymrużeniem oka i uważniej, zgłębiając szczegóły ukryte pod doskonale znaną nam powierzchnią.

Joanna Kapica-Curzytek

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Delijewski, *Żużel nad Wartą 1945-1989*, WiMBP im. Zbigniewa. Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp 2012, 224 s.

Fauna w parkach dworskich, Muzeum Ziemiaństwa w Dobrzycy. Zespół Pałacowo-Parkowy, Dobrzyca [b.r.wyd.], 172 s.

Gąsior [Jerzy Gąsiorek], *A ja wciąż bez odpowiedzi*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp 2012, 50 s.

Nadrealizm w malarstwie Krystyny Brzechwy. Malarze z Kręgu Arsenatu 1955, Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2012, 72 s.

XV Edycja Konkursu Literackiego im. Tadeusza Firleja o „Złote Pióro”, wydanie specjalne „Zeszytów Gubińskich” (nr 13), Gubińskie Towarzystwo Kultury, Gubin 2012, 108 s.

Czesław Sobkowiak, *Powieść ze snu*, Aprint, Zielona Góra 2012, 84 s.

Bronisława Raszkiewicz, *Woda i ogień*, Organon, Zielona Góra 2012, 58 s.

Alfred Siatecki, *Aleja Niepodległości 15. Przechadzki po zielonogórskim muzeum tożsamości*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2012, 174 s.

Alfred Siatecki, *Czwarty klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane ało nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2012, 198 s.

Jarosław Skorulski, *Zatonie. Ślady historii*, [b.wyd.], Zielona Góra 2012, 178 s.

Spotkania z poezją. Zbiór wierszy, Miejska Biblioteka Publiczna w Szprotawie, Szprotawa 2012, 68 s.

Jerzy Szewczyk, *PI-STACJE albo KARO SERIA*, Organon, Zielona Góra 2012, 92 s.

Witold Wnukowski, *Chwała weterynarii*, Dekorgraf, Żagań 2012, 200 s.

Zobaczyć niewidoczne. Wybór wierszy uczniów Gimnazjum nr 2 im. Adama Asnyka w Zielonej Górze, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zielona Góra [b.r.wyd.], 28 s.

AUTORZY NUMERU

Halina Bohuta-Stapel

Publicystka, poetka, prozautorka. Uczestniczka i laureatka konkursów literackich, autorka 5 tomików poetyckich. Publikuje w pismach: „Obrzeża”, „Pegaz Lubuski”, „Pro Libris”, „Gazeta Lubuska”, „Grünberger Wochenblatt” oraz na portalu internetowym pkpzin. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, laureatka Nagrody Kulturalnej Wójta Gminy Świdnica za rok 2009. Wraz z Aleksandrą Sztukowską-Matusiak prowadzi Literacki Kabaret Dojrzałych Dam.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Dyrektor WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych, dyrektor Kozzi Gangsta Film/Teatr Festiwal w Kargowej.

Jerzy Gąsiorek

Ur. w 1941 r. w Granowcu. Artysta, poeta. Twórca gorzowskiego Biura Wystaw Artystycznych. Stworzył unikatową (drugą po Zakopanem) kolekcję twórczości Władysława Hasióra. Od 1984 r. organizował Biennale Sztuki Sakralnej, jeden z najważniejszych przeglądów tego gatunku w Polsce. Zajmuje się wystawiennictwem i architekturą wnętrz, pisze o zabytkach i sztuce. Jest autorem pięciu tomików wierszy.

Karol Graczyk

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca kilkudziesięciu konkursów literackich, redaktor stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – Polskie Kulturalne Podziemie (www.pkpzin.pl). Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Marek Grewling

Ur. w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii; absolwent teologii biblijnej. Autor 6 książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od roku 2003 jest wiceprezesem gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Dorota Grzesiak

Studentka filologii polskiej UZ, laureatka dyplomu za debiut literacki (Lubuski Wawrzyn Literacki 2010).

Przemysław Grześniński

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Pracuje w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru. Autor kilku publikacji, twórca komediodramatu *Po prostu Leon po prostu* (premiera 2011 r. w Lubuskim Teatrze). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever*.

Dorota Kaczmarek

Starszy kustosz, kierownik Działu Promocji w WiMBP w Zielonej Górze.

Leszek Kania

Krytyk sztuki, kurator wystaw. Zastępca dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.

Joanna Kapica-Curzytek

Filolog angielski i glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl” i „Twoja Muza”), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury popularnej www.esensja.pl. Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna.

Katarzyna Krysińska

Absolwentka filologii polskiej oraz studentka historii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pracuje w Wydawnictwie Elżbieta Jarmołkiewicz.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Germanistka, kierownik Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ, animatorka polsko-niemieckich przedsięwzięć kulturalnych, tłumaczka.

Paulina Krzyżaniak

Poetka, prozatkorka. Wywodzi się z Nowej Soli. Od trzech lat mieszka w Szkocji. Publikowała m.in. w „The Polish Observer”, „Poezji Dzisiaj”, „Polskim Podziemiu Literackim”. Uczestniczka festiwalu poetyckich (Poezja Ocala w Londynie, Festiwal Poezji Słowiańskiej).

Zbigniew Kulik

Ur. w Jeleniej Górze-Cieplicach. Krajoznawca, regionalista, fotografik. Autor albumu *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach*. Autor indywidualnych wystaw fotograficznych w kraju i za granicą (Czechy, Dania, Francja, Niemcy, Rumunia, Węgry, Włochy, Serbia, Słowacja). Jego zdjęcia publikowane są w polskich i zagranicznych wydawnictwach turystycznych (książki, albumy, foldery, plakaty). Mieszka w Karpaczu, gdzie jest dyrektorem Muzeum Sportu i Turystyki.

Zbigniew Masternak

Ur. w 1978 r.; prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2009 r. ukończył Scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą w 2000 r. na łamach „Twórczości”. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym pt. *Księstwo..* Jest współautorem książki *Kino polskie 1989-2009*. Historia krytyczna oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Tłumaczony na języki obce, m.in. wietnamski i mongolski, macedoński, słoweński oraz ukraiński. Jest laureatem Świętokrzyskiej Nagrody Kultury oraz Dorocznej Nagrody Starosty Puławskiego w Dziedzinie Kultury. W 2005 r. na podstawie jego opowiadania *Stacja Mirsk* powstał film, którego był współproducentem (Grand Prix na IX KRAKFFA. Występuje także jako aktor. Gra w piłkę błotną w klubie BKS Roztocze Krasnobród. Jest kapitanem Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej. Pochodzi z Piórkowa, obecnie mieszka w Puławach.

Kinga Mazur

Ur. w 1989 roku, studentka dwóch kierunków Uniwersytetu Zielonogórskiego. Stała współpracownikiem gorzowskiego pisma literackiego „Pegaz Lubuski”; jej wiersze były drukowane w antologii młodych poetów ziemi sulęcińskiej *Smak na wiersz*. Autorka tomiku poetyckiego *Już wiem*.

Ewa Mielczarek

Ur. w 1961 r. w Gnieźnie. Redaktorka, szefowa Działu Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Oficynę Wydawniczą Pro Libris; jest sekretarzem redakcji kwartalnika „Pro Libis”.

Hanna Piechowiak

Jedna z laureatek pierwszej edycji Polsko-Niemieckiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Pauksztzy w Kargowej.

Marcin Radwański

Ur. w 1978 w Zielonej Górze. Absolwent Zespołu Szkół Budowlanych i Centrum Kształcenia Ustawicznego. Zajmuje się sprzedażą sprzętu komputerowego. Publikuje opowiadania na łamach „Parnasika” i „Akantu” i na stronach internetowych „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”.

Jakub Rawski

Ur. w 1988 r. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. dra hab. Leszka Libery. Autor książki poetyckiej *Pasaże* (2010) oraz referatów wygłaszanych na ogólnopolskich i międzynarodowych konferencjach naukowych (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Uniwersytet Zielonogórski w Zielonej Górze). Trzykrotny stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego), sekretarz zielonogórskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim poeta, autor 16 tomików poetyckich; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Wanda Szczypiorska

Prozatkarka, publikuje m.in. w „Autografie”, „Pograniczach”, Znaj, Pisarzach.pl – w necie.

Mirosława Szott

Ur. w 1989 r., doktorantka na Uniwersytecie Zielonogórskim, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Renata A. Thiele

Zielonogórzanka; ponad 20 lat mieszka i pracuje w Akwizgranie. Jest tłumaczką, redaktorką czasopisma polsko-niemieckiego „polregio”, lektorką języka niemieckiego i polskiego, autorką tekstów literackich i artykułów prasowych w obu tych językach.

Mieczysław J. Warszawski

Ur. w 1950 r. w Laskach Odrzańskich k. Zielonej Góry, poeta, prozaik. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 1995 r.

Adam Bolesław Wierzbicki

Ur. w 1972 w Krośnie Odrzańskim. Poeta, prozaik, laureat Polsko-Niemieckiego Konkursu im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej. Mieszka w Dłużku (pow. żarski).

Jacek Żeromski

Ur. w 1973 r. w Zielonej Górze. Absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Poeta, prozaik.

KSIĄŻKI OFICYNY WYDAWNICZEJ
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE

Daniel Koteluk

Na bezdrożach kompromisu

Zjednoczone Stronnictwo Ludowe
w województwie zielonogórskim
w latach 1950-1956



„EPITAFIUM DLA J.”

PRO
LIBRIS

Opisane w: *Przebieg - Dziejopis*

Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

12



9 771642 599108



PRO
LIBRIS